Atak nożowników • 15 X – trzy lata po • Gry Bielana • Sekrety Agaty Kuleszy
Depresyjne matki • Lex smród • Życie seksualne szlachty • Stulatek Puchatek

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 42 (3586), 14.10–20.10.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA **MAGDALENA MAMAJEK-MICH**

BROŃ DLA KAŻDEGO?

Kiedy Polskę ogarnia fala przemocy, prezydent chce rozmawiać o powszechnym dostępie do broni palnej

ISSN 0032-3500
4 2
9 770032 350602
Wydanie w sprzedaży do 20.10.2026

eprasa.pl 50b67a7159

ŻYWOT PANÓW BRACI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 50b67a7159



© SHUTTERSTOCK AI

10
Czyj to challenge?

Tematy tygodnia

10 Joanna Cieśla
Młodzi w amoku

13 Zbigniew Borek
Broń dla każdego?

Polityka

17 Rozmowa z prof. **Andrzejem Rychardem** o rocznicy wyborów 15 X i tym, co zostało z tamtych nadziei

20 Michał Piedziuk, Wojciech Szacki
Konfederacje się mnożą

23 Anna Dąbrowska
Adam Bielan: od zera do politycznego machera

Społeczeństwo

26 Paweł Walewski
Dzieci na tabletkach

29 Katarzyna Kaczorowska
Deweloper kontra chomik

32 Aleksandra Grabowiecka
Polskie tabu: matki w kryzysie psychicznym

35 Marcin Kołodziejczyk
Ksiądz Żyd

Rynek

38 Agnieszka Sowa
Lex smród – kontrowersyjny projekt PSL

41 Cezary Kowanda
POLSTR zamiast WIBOR-u: co to oznacza dla kredytobiorców

Świat

44 Tomasz Zalewski USA
Abdul El-Sayed: gwiazda Demokratów, nadzieja Republikanów

47 Rozmowa z **Bojanem Pancevskim** o kulisach wysadzenia rurociągu Nord Stream

50 Łukasz Wójcik
100 lat „Kubusia Puchatka": prawdy i przestrogi

Nauka/projektpulsar.pl

53 Maciej J. Nowak
Miasta sprawiedliwe: czy to możliwe?

56 Rozmowa z **Łukaszem Rojewskim** o tym, jak się wymyśla i hoduje róże

Rozmowa POLITYKI

59 Prof. **Helena Flam** o strachu, emocjach i polityce ciągłej konfrontacji

Historia

62 Mateusz Wyżga
Życie seksualne polskiej szlachty

Kultura

70 Rozmowa z **Agatą Kuleszą** o „efekcie Kuleszy", kulcie młodości i ciele aktora

74 Justyna Sobolewska
Nowy świat Olgi Tokarczuk

78 Aneta Kyzioł
David Ellison przejmuje TVN: co to oznacza?

81 Michał Klimko, Michał Tomasik
Rap polityczny

Ludzie i style

88 Wojciech Bońkowski
Pleśń i wino

89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **66** Afisz • **84** Lis
• **85** Witkowski • **86** Mizerski
• **86**, **90** Galeria POLITYKI
• **87** Do i od redakcji
• **90** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 50b67a7159

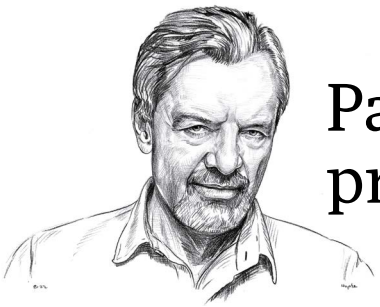

Pan prezydent przestrzelił

Jerzy Baczyński

Na początku października postanowiliśmy przygotować „raport o broni". Pretekstem była deklaracja Karola Nawrockiego, złożona przy okazji otwarcia strzelnicy we wsi Boguty-Pianki, że „czas najwyższy rozmawiać" w Polsce o łatwym, powszechnym dostępie do broni. Autor raportu (s. 13) Zbigniew Borek, pisząc o doświadczeniach USA – kraju, gdzie taki dostęp jest zagwarantowany w konstytucji – przypomniał wstrząsające Ameryką masowe strzelaniny, w tym szkolne masakry dokonywane przez niezrównoważonych nastolatków na kolegach i nauczycielach. Każde takie zdarzenie wywoływało moralną panikę, falę gorących protestów i rutynowych żądań: surowej kontroli sprzedaży oraz sposobów przechowywania broni, konfiskaty domowych arsenałów, instalowania w szkołach wykrywaczy metali itp. Zawsze bezskutecznie; raz dane – jest nie do odebrania.

Nieoczekiwany, tragiczny komentarz do naszego raportu przyniosła ubiegłotygodniowa seria ataków „nożowników" w polskich szkołach. I pytanie: ile byłoby ofiar, gdyby młodociani napastnicy mieli w domach dostęp do pistoletów i karabinów? W fatalnym momencie prezydent „wypalił" z tą propozycją. Ale dlaczego, po co? To chyba bardziej kwestia stylu, odruchu niż kalkulacji. W tzw. prawicowym imaginarium – które najpełniej dziś ucieleśniają bliskie Nawrockiemu Konfederacje – posiadanie broni jest traktowane jako naturalne prawo obywatelskie, demonstracja patriotycznej gotowości, determinacji w obronie bezpieczeństwa własnego i rodziny, jest dowodem fizycznej sprawności itp. – ogólnie siły i męskości. Karol Nawrocki od początku swojej publicznej kariery buduje wizerunek „twardziela", adresowany głównie do młodzieży męskiej, wśród której ma zresztą najwyższe wskaźniki poparcia. Opowieści o kibolskich ustawkach, starannie reżyserowane zdjęcia z siłowni i gal sportów walki; nawet ostatnia wizyta prezydenta na odległych Filipinach miała, wydaje się, jedynie taki cel promocyjny: Nawrocki odbył publiczny trening bokserski z wielokrotnym mistrzem świata (ale wagi piórkowej i lekkiej), słynnym Mannym Pacquiao.

Ten prezydencki szpan, choć nieco infantylny, trzeba jednak traktować poważnie, jako komponent całego alt-prawicowego przekazu. Kult siły, zarówno w relacjach międzyludzkich, jak i międzynarodowych, jest tam emocjonalnym i ideowym spoiwem, częścią tożsamości. To proste: w złym świecie musisz sobie radzić sam i dbać o swój interes, państwo jest głównie opresyjne, okrada, ogranicza wolność, broni jakichś mniejszości, narzuca absurdalne reguły poprawności... Helena Flam, badaczka emocji, mówi (wywiad s. 59), że nowa prawica – czego jaskrawym przykładem jest trumpowska MAGA – daje swoim wyznawcom poczucie rewolucyjnej siły, godności, sprawiedliwej rozprawy z elitami i ich normami. Poseł Berkowicz ubliżający dziennikarce czy poseł Mentzen kpiący z policjantek to specyficzna demonstracja tej „wolnościowej" postawy: zapewne uważają się za „męskich, krzepkich, niepokornych". Kiedy Karol Nawrocki wetował – co mu teraz rząd wytyka – ustawę „przeciwko hejtowi i przemocy w internecie", powoływał się na zasadę nieskrępowanej wolności słowa, czyli, w praktyce, także nieprzebierania w słowach. Problem w tym, że taki przekaz wzmacnia, sankcjonuje niebezpieczne, aspołeczne zachowania, jakie wypełniają dzisiejszy internet.

Nasi redakcyjni eksperci od edukacji, Dariusz Chętkowski i Joanna Cieśla, zastanawiają się (jak my wszyscy), co pcha młodych ludzi do niezliczonych aktów przemocy wobec rówieśników – agresji werbalnej, medialnej, a nawet fizycznej – i mówią o rosnącym zainteresowaniu postawami ekstremistycznymi, radykalnymi, o prawie dżungli rządzącym „internetami" albo o „przemocy nihilistycznej", będącej jedynie wyrazem nienawiści, pogardy dla życia swojego i innych, wcielania się w role mścicieli i twardzieli, zapożyczonej z gier, rolek, patostreamów czy oglądanych masowo horrorów.

Dzisiejsze nastolatki to pokolenie smartfonowe, socialowe, postcovidowe, często nieumiejące już budować naturalnych bezpiecznych relacji, łatwe do manipulowania przez internetowych influencerów, celebrytów, ulegające idiotycznym prowokacjom (jak te organizowane przez grupę Com, s. 10), seksualizacji, pornografii, przemocy. Łatwo sobie wyobrazić, jakie zasięgi będzie miała zapowiedziana przez szefa Pentagonu „transmitowana na żywo egzekucja" skazanego mordercy. Pedagodzy i eksperci, przynajmniej w naszej części świata, coraz zgodniej domagają się ograniczenia młodzieży do lat 15 dostępu do „sociali", wymuszenia na platformach cyfrowych usuwania patologicznych treści i blokowania ich nadawców, zwiększenia zdolności policji i służb do kontroli nielegalnej, szkodliwej aktywności internetowych trolli i botów.

A co na to politycy? Prawicowi „obrońcy wolności" coraz częściej obrywają rykoszetem, gdy okazuje się, że ludzie – w większości – jednak uważają, że granicą cudzych wolności i praw jest ich własna wolność i prawa. Widać to choćby po ostatnich „tematach tygodnia": większość jest za ograniczeniem nocnej sprzedaży alkoholu, chce nałożenia surowych kar za zabójstwo drogowe i zakazu organizowania ulicznych wyścigów samochodowych, popiera ograniczenie: najmu krótkoterminowego w blokach mieszkalnych, korzystania ze smartfonów w szkołach, handlu kryptowalutami itd. Ideologia „wolnościowa" – u Mentzena i powtarzającego za nim Nawrockiego – bliska jakiejś anarchistycznej utopii, zderza się i sondażowo przegrywa z życiowym pragmatyzmem, racjonalnością, potrzebą reguł i bezpieczeństwa. Więc może to jest jakiś program dla demokratów na kampanię wyborczą? Tak sugeruje np. wspomniana Helena Flam, mówiąc, że „komfort codziennego życia" jest świetnym programem politycznym.

Akurat mija trzecia rocznica wyborów 15 października, prof. Andrzej Rychard ocenia sukcesy powstałej wtedy koalicji na „cztery minus" (s. 17), co dla wielu wyborców jest pewnie oceną hojną. Najczęściej powtarzający się zarzut to brak własnej pozytywnej wizji przyszłości, porzucenie wyborców, działanie reaktywne, skupienie się na politycznej grze i konflikcie, przymilanie się do prawicowych wyborców. Tymczasem fakty i badania nie potwierdzają tezy o jakimś ideologicznym zwrocie na prawo polskiego społeczeństwa. Przeciwnie, dorośli Polacy są raczej aideologiczni; „żyj i daj żyć innym w spokoju", to zapewne największa partia w Polsce. Z tym swoim wezwaniem do broni Karol Nawrocki ewidentnie przestrzelił.

eprasa.pl 50b67a7159

Albatros travel

Albatros 40 lat

Magiczna Kolumbia

Kawa, kakao i kolonialne dziedzictwo

Wybierz się z nami do jednego z najpiękniejszych krajów Ameryki Południowej i odkryj jego nowoczesne miasta, kolonialną architekturę i wspaniałą naturę.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bogoty. **Dz. 2** Bogota – zwiedzanie miasta i Muzeum Złota. **Dz. 3** Wycieczka do Katedry Solnej i kuchnia kolumbijska. **Dz. 4** Bogota – Pereira w regionie upraw kawy. Spacer w Dolinie Cocora i kolonialne miasteczko Salento. **Dz. 5** Wizyta w rezerwacie WILD Campo Alegre. **Dz. 6** Przejazd do Jardín w regionie Antioquia. **Dz. 7** Wycieczka na plantację kawy. **Dz. 8** Jardín – Medellín przez region Antioquia. **Dz. 9** Medellín. Zwiedzanie miasta. **Dz. 10** Miasteczko Guatapé i skała El Peñol. **Dz. 11** Przelot Medellín – Cartagena i zwiedzanie miasta. **Dz. 12** Cartagena. Wycieczka do Palenque i afro-kolumbijskie dziedzictwo kulturowe. **Dz. 13** Cartagena. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni
Wylot z Warszawy
27/02 2027

od **17.998,-**

NOWOŚĆ



4 kolacje



Południowa Anglia i Kornwalia

Fantastyczna wycieczka przez malownicze zakątki Anglii ze spektakularnym wybrzeżem, urokliwymi wioskami i owianymi legendami zamkami i skarbami kultury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Londyn. Winchester i Bournemouth. **Dz. 2** Bournemouth – skamieliny na Wybrzeżu Jurajskim – Lyme Regis – wrzosowiska w Dartmoor – Torbay. **Dz. 3** Pociąg parowy z Paington do Kingswear. Rejs statkiem do Dartmouth Agathy Christie. **Dz. 4** Ogród botaniczny Eden Project – wizyta na farmie cydru. **Dz. 5** Wyspa pływowa St. Michael's Mount – Penzance – Lands Ends czyli kraniec Ziemi – St. Ives – Newquay. **Dz. 6** Newquay – Zamek Tintagel – Bristol. **Dz. 7** Bristol – Bath z listy UNESCO. Podróż powrotna z Londynu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 11/05, 27/07 2027 | od **7.398,-**

Pełne wyżywienie na statku



Norwegia – od fiordów po Arktykę

Odkryj fiordy Norwegii, podróżując pociągiem i najpiękniejszą na świecie drogą morską statkiem Hurtigruten do miejsc, gdzie latem nawet o północy świeci słońce.

Poznaj niezwykłą Norwegię – od Oslo przez majestatyczne fiordy, Hardangervidda i Nærøyfjorden, aż po Bergen. Wyrusz Hurtigruten wzdłuż spektakularnego wybrzeża, przez dzikie Lofoty i arktyczne krajobrazy, odwiedzając Trondheim i Tromsø, aż po Kirkenes i Nordkapp.



10 dni | Wyloty z Warszawy 26/06, 04/08 2027 | od **18.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL39**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 50b67a7159

Gibała się doczekał



W wyborach na prezydenta Krakowa startował po raz czwarty i po raz pierwszy skutecznie: Łukasz Gibała zdobył 62,1 proc. głosów, pewnie pokonując w drugiej turze kandydatkę KO i PSL Monikę Piątkowską. Już rezultat pierwszego głosowania pokazał, że Piątkowska praktycznie nie ma szans na zwycięstwo, ale jej wynik w dogrywce mimo wszystko rozczarowuje. Tak wyraźny triumf Gibały przynajmniej na chwilę da argumenty opowieści PiS o tym, jak to suweren odrzucił w wyborach przedstawicielkę obozu rządowego, choć można się ironicznie uśmiechnąć, że Nowogrodzka jako swój triumf przedstawia wygraną polityka liberalno-lewicowego, z przeszłością w PO i Ruchu Palikota, który zaledwie dwa lata temu tworzył sojusz wyborczy z partią Razem.

Inna sprawa, że Piątkowska dała prawicowej opozycji argumenty, nieustannie powtarzając, że jest kandydatką rządową, popieraną przez premiera Tuska, a jej gorliwość w hołdach lennych wobec władzy centralnej przybierała czasami rozmiary karykaturalne i raczej nie pomogła zdobywać poparcia w sceptycznym wobec „warszawki" Krakowie. Tuskowi i całemu rządowi Piątkowska dziękowała gorąco za wsparcie nawet podczas wieczoru wyborczego, co w przypadku kandydatki chwilę wcześniej tak boleśnie poturbowanej przez elektorat było pewnym nietaktem. Wyglądało to tak, jakby chciała jeszcze raz wszystkim przypomnieć, że nie przegrała sama, ale wraz z nią klęskę poniósł również Tusk i cały obóz władzy. Tymczasem szef rządu, który pofatygował się do Krakowa przed pierwszą turą, przed dogrywką odpuścił, zapewne przewidując, że rokowania na jakikolwiek sukces są mizerne.

Wybory w Krakowie nie wstrząsną ogólnokrajową polityką, ale dla koalicji 15 października powinny być ważną lekcją, że mobilizacja elektoratu w 2027 r. będzie o wiele trudniejsza niż cztery lata wcześniej. Na scenie pojawi się też zapewne wysyp pretendentów do roli „ogólnopolskiego Gibały", który da popalić starym partiom. Taką rolę chciałby odgrywać Mateusz Morawiecki, chrapkę ma na to również Ryszard Petru, który tuż po ogłoszeniu wyników obwieścił, że: „Krakowskie wybory pokazują zapotrzebowanie na nową ofertę na polskiej scenie politycznej". Warto jednak zachować sceptycyzm co do trafności tego typu diagnoz. O głosowaniu w Krakowie szybko zapomnimy, a rozpędzająca się kampania wyborcza będzie miała raczej logikę polaryzacyjną. Miejsca poza dwubiegunowym sporem będą sobie zaś szukały partie już z dużym doświadczeniem w polityce: po stronie prawej Konfederacja, po lewej – partia Razem. Apel ze starej piosenki, by nie przenosić stolicy do Krakowa, można dziś uzupełnić stwierdzeniem, że Krakowa do stolicy również łatwo przenieść się nie da.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Aborcyjny paczkomat



Abortomat to coś w rodzaju aborcyjnego paczkomatu. Można w nim odebrać tabletki poronne; anonimowo i bezpiecznie, jedynie na podstawie kodu wysyłanego przez Women Help Women, międzynarodową organizację non profit wspierającą kobiety. Abortomat stanął przy ul. Wiejskiej w Warszawie, w przychodni Abotak. „Dlaczego zbudowałyśmy abortomat? W Polsce karana jest pomoc w aborcji. (…) Samo przekazanie sobie tabletek z ręki do ręki może zostać uznane za przestępstwo. Dlatego hakujemy Kodeks karny" – tłumaczą założycielki przychodni z Aborcyjnego Dream Teamu.

Obiecana przed wyborami liberalizacja prawa do przerywania ciąży się nie powiodła. Nie udało się również zdekryminalizować pomocy w aborcji. Jedna z członkiń Dream Teamu, Justyna Wydrzyńska, która w czasie covidu pomogła innej kobiecie, wysyłając tabletki, została w 2023 r. skazana na 8 miesięcy ograniczenia wolności w postaci prac społecznych. Sąd apelacyjny w 2025 r. uchylił ten wyrok, ale to nie oznacza końca kłopotów prawnych, bo sprawa ma być rozpatrzona ponownie. Wydrzyńska od ponad roku czeka na wyznaczenie terminu rozprawy.

Abortomat to kolejny sposób obejścia systemu, który nadal opiera się na jednych z najbardziej restrykcyjnych przepisów w Europie. Pierwszym była założona w marcu 2025 r. przychodnia Abotak. Można w niej dokonać przerwania ciąży za pomocą tabletek i spędzić ten czas w specjalnym pokoju, zwanym „mizolatką". W ciągu pierwszego roku działania przeprowadzono tu blisko 100 bezpiecznych aborcji. Od początku przed przychodnią 2–3 dni w tygodniu protestują przeciwnicy aborcji, związani z fundacją Kai Godek. Są głośni i napastliwi, a policja nie reaguje.

– *Oczywiście nikt, kto do nas przychodzi, nie ma wypisane na czole, że przyszedł po tabletki. Ludzie przychodzą także po prezerwatywy, testy ciążowe, koszulki czy wlepki* – mówi Justyna Wydrzyńska. – *Ale ponieważ ci od Kai Godek nagrywają wchodzących, niektórzy mają obawy. Mamy dla nich boczne wejście.*

Jak mówi Kinga Jelińska z Women for Women, za wcześnie na podawanie danych liczbowych, jeśli chodzi o korzystanie z abortomatu, ale zainteresowanie jest spore. – *Widać, że takie miejsce było potrzebne. Pojawiają się pytania o abortomaty w innych miastach* – dodaje. – *Wiem, że politycy prędko nie rozwiążą kwestii dostępu do bezpiecznej aborcji. Kobiety muszą organizować się same.* (J.POD.)

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER, WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 50b67a7159

Telewizor bez telewizji



Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

Mistrz propagandy Joseph Goebbels zamówił u inż. Otto Griessinga tani odbiornik radiowy. Model VE 301. Liczba w nazwie odnosiła się do 30 stycznia, dnia przejęcia władzy przez NSDAP. Radio pokazano w wakacje 1933 r.; kosztowało 76 reichsmarek – połowę ceny standardowych odbiorników. Do jesieni sprzedano 200 tys. sztuk. Hasło reklamowe chwytało za serce: „Całe Niemcy słuchają Führera przez odbiornik ludowy". Wszyscy producenci w Rzeszy musieli robić identyczny aparat według projektu ministerstwa propagandy. Do 1939 r. w Rzeszy było już ponad 12 mln odbiorników. Trzy lata później dostęp do radia miało 70 proc. ludności. Na premierze radia Goebbels cytował słowa Napoleona, że „prasa to siódma wielka potęga". Radio miało być kolejną. Goebbels był przekonany, że bez radia naziści nie zdobyliby władzy.

Współcześni Goebbelsowie też mają broń masowego rażenia: internet. Tradycyjne media (prasa, radio, telewizja) były dotąd postrzegane jako tzw. czwarta władza – ta kontrolna, która patrzy na ręce rządom, parlamentom, sądom. Ale straciły panowanie. W USA streaming miał rekordowe 48,6 proc. czasu oglądania w tym roku. Tymczasem telewizja ogólnodostępna spadła do 19 proc., kablowa – do 20 proc. Sam YouTube osiągnął rekordowe 14 proc. Na całym świecie 54 proc. ludzi korzysta z mediów społecznościowych. To YouTube jest dla nich źródłem newsów. 52 proc. polega na telewizji, 51 proc. – na stronach wydawców. Ale ogólne zaufanie do przekazywanych przez media informacji spadło do 37 proc. Połowa młodych ludzi w wieku 18–24 lata zna świat przedstawiany tylko przez YouTube, media społecznościowe i... chatboty AI. To jest ich główne źródło wiedzy. Telewizor zostaje w domu. Ale telewizja z niego znika.

Zmiany właścicielskie grupy TVN zawsze budziły w Polsce emocje. Nie inaczej jest i tym razem. A to dlatego, że szefowie Skydance to sympatycy Trumpa. Reporterzy bez Granic ostrzegają, że przejęcie WBD przez Paramount Skydance bezpośrednio zagraża niezależności redakcyjnej TVN24. Skydance stał się monopolistycznym gigantem. Połączone zostały studia: Paramount Pictures i Warner Bros., platformy Paramount+, SkyShowtime i HBO Max, stacje CBS i HBO, redakcje CBS News, CNN czy Eurosportu. I tak Skydance zapukał do TVN. Wszystko za 100 mld dol. Kapitał wyłożyli Larry Ellison (ojciec szefa Skydance, Davida) oraz fundusze z Arabii Saudyjskiej i Kataru. W USA, pod groźbą procesów, firma obiecała niezależność CNN. Ale życie pokaże, jak to się ułoży. Tymczasem nasi rodzimi Goebbelsowie już widzą Danutę Holecką prowadzącą „Fakty"... Pamiętam to studio bardzo dobrze, trudno byłoby pani Danucie pracować na kolanach. Kilku jej kolegów z Republiki też zamawia już taksówki na Wiertniczą – panowie, wazelina nie przejdzie na bramkach, niezależnie od rozmiaru kamizelki.

TVN jest na liście spółek, które podlegają ochronie. Minister aktywów państwowych oceni, czy przejęcie firmy przez nowego właściciela zagraża „bezpieczeństwu albo porządkowi publicznemu". W skrajnym przypadku może nakazać sprzedaż akcji. Ale nikt się na to nie porwie, bo kontekst jest czysto biznesowy, a nie polityczny, jak przy lex TVN. Poza tym widzowie TVN nie szukają samozwańczych pastorów, ale zdrowego rozsądku. Zagłosują pilotem, zanim pan Rachoń nabierze powietrza.

O zmianach wokół TVN czytaj też s. 78.

Po co w sądzie są kamery

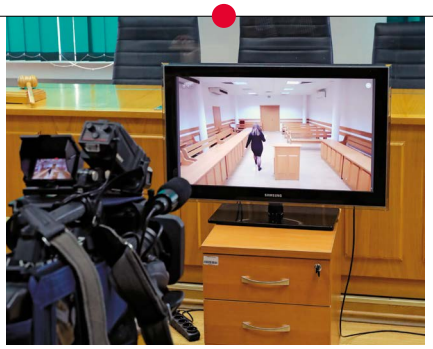

Sędzia pytał: „Jakie jest stanowisko oskarżyciela?". Prokurator wstawał i mówił: „Podtrzymuję stanowisko zawarte w odwołaniu". Tyle. Średni czas trwania takiej rozprawy: 15 min. Taka była praca prokuratorów z wydziałów sądowych, którzy mieli dyżury w Sądzie Okręgowym w Warszawie i „obsługiwali" rozprawy odwoławcze od wyroków sądów rejonowych. W sądzie mieli swój wyznaczony pokój, gdzie mogli zajrzeć do akt spraw zaplanowanych na ten dzień.

Ale teraz dr Michał Mistygacz, prokurator okręgowy w Warszawie – w myśl zasady, że prokurator ma prowadzić swoją sprawę do samego końca – zlikwidował wydział sądowy. I – by zapewnić udział w rozprawie odwoławczej prokuratorów prowadzących sprawę – sięgnął po utworzony w czasie pandemii (i nadal obowiązujący) art. 274 par. 3 Kodeksu postępowania karnego. Mówi on o tym, że sędziowie mają obowiązek wyrazić zgodę na udział zdalny prokuratora, gdy o to wystąpi. Oczywiście, jeżeli są takie możliwości techniczne. Z Sądu Apelacyjnego w Warszawie Mistygacz dostał informację, że w SO wszystkie sale (poza jedną) są wyposażone w urządzenia pozwalające na prowadzenie rozpraw zdalnie.

– *Prokurator prowadzący sprawę, znający ją najlepiej, ma prawo do uczestniczenia w trybie zdalnym w rozprawie apelacyjnej* – tłumaczy dr Mistygacz. Zaznacza, że chodzi też o zoptymalizowanie prokuratorskiej pracy. Rozprawy odwoławcze przed warszawskim sądem dotyczą prokuratur rejonowych także spoza Warszawy – z Grodziska, Piaseczna i Pruszkowa. Jedna taka rozprawa to dla nich cały dzień zabrany pracy śledczej. Plus oczywiście koszty. Mistygacz zawiadomił więc prezesa Sądu Okręgowego w Warszawie, że od 15 maja tego roku w postępowaniach odwoławczych będą brali udział prokuratorzy, który sprawę prowadzili – zdalnie.

Wydawało się, że sprawa jest prosta. Ale prokurator napotkał opór ze strony sporej części warszawskich sędziów. Kierownictwo SO stwierdziło, że taki zdalny udział prokuratora nie może stać się regułą, bo ucierpi na tym… wizerunek wymiaru sprawiedliwości. I wielu sędziów odmawia zdalnej rozprawy. Prokuratorzy wnoszą wtedy o odroczenie rozprawy z uwagi na zaplanowane czynności śledcze. Sędziowie grożą więc wnioskami o dyscyplinarki. Spór postępuje. Jak widać, sporymi nakładami mamy nowoczesne sądownictwo, ale już nie sędziów. (VK)

eprasa.pl 50b67a7159

Gaszenie wojny dieslem



Zaczęło się od tego, że Donald Trump porozumiał się z Władimirem Putinem w sprawie dostaw oleju napędowego z Rosji do USA i na inne rynki. Było to dość dziwne, bo jeszcze niedawno Stany Zjednoczone przyjęły ustawę Grahama umożliwiającą nakładanie wysokich karnych ceł na państwa, które kupują rosyjskie surowce energetyczne. Trump dokonał więc poważnego zwrotu. Rosyjsko-ukraińska wojna (którą prezydent USA obiecywał zakończyć w jeden dzień), a przede wszystkim nieudana interwencja Ameryki w Iranie spowodowały wzrost cen paliw na światowych rynkach. W Ameryce szczególnie odczuły to stany rolnicze. A wszystko to tuż przed listopadowymi wyborami połówkowymi do Kongresu, w których wyłaniana jest cała Izba Reprezentantów i część Senatu.

Jednak deal z Putinem raczej nie spowoduje spadku cen i ulgi dla farmerów. Dotyczy 300 tys. ton oleju napędowego do końca miesiąca – to mniej niż dzienne zużycie w USA. W kolejnych miesiącach dostawy mają być niewiele większe, bo Rosja sama zmaga się z gigantycznym kryzysem. Przed **rosyjskimi stacjami benzynowymi** ustawiają się kolejki. Jeden z największych światowych producentów sam zmuszony był sprowadzać paliwa z zagranicy, przede wszystkim benzynę. Ukraina za pomocą dronów od miesięcy skutecznie atakuje rosyjskie składy paliw i rafinerie. Dlatego Trump nie tylko dogadał się z Putinem, ale też żądał, by Ukraina zaprzestała ataków na rafinerie.

Prezydent Ukrainy, który jest wyjątkowo ostrożny w krytykowaniu Trumpa, tym razem nie mógł milczeć i nazwał umowę dieslową prezentem dla Putina i inwestowaniem w wojnę. Prezydent USA odpowiedział gniewną tyradą: „Ukraina potrzebuje nowego prezydenta, kogoś, kto potrafi się dogadać". Przy okazji wskazał winnego kryzysu paliwowego – to Ukraina, która bombarduje Rosję. W kręgach MAGA komentuje się, że Wołodymyr Zełenski po cichu pomaga Demokratom odwojować większość w parlamencie. Prezydent Ukrainy nie chce tracić wsparcia USA. Na celownikach dronów na razie zamiast rafinerii znalazły się centra danych firmy Yandex (rosyjski odpowiednik Google). Oficjalnie Zełenski stwierdził, że Ukraina przestanie niszczyć rafinerie, jeśli Rosja powstrzyma ataki na infrastrukturę energetyczną. Po tych słowach Trump – wywołując zdziwienie zainteresowanych – ogłosił, że doszło do „energetycznego zawieszenia broni" między Moskwą a Kijowem. Nie przetrwało ono długo, po kilku godzinach Rosja zbombardowała dużą elektrociepłownię w Charkowie.

PAWEŁ RESZKA

Trump znów bez Nobla



Prezydent USA może nie wywołał z tego powodu wojny, jednak już nałożył sankcje na pracodawcę laureatki. Ale najpierw o niej samej – 9 października Norweski Komitet Noblowski przyznał pokojowego Nobla **Navanethem „Navi" Pillay**, południowoafrykańskiej prawniczce, „za działania na rzecz międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości". Pillay to uznana ekspertka – od lat związana z Międzynarodowym Trybunałem Karnym (MTK; zajmowała się tam m.in. sprawą wojny w Rwandzie), była sędzią jego Izby Apelacyjnej (2003–08), potem pełniła funkcję Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka. Najwięcej międzynarodowej uwagi przyciągnęła jej praca jako szefowej oenzetowskiej komisji ds. palestyńskich terytoriów okupowanych, która rok temu uznała, że Izrael dopuszcza się ludobójstwa na Palestyńczykach. Nie umniejszając zasług Pillay, jeśli Komitet Noblowski poszukiwał kogoś, kto zdenerwuje Donalda Trumpa, to nie mógł lepiej wybrać.

85-letnia Pillay to przypadek wyjątkowy. Wywodzi się z tamilskiej mniejszości w RPA, która w czasach apartheidu nie była tak prześladowana jak czarna ludność, ale wyraźnie sympatyzowała z opozycją skupioną wokół Nelsona Mandeli. Tego ostatniego w kilku procesach broniła właśnie Pillay. Po demokratyzacji w latach 90. jako pierwsza kolorowa kobieta trafiła do sądu najwyższego RPA. Potem zaczęła się jej kariera w międzynarodowym wymiarze sprawiedliwości, co współgrało z silnym zaangażowaniem RPA na tym polu – rząd tego państwa w 2023 r. złożył głośny pozew przeciw Izraelowi przed trybunałem haskim w sprawie możliwego ludobójstwa w Gazie (Pillay brała ponoć udział w pisaniu tego pozwu). Obecnie pracuje jako sędzia śledczy Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości przy oskarżeniu Mjanmy o ludobójstwo na Rohingjach. Gdy w zeszłym tygodniu dowiedziała się o nagrodzie, była właśnie na sali sądowej w Norymberdze, gdzie w 1946 r. sądzono niemieckich zbrodniarzy.

Trump się wściekł. Nadal liczy kolejne zakończone przez siebie wojny i domaga się pokojowego Nobla. Nie wystarczy mu fakt, że zeszłoroczna laureatka, Wenezuelka María Corina Machado, oddała mu swoją nagrodę. Dosłownie trzy godziny po informacji o nowej laureatce prezydent USA podbił internetowy wpis jednego ze swoich prawników, w którym ten pisze o „nieodwracalnej kompromitacji" Komitetu Noblowskiego, a zaraz potem Waszyngton zapowiedział „sankcje dla podmiotów współpracujących finansowo z MTK". Trumpowi zawtórował premier Izraela Beniamin Netanjahu, który oświadczył, że komitet „utracił swój moralny kompas", a Pillay nazwał „oszołomką, która zbudowała swoją karierę na wymyślaniu i rozpowszechnianiu oszczerstw". MTK zareagował krótko: „Historia to oceni".

ŁUKASZ WÓJCIK

© YULIA MOROZOVA/ANADOLU/GETTY IMAGES, FRANK BOXLER/AFP/EAST NEWS, SENER YILMAZ ASLAN/GETTY IMAGES, YU ZHIQIANG/VCG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 50b67a7159



Wandal zapłaci?

Po interwencji policji w mieście Lens w północnej Francji pewnemu licealiście trzeba było amputować zmasakrowaną rękę. Jego adwokat ocenił, że żadna policyjna operacja przywracania porządku nie powinna usprawiedliwiać tak poważnej szkody na zdrowiu dziecka. Tym bardziej że poszkodowany zaprzecza, jakoby brał udział w trwających już od prawie miesiąca burzliwych **manifestacjach młodzieży** przeradzających się w zamieszki. Dziś we Francji mówi się przede wszystkim o bezprecedensowej skali represji – przez ten okres prawie 7 tys. osób zostało zatrzymanych, prawie 90 proc. spośród nich stanowili nieletni. Budzi to niepokój pedagogów i obrońców praw człowieka, podobnie jak szykowana ustawa „wandal płaci" przewidująca odpowiedzialność karną i finansową każdego z grupy manifestantów, nawet tych, którzy sami nie niszczyli mienia ani nie atakowali policji.

Jak widać, władze stosują metodę zastraszania, choć nie przynosi pozytywnych rezultatów. Akcje policji popiera przede wszystkim skrajna prawica. Zaniepokojenie wywołała publikacja danych niezwiązanych z obecnymi zamieszkami – padł rekord aktów przemocy w przestrzeni publicznej: na ulicy, w sklepach czy placówkach kultury (ponad 20 tys. takich zdarzeń miesięcznie jest zgłaszanych policji).

Z sondażu opinii publicznej (Ipsos-BVA) wynika, że 54 proc. Francuzów popiera wystąpienia licealistów, choć nie wszystkie ich postulaty. Niemal wszyscy uważają, że młodzi mają rację, gdy żądają mniej liczebnych klas czy remontu starych budynków szkolnych. Nie podoba się natomiast postulat zmniejszenia liczby godzin nauki, a kontrowersje wywołuje internetowa platforma rejestracji na studia wyższe Parcoursup. Zdania są podzielone, bo jedni uważają, że to lepsze niż wystawanie w kolejkach przed uniwersytetami, inni – że to wersja Wielkiego Brata, który pod hasłem wyrównywania szans przydziela maturzystom uczelnie bez uwzględnienia ich wiedzy i wyników, co wielu dobrych uczniów skłania do studiów za granicą. Mnożą się ostrzeżenia znanych ekonomistów, że Francji grozi multikryzys – przede wszystkim finansowy, a także społeczny i polityczny, co w obliczu zbliżających się wyborów prezydenckich wiosną 2027 r. źle prognozuje całej naszej Europie. MO

Pekin bezdronowy

Mieszkańcy 22-milionowej stołecznej aglomeracji dostali dwa miesiące na pozbycie się dronów. Bezprecedensowy zakaz wchodzi w życie 15 listopada; zabrania używania dronów, ich posiadania oraz wwożenia do Pekinu i obejmuje także dronowe komponenty. Miasto wydzieliło sieć placówek, gdzie można posiadany sprzęt odsprzedać, przysługuje za to rekompensata, ale ceny szybko spadły i w internecie ruszyły żale, że to rodzaj rozboju. Admiratorzy i kolekcjonerzy żegnają się ze swoimi ulubionymi zabawkami, ale też sporo jest pochwał decyzji władz podjętej – jak się podkreśla – w imię bezpieczeństwa. Drony można też za darmo wysłać kurierem poza stolicę, gdzie zakazy nie obowiązują, albo je zezłomować za 200 juanów (116 zł) nagrody. O wszystkim trzeba poinformować policję, która ma później konfiskować sprzęt i surowo karać.

Rejestrować drony trzeba tu było już od 1 maja, wtedy też wyszedł zakaz sprzedaży na terenie całego Pekinu. Wydarzenia przyspieszyły po 26 czerwca, kiedy dwuosobowy amatorski samolot, zboczywszy z kursu, uderzył w 108-piętrowy CITIC Tower, najwyższy budynek Pekinu. Pilot (jak się okazało, miał myśli samobójcze) zginął, rannych zostało 13 osób. Incydent ocenzurowano i wykasowano z sieci, ale musiał na władzach zrobić wielkie wrażenie. We wrześniu w promieniu 300 km od centrum ustanowiono powietrzną specjalną strefę bezpieczeństwa z rygorystycznymi zasadami ruchu lotniczego, złożonymi głównie z zakazów i ograniczeń. Obostrzenia obejmują także wschodzący rynek transportu dronowego i innej komercyjnej działalności z użyciem bezzałogowców. Pekin staje się stuprocentową strefą bezdronową.



Jest to głęboki paradoks, bo sektor ten w 15. Planie Pięcioletnim (2026–30) uznany został przez partię za strategiczną dziedzinę rozwoju. Nazywa się ją gospodarką niskich wysokości – o szerokiej przydatności cywilnej i rzecz jasna wojskowej. Chiny tu dominują: sam gigant DJI z Shenzhen, technologicznej stolicy kraju, skupia ponad 70 proc. światowego rynku dronów, cywilnych i komercyjnych, a 90 proc. globalnego rynku komponentów – silników, mikroczipów, baterii – jest chińskiej produkcji. To w Shenzhen na co dzień można napotkać futurystyczne widoczki z udziałem bezzałogowców, a miasto jest z nich szczególnie dumne. Pekin oddaje to pole bez walki. WP



Ostrołęka


Leszczydół-Nowiny

Czyj to challenge?

Ataki nożownicze w szkołach i zabójstwo, planowanie rzezi i próby podkładania bomb. Ostatnie dni przyniosły skumulowany dramat, jakiego Polska nigdy nie widziała. Co się dzieje z młodymi ludźmi?

JOANNA CIEŚLA

Pierwszy akt rozegrał się w środę 7 października. 19-letni maturzysta z Zespołu Szkół Zawodowych w Ostrołęce wszedł do szkoły i ranił nożem jednego z uczniów. Potem zaatakował kolejnych czterech i dwóch nauczycieli. Uciekając ze szkoły, rzucił się jeszcze na dwie osoby. W klasie zostawił plecak, w którym coś zaczęło dymić. Nauczycielka wyrzuciła go przez okno. Jak się później okazało, zawierał domowej roboty bombę. Tego samego dnia 160 km na zachód, w Sierpcu, policja zatrzymała 17-latka, który mówił, że „zrobi coś złego w szkole". Funkcjonariusze w rzeczach osobistych chłopaka znaleźli dwa noże, a w telefonie historię wyszukiwania informacji o tym, jak przeprowadzić atak.

Drugi akt nastąpił w czwartek. 15-latek zabił 37-letnią woźną w podstawówce we wsi Leszczydół-Nowiny pod Wyszkowem. Zaatakował ją nożem. Oprócz niej – nauczyciela i dyrektora szkoły. Chłopak na głowie miał kask z kamerką, która nagrywała, co robi.

To wszystko poprzedzał rozciągnięty w czasie prolog. 22 września 11-latek z Kolna na Podlasiu toporkiem ranił 10-latkę. Cztery dni wcześniej policja w Siemianowicach Śląskich zatrzymała 17-latka, który przygotowywał zamach na szkołę i meczet. Miał z nim współpracować 16-latek z Sosnowca. Pod koniec września w Książkach koło Wąbrzeźna funkcjonariusze przyszli po 13-latka, który planował atak na swoją szkołę. W plecaku nosił nóż.

Od popołudnia w czwartek 8 października zaczął się akt trzeci. Sieć zalały doniesienia, że najnowsze ataki są ze sobą powiązane, że to upiorny challenge, wyścig, kto więcej zdoła skrzywdzić. Po policyjnym dementi wezbrała nowa fala ostrzeżeń – przed kolejnym dniem, który miałby być „krwawym piątkiem", dniem rzezi. W komunikatorach i mediach społecznościowych zaczęły krążyć historie o tajnych komunikatach służb, listach miast i szkół „do wycięcia". – *Na whatsappowej grupie klasowej córki pojawił się „news", że Ukraińcy i Rosjanie będą mordować maczetami* – relacjonuje Anna, matka piątoklasistki z Warszawy. Jej córka wpadła w histerię, że nie pójdzie do szkoły. – *Równolegle na rodzicielskiej grupie co rusz wpadały informacje a to, że w Piasecznie szkoły zostają zamknięte, a to, że w Tarczynie, a to, że niepubliczne placówki odwołują zajęcia, sama nie wiedziałam, co robić* – opowiada kobieta.

9 października w wielu warszawskich szkołach na zajęciach pojawiła się ledwie połowa uczniów. „Krwawego piątku" nie było. O godz. 17 policja informowała, że skontrolowała w kraju prawie 35 tys. placówek. Zatrzymano 59 osób, zazwyczaj w wieku 13–19 lat. Część zapowiadała w internecie, że dokona ataku, część chciała wnieść do szkoły np. noże, maczety, butelki z benzyną lub młotki. Na komunikatorach pojawiły się wpisy, że „krwawa akcja" jest przedłużona do wtorku. W sobotę rano policja poinformowała, że zatrzymano kolejnych 17 osób. Kilka godzin później 21-latka w szkole policealnej w Warszawie zaatakowała nożem trzy kobiety.

Odpowiedź na pytanie, co się dzieje z polskimi dziećmi i młodymi ludźmi, brzmi: wszystko naraz.

W lawinie głosów, które można usłyszeć w dyskusjach internetowych i publicystycznych, jeden wymaga uwzględnienia

© PAP/ARTUR RESZKO, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, MAZOWIECKA POLICJA

eprasa.pl 50b67a7159

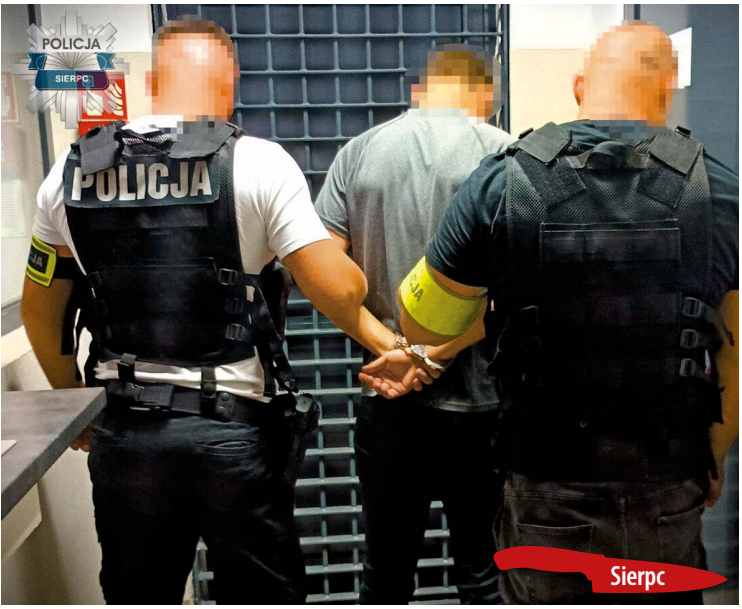

na starcie. To wątpliwość: czy nie mamy do czynienia ze złudzeniem? A może – przynajmniej prób – ataków zawsze było więcej, niż widzieliśmy, tylko teraz ustawiliśmy ostrość na te informacje?

Wspólnoty zła

– *Takich zdarzeń jest więcej, niż przedostaje się do mediów. Niektóre zostały powstrzymane przez służby na etapie przygotowania, usiłowania itd., więc nie doszły do skutku* – potwierdza prok. Maciej Młynarczyk z Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Prokurator podkreśla, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego dostrzega radykalizację młodych. Pod koniec kwietnia zorganizowała konferencję na temat wpływu tych procesów na bezpieczeństwo państwa. Opisano to w raporcie ABW jako jeden z głównych obszarów wymagających uwagi służb. Pisaliśmy o tym w POLITYCE (nr 29).

– *Przedstawiciele Europolu wskazują, że wzrost przestępczości młodych ludzi, w szczególności z wykorzystaniem ekosystemu platform internetowych, nastąpił bezpośrednio po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę* – relacjonuje dr Konrad Ciesiołkiewicz z Centrum Analiz Społeczeństwa Informacyjnego Uczelni Korczaka. Jednego z najpoważniejszych zagrożeń eksperci upatrują w efemerycznych środowiskach zwanych Com (z ang. *community* – wspólnota). Członkowie tych środowisk docierają do dzieci poprzez serwisy społecznościowe, komunikatory i gry typu Minecraft czy Roblox. Wychwytują osoby podatne na manipulacje i wciągają je w iluzoryczne relacje „romantyczne" albo „przyjacielskie". Na tej kanwie dzieci zmusza się lub namawia do tworzenia np. drastycznych lub seksualnych treści, a potem również do nagrywania, fotografowania lub streamowania, jak w realnym świecie przekraczają kolejne granice. Torturują i zabijają zwierzęta, napadają, ranią, podpalają, a w skrajnych przypadkach mordują też inne osoby, podkładają ładunki wybuchowe lub dzwonią z groźbami, że to zrobili. Uczestnicy Com sieją chaos i strach. – *Ich psychika* – tłumaczy dr Ciesiołkiewicz – *jest dodatkowo szatkowana zmieniającymi się co rusz ideologicznymi hasłami, a to neonazistowskimi, a to religijnymi, a to z narracji ekoterroryzmu*. Dzięki temu stają się narzędziami przemocy – czystej, nihilistycznej. Trwały element to tylko celebracja zła – na grupach dla fanów seryjnych morderców, w grupach *gore* (z ang. zakrzepła krew), budujących wspólnotę poprzez udostępnianie sobie brutalnych materiałów przedstawiających egzekucje, śmiertelne wypadki czy okaleczenia ciała. Częstym zadaniem w ramach Com jest wycinanie rozmaitych, np. satanistycznych, symboli na skórze – własnej lub ofiar. Można też powiedzieć, że chodzi o wyzwanie, czyli challenge – im brutalniej i okrutniej, tym bardziej rośnie pozycja sprawcy w społeczności. Jednak zazwyczaj nie chodzi tu o dosłownie rozumianą rywalizację – zadania każdy dostaje własne. Spersonalizowane.

Ale Com to tylko jeden z możliwych dyfuzorów zła. Dr Kacper Rękawek, analityk z International Centre for Counter-Terrorism (ICCT, Międzynarodowe Centrum Zwalczania Terroryzmu), zwraca uwagę na działalność pod szyldem Terrorgramu. – *To kolektyw kont i czatów ludzi kontaktujących się poprzez serwis Telegram. Uczestnicy tej społeczności przez kilka lat radykalizowali się nawzajem, wspierali w tworzeniu treści o charakterze skrajnie prawicowym. Prawdopodobnie zamawiano w tym środowisku także przeprowadzanie ataków terrorystycznych, np. w Bratysławie w 2022 r. na popularny bar gejowski*. Ekspert zwraca uwagę, że jeśli na terenie niewielkiej Słowacji już cztery lata temu prowadzono ten rodzaj działalności, w pewnym sensie mieliśmy wiele szczęścia, że przestępcze grupy ekstremistyczne podobne do Terrorgramu nie dawały wyraźnie o sobie znać.

Według nieoficjalnych informacji policji zatrzymany w jednej z najgłośniejszych spraw ostatnich dni ma na skórze nacięcia wskazujące na możliwy związek z Com. Inny, jak wspominano, nagrywał na kamerce swój przestępczy rajd. Materiały publikowane w mediach społecznościowych przez kolejnego sprawcę wskazują na fascynację przekazem skrajnie prawicowym.

A to wszystko wciąż nie wyczerpuje scenariuszy tego, jak dzieci mogą odpływać w ekstremizm. Michał Pietraszko z zespołu prasowego Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości przypomina, że sam kontakt z brutalnymi treściami oswaja z przemocą, może też do niej inspirować. A będąc nastoletnim czy nawet kilkuletnim uczniem, spędzając godziny w internecie, tego kontaktu uniknąć się nie da. W tym sensie wszystkie dzieci są dziś świadkami przemocy. Natykają się na nią co rusz i nic ich nie chroni.

Profil school shootera

Prawie wszystkie dzieci są też ofiarami przemocy. Pokazuje to publikacja Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę „Rówieśnicy. Raport 2026 o przemocy rówieśniczej". Według ankiet wypełnionych przez ponad 140 tys. uczniów i uczennic powyżej 10. roku życia 87 proc. z nich doświadczyło w roku poprzedzającym badanie przynajmniej jednej formy przemocy rówieśniczej. Najliczniejsi – 58 proc. – byli wyśmiewani i krytykowani za wygląd. 53 proc. ktoś celowo uderzył oraz wykluczał. Co trzeci uczestnik badania był zmuszony do zrobienia czegoś, czego nie chciał, co czwartemu ktoś coś ukradł, groził w internecie oraz rozsyłał złośliwości na jego temat. 24 proc. dzieci i nastolatków było zaczepianych lub bitych przez grupę. Co trzeci uczeń był ofiarą powtarzalnego dręczenia – bullyingu – w realnym bezpośrednim kontakcie.

Amerykańskie badania nad osobami, które dokonywały ataków w szkołach na terenie Stanów Zjednoczonych lub które planowały taki czyn, skrupulatnie potwierdzają, że były to osoby dotknięte trudnymi doświadczeniami. – *Zazwyczaj czuły się wykluczone z grupy rówieśniczej lub niesprawiedliwie traktowane przez nauczycieli. Akty przemocy niemal zawsze były napędzane intencją zemsty albo poszukiwania sprawiedliwości* – tłumaczy prof. Małgorzata Golonka-Wójcik, psycholog z Uniwersytetu SWPS. Dodaje, że medialne informacje o przeprowadzonym przez kogoś innego ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ ataku, powszechne zainteresowanie nim, na część sprawców działały jak trigger, ułatwiały „wkroczenie do akcji".

Przy czym badania nie pozwoliły stworzyć profilu typowego *school shootera*. Część z nich ma rysy psychopatii, są i tacy, którzy przeżywają psychozy, rzuty urojeń. – *Znaczenie ma bardzo wiele czynników, także to, czy osoba jest w stanie podjąć działanie, czy ma tak silną motywację. Bardzo ważne jest, czy osoba będąca np. ofiarą przemocy rówieśniczej ma wsparcie rodziny. Czy rodzice oferują pomoc, czy przekaz „to wszystko twoja wina*". Istotne jest też, czy jacykolwiek inni rówieśnicy akceptują dziecko lub nastolatka – czy ma „swoją" grupę: sportową, harcerską, związaną z jakąś pasją.

Najważniejszy wniosek z amerykańskich badań jest taki, że większości ataków można by zapobiec, gdyby odpowiednio zareagowano na kumulujące się sygnały ostrzegawcze. Bo większość sprawców wcześniej ujawnia swoje zamiary komuś z otoczenia, zachowuje się niepokojąco, zaczyna interesować się bronią, informacjami o masakrach. W relacjach świadków ostatnich dramatów w Polsce podobny motyw też się powtarza – nastolatek opowiada, że podpali kościół, że nienawidzi koleżanki, ogląda zdjęcia karabinów albo maczet, nieraz wprost mówi o swoich fascynacjach masakrami. W kilku przypadkach zgłoszenia do nauczycieli lub rodziców od dzieci i nastolatków zostały potraktowane serio, młodym człowiekiem zajęto się, zanim nieszczęście z planu stało się faktem.

Przemoc rodzi sprawcę

Ale bywa też, że dzieci coś sygnalizują, a nie wynika z tego nic. – *Ostatnie wydarzenia obalają jeden z mitów, że małe szkoły nie potrzebują wsparcia fachowców, bo w małych szkołach wszyscy o wszystkich wiedzą i panuje miła, rodzinna atmosfera. Niestety, to nie zawsze gwarantuje spokój* – podkreśla prof. Golonka-Wójcik. – *Wystarczy jedna osoba, która nie poprosi o pomoc albo nie zgłosi obaw, bo nie ma jasności, komu należy powiedzieć i co, czy to na poważnie, czy to żarty. W społeczności, która dobrze się zna, powstaje czasem złudne poczucie, że nic złego się nie może wydarzyć.*

A nie chodzi tu tylko o szkołę. Przynajmniej dwoje sprawców październikowych ataków doznawało przemocy domowej. Jeden z nich był ofiarą od pierwszych lat życia. Raz jeszcze Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, publikacja „Diagnoza przemocy wobec dzieci w Polsce 2023": „32 proc. dzieci doświadcza przemocy ze strony bliskich dorosłych". Wiadomo od dekad, że to przemoc rodzi sprawcę. Dziw, że tylko niektóre dzieci stają się sprawcami.

Prof. Ireneusz Krzemiński, socjolog, w mediach społecznościowych zwracał kilka dni temu uwagę na rosnący do niedawna (i wciąż wysoki) odsetek młodzieńczych samobójstw. „Odsetek samobójstw – podkreślał – to od czasu Durkheima najlepszy, niestarzejący się wskaźnik zanikania i słabości więzi między ludźmi w społeczeństwie". Być może agresja, przez lata kierowana przez młodych ku sobie, po prostu zaczęła teraz zmieniać wektor.

Jednym z najbardziej przejmujących wystąpień ostatnich dni było to w TVN komendanta głównego policji Marka Boronia. Generał, doświadczony w wydziale zabójstw, Centralnym Biurze Śledczym i Biurze Wywiadu, podkreślał, że tym, co dziś nam najbardziej potrzebne, są bezpieczeństwo, relacje i miłość. A to, żeby młodzi nam uwierzyli, że chcemy opiekować się nimi i dbać o nich, uznał za aktualny challenge dla dorosłych.

Ale sprawcy, inspirowani przez grupy typu Com, czasem też grają na piętrowym poziomie. Dostają instruktaż, jak „po wszystkim" udawać ofiarę przemocy, by wzbudzić litość, uniknąć kary lub przynajmniej ograniczyć jej dolegliwość.

Era terroru

To paradoks, że gdy wypatrywany z lękiem od dekad terroryzm w końcu do nas przyszedł, okazało się, że ma jasną skórę, niewinną twarz i zazwyczaj płynnie mówi po polsku. Bo dr Kacper Rękawek z ICCT potwierdza, że fala, z którą mamy do czynienia, to terror. – *Za terroryzm uznaje się uderzenie w przypadkowych obywateli lub w mienie. Może to być motywowane radykalnymi przekonaniami religijnymi lub politycznymi albo też ideologią. Nihilizm, z jego hasłami, np. No Lives Matter, też można uznać za specyficzny rodzaj ideologii, że wszystko, co naokoło nas, jest złe, okropne. Musi upaść.*

Ekspert zgadza się, że nadmiernym uproszczeniem jest przypisywanie Rosji pierwotnego sprawstwa i wyłącznej inicjatywy demolowania głów młodym w Polsce. Choć niewątpliwie pogłębianie lęku i społecznej destabilizacji w naszym kraju jest w interesie Moskwy. – *Ale zainteresowanych tym podmiotów może być więcej, łącznie ze „zwykłymi" organizacjami przestępczymi.* Doktor uważa, że kluczowa może być – jak to ujmuje – „próchnica społeczna", rozpad więzi i desperackie próby kierowania na siebie uwagi.

A atak wymierzony w system edukacji? Na razie nic na to nie wskazuje. Młodzi nożownicy i niedoszli zamachowcy byli zatrzymywani także przez całe wakacje, w czerwcu, lipcu i sierpniu. Napadali na ludzi na ulicach.

Oczywiście ciśnie się na usta pytanie, dlaczego rozwiązaniom choć częściowo hamującym patologie, na których opiera się rozwój ekstremizmu, tak nerwowo sprzeciwia się polityczna prawica. 8 października Sejm w trybie pilnym przyjął ustawę umożliwiającą blokowanie w internecie nielegalnych treści, w tym drastycznych i nawołujących do przemocy. W antyrządowej Telewizji Republika przez ekran przewijały się paski: „Tragedia w szkole pretekstem dla Tuska do wprowadzenia cenzury" (na zmianę z hasłem „Nie posyłaj jutro swoich dzieci do szkoły. Zamachowcy grożą, że zabiją 60 uczniów"). Prezydent Karol Nawrocki już raz, zasłaniając się właśnie sprzeciwem wobec cenzury, odmówił podpisania ustawy ułatwiającej stosowanie w Polsce unijnego Aktu o usługach cyfrowych (DSA). Choć pozwoliłoby to sprawniej usuwać np. filmy instruujące, jak dręczyć zwierzę. Karol Nawrocki odmawia też akceptacji przepisów regulujących rynek kryptowalut, poprzez który rozliczają się np. środowiska Com.

Co dalej? Rząd zapowiada, że kontrole policji w szkołach będą przedłużone. Przeprowadzone mają też zostać ćwiczenia procedur reakcji na atak terrorystyczny. Anna, matka piątoklasistki z Warszawy, martwi się, że wszystko to doprowadzi w końcu do rozstroju jej córkę. Mała i tak już wcześniej była wystraszona lekcjami o ewakuacji na wypadek ataku militarnego, próbnymi alarmami i rozwieszonymi w szkole instrukcjami reagowania podczas zagrożenia nalotem.

Być może bardziej dopracowane pomysły pojawią się za kilka tygodni. Na 21 października minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zwołał spotkanie przedstawicieli resortów sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, obrony, edukacji, nauki i szkolnictwa wyższego, a także ABW, NASK, RPO i policji. We wspólne działania będą też angażowani dyrektorzy szkół, kuratorzy oświaty, kuratorzy sądowi i sędziowie rodzinni. – *Musimy przełamywać nawyki pracy na zamkniętych poletkach resortów, a ćwiczyć jak najszybsze informowanie się nawzajem i współpracę, gdy któraś ze służb dostrzega niepokojące zjawisko lub incydent* – podkreśla prok. Maciej Młynarczyk. Wierzy, że wynikną z tego konkrety. Wszyscy marzą, by pozostały czas minął bez wstrząsów.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 50b67a7159



Zabawy z bronią

Prezydent Nawrocki chce, byśmy zaczęli rozmawiać o dostępie do broni. Rozmowa już trwa, tylko że zamiast argumentów mamy mity, amerykańskie klisze i mylne przekonanie, że więcej pistoletów w polskich domach oznacza więcej bezpieczeństwa.

ZBIGNIEW BOREK

Pod koniec września Karol Nawrocki przyjechał do mazowieckiej wsi Boguty-Pianki na otwarcie strzelnicy i zaapelował o rozpoczęcie „odpowiedzialnej i poważnej publicznej dyskusji o dostępie do broni". Prezydent przekonywał, że Polska jest pod tym względem na końcu Europy. Podał przy tym liczbę ok. 1 proc. Polaków, którzy – podobnie jak sam Nawrocki – mają dostęp do broni i potrafią ją obsługiwać. Zabrzmiało jak wystrzał startera.

Szkopuł w tym, że nie wiemy, ilu Polaków ma broń i ilu potrafi z niej korzystać. Nie wiemy też, czy są to akurat ci, na których państwu powinno zależeć najbardziej. Wiemy natomiast, że większość Polaków jest przeciwna ułatwieniom w dostępie do broni. Eksperci zaś dzielą się na zwolenników utrzymania obecnego stanu – bo pozwolenie na broń można zdobyć u nas dość łatwo jak prawo jazdy – i zwolenników zwiększenia potencjału obronnego kraju. – *Czas na gadanie minął* – mówi Dariusz Nawrocki (zbieżność nazwisk przypadkowa – przyp. red.), który handluje bronią, prowadzi strzelnice, szkoli mundurowych i młodzież. Jednak przestrzega: – *Nie róbmy niczego na rympał.*

Z tarczą i na tarczy

Dwa pistolety: Glock 17 piątej generacji i CZ Shadow, dwa karabinki: PAC9 PCC i Diamondback oraz strzelba gładkolufowa Mossberg Maverick 88. Strzałów 20, po pięć z każdego rodzaju broni. Odległości: od 10 do 100 m. Liczba trafień: 16. – *Do pozwolenia na broń wystarczy* – mówi instruktor na strzelnicy Pretor ▶

© WOJCIECH LELIŃSKI/SHUTTERSTOCK AI

eprasa.pl 50b67a7159



▶ w Racławiu (woj. lubuskie) tuż po tym, jak reportera nauczył strzelać. Prosto z marszu: wystarczyły rejestracja na tablecie (adres, telefon, akceptacja regulaminu), ustny instruktaż i pokaz.

To najszybszy sposób, żeby w Polsce strzelać z legalnej broni – i to ostrej, bo strzelecka niczym się nie różni od bojowej. Aby ją kupić i trzymać w domu, potrzebne jest pozwolenie na broń. To też łatwe. Najpierw wyrabiasz licencję zawodniczą, a do tego wystarczy brać udział w zawodach i wystrzelić odpowiednią liczbę nabojów, które wcale nie muszą trafić w tarczę. Dzięki temu nie musisz już zdawać egzaminu policyjnego. Policja sprawdzi jedynie, czy spełniasz ustawowe wymogi: ważne, żebyś nie miał kryminalnej przeszłości, a badania lekarskie i psychologiczne wskażą, czy jesteś zdrowy na ciele i umyśle.

– *Jako uzasadnienie dla zakupu broni wskażesz cel sportowy i to wystarczy, dlatego trochę byłem zdziwiony słowami prezydenta, że coś trzeba jeszcze ułatwiać. W końcu rozmawiamy o sprzęcie, który służy do zabijania* – mówi Przemysław, 40-latek z zachodniej Polski. Na zakup każdego rodzaju broni potrzebne jest policyjne zaświadczenie, ale i to nie stanowi problemu: Przemysław ma ich pięć, wykorzystał dwa. Pokazuje szafę pancerną w garażu, a w niej czeski pistolet CZ Shadow i amerykański karabin AR-15, cywilny odpowiednik wojskowych M16 i M4. To nie jest tani sport: na zdobycie pozwolenia, zakup broni i szafę wydał ok. 15 tys. zł (a ile na amunicję, boi się zliczyć). – *Jeden z kolegów zamienił pokój w zbrojownię: sześć szaf, sześć–siedem sztuk broni w każdej. Sypia z pistoletem pod poduszką* – opowiada Przemysław.

Inną, też prostą, drogą do otrzymania pozwolenia na broń jest myślistwo – wtedy zapisujesz się do koła łowieckiego, a reszta jest podobna. Nawet jednak takie formalności możesz ominąć i kupić w Polsce legalną broń bez żadnego pozwolenia: wystarczy mieć skończone 18 lat, żeby zostać właścicielem broni czarnoprochowej. Nazywa się ją bronią oddzielnego ładowania, bo proch i kulę umieszcza się osobno w lufie lub komorze, a potem zakłada kapiszony. W popularnej replice rewolweru Remington 1858 sześciokomorowy bębenek można jednak wymieniać podobnie jak magazynek w pistolecie i nosić zapasowe bębenki w ładownicach na pasie. „Remington kalibru 44 to broń celna i dużo potężniejsza od Glocka 17, pistoletu służbowego policjanta" – pisze w analizie porównawczej Paweł Moszner, były policjant i były oficer GROM, obecnie biegły sądowy w zakresie broni.

– *Broń trzeba oswoić, a nie demonizować. Jak z samochodem: nie uczymy ludzi bezpiecznej jazdy, utrudniając dostęp do aut, tylko poprzez prawo jazdy, egzamin i praktykę* – mówi Dariusz Nawrocki. Sam uczy strzelać pięcioletnią wnuczkę. – *Polacy już mają dużo broni i świat się nie zawalił, a zabić można nawet ołówkiem.*

W jego poglądach skupia się to, co zwolennicy liberalizacji powtarzają od lat, a szczególnie od najazdu Rosji na Ukrainę: skoro państwo uznaje dorosłego człowieka za odpowiedzialnego na tyle, by prowadzić samochód, wychowywać dzieci czy kupować alkohol, dlaczego automatycznie nie ufa mu w sprawie broni? Problemem jest według nich konieczność wykazania tzw. ważnej przyczyny uzasadniającej posiadanie broni. Ustawa o broni i amunicji wymienia m.in. cele sportowe, łowieckie i kolekcjonerskie, a przy broni do ochrony osobistej wymaga stałego, realnego i ponadprzeciętnego zagrożenia. Zwolennicy liberalizacji uważają, że to stawianie wozu przed koniem: dlaczego mam najpierw udowodnić państwu, że jestem zagrożony, żeby móc się przygotować na zagrożenie? Albo inaczej: jeżeli spełniam obiektywne warunki – jestem zdrowy psychicznie, niekarany, przeszedłem szkolenie i zdałem egzamin – dlaczego urzędnik ma oceniać moją motywację?

I koronny argument: dzięki powszechnemu dostępowi do broni Kowalski obroni się przed włamywaczem (choć trudno o konkretne przypadki). Inaczej kalkulowałby ryzyko także agresor zewnętrzny, wiedząc, że w razie wojny wyszkoleni cywile stanowią dodatkowy zasób obronny. Tylko czy broń w każdym domu zwiększyłaby nasze bezpieczeństwo, czy przeciwnie?

Jak dostać pozwolenie

Zgodnie z ustawą z 21 maja 1999 r. o broni i amunicji policja wydaje pozwolenie, jeżeli wnioskodawca nie stanowi zagrożenia dla siebie, porządku lub bezpieczeństwa publicznego oraz przedstawi ważną przyczynę posiadania broni. Co do zasady trzeba mieć ukończone 21 lat. Ustawa przewiduje wyjątki pozwalające uzyskać pozwolenie na broń sportową lub myśliwską już od 18. roku życia. Nie można mieć zaburzeń psychicznych ani istotnych zaburzeń funkcjonowania psychologicznego, być uzależnionym od alkoholu lub substancji psychoaktywnych ani mieć prawomocnych wyroków. Trzeba przejść badania lekarskie i psychologiczne oraz – w zależności od sytuacji – zdać egzamin ze znajomości przepisów i umiejętności posługiwania się bronią. NIK wykazał jednak przypadki, w których policja nierzetelnie weryfikowała spełnienie niektórych warunków, w tym przeprowadzenie egzaminu czy istnienie szczególnego zagrożenia przy pozwoleniach na ochronę osobistą.

Arsenał niewiadomych

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musielibyśmy znać realia rynku broni w Polsce. A z tym jest kłopot. Najczęściej przy takiej okazji jest cytowane międzynarodowe zestawienie organizacji eksperckiej Small Arms Survey („Civilian Firearms Holdings"): na 100 obywateli Finlandii przypadają 32 sztuki broni, Austrii – 30, Niemiec – 19,6, Czech – 12,5, a u nas – 2,5. Do USA, gdzie broni jest więcej niż obywateli (120 sztuk na 100 osób), nie możemy się równać, ale w świetle tych danych rzeczywiście pozostajemy jednym z najbardziej rozbrojonych społeczeństw. Tylko że to dane z 2017 r.

Tymczasem w zeszłym roku liczba egzemplarzy broni palnej w rękach prywatnych przekroczyła u nas barierę miliona (1 037 778 sztuk). Tylko w ciągu czterech lat – od inwazji Rosji na Ukrainę – nasz prywatny arsenał urósł o niemal 380 tys. jednostek. Wojna tuż za granicą i rosnące napięcia geopolityczne wywołały masowe zainteresowanie bronią, wnioski o pozwolenia zalewają wojewódzkie wydziały postępowań administracyjnych. W 2020 r. w Polsce wydano 15,3 tys. pozwoleń na broń, w 2022 r. liczba ta podskoczyła do 37,4 tys., a w 2025 r. padł kolejny rekord – wydano 50 709 pozwoleń. Największą grupę stanowiły tzw. pozwolenia kolekcjonerskie (obejmują broń historyczną i zabytkową, klasyczne modele broni sportowej, a także współczesną broń limitowaną lub prototypową, którą można nosić tylko na strzelnice): wydano 21 071 decyzji. Na kolejnych miejscach znalazły się sportowe (17 601) i pozwolenia na broń do ochrony osobistej (7254).

Warto jednak precyzyjnie odczytywać te dane. Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z maja 2026 r. wykazała, że oficjalne statystyki jeszcze w zeszłym roku odnosiły się do decyzji administracyjnych: jedna osoba mogła posiadać równolegle pozwolenie do celów sportowych, kolekcjonerskich i łowieckich,

eprasa.pl 50b67a7159

a w statystyce pojawiała się jako trzy osoby. NIK stwierdził więc wprost, że państwo nie wie, ani ilu ludzi ma pozwolenie, ani ilu ludzi posiada broń (bo nie każdy, kto ma pozwolenie, kupuje broń). Obraz zaciemnia także to, że ta cywilna jest ewidencjonowana w policyjnym rejestrze „Broń", a prywatna broń żołnierzy zawodowych – w systemie „Hefajstos" Żandarmerii Wojskowej; dane z tych systemów nie są scalone, nie wiemy więc, ile egzemplarzy należałoby dopisać do miliona cywilnych. Broni czarnoprochowej z kolei nie obejmują żadne rejestry. W założeniu miała być zabytkiem sprzed 1885 r., ale ostatecznie przepisy objęły także współczesne repliki. Policyjni związkowcy szacują, że w Polsce może być nawet 500 tys. egzemplarzy, zwłaszcza właśnie replik, które zlikwidowały barierę cenową: najpopularniejsze modele kosztują ok. 2 tys. zł.

Powtórzmy: prezydent mówił nie o pozwoleniach, lecz o osobach mających „dostęp do broni i potrafiących ją obsługiwać", ale i takiej statystyki państwo nie prowadzi. Można policzyć aktywnych zawodników z licencją sportową, członków klubów czy myśliwych, ale są to kategorie częściowo się nakładające. A poza tym nie wiemy, ilu z nich rzeczywiście potrafi się bronią posłużyć, bo nikt nie weryfikuje, ile razy w roku poluje myśliwy albo jak często ćwiczy na strzelnicy posiadacz licencji sportowej. Ludzie z branży strzeleckiej dzielą użytkowników na cztery grupy: jedni umieją strzelać, ale nie chcą mieć broni w domu, drudzy nie strzelają, choć mają broń, kolejni strzelają od święta, a czwarta grupa to ci, którzy nauczyli się strzelać, zdobyli uprawnienia, kupili broń i systematycznie trenują. – *Nazywamy ich regularsami. Stanowią 20, może 30 proc., a to na nich państwu powinno zależeć najbardziej, bo mało prawdopodobne, żeby ktoś, kto ma okazjonalny kontakt z bronią, mógł się nią skutecznie posłużyć w godzinie próby* – zauważa jeden z naszych rozmówców.

Dziurawy system

A co o dostępie do broni myślą sami Polacy? Odpowiedź przynosi reprezentatywne badanie IBRiS z września 2025 r. 47,6 proc. ankietowanych uważa, że obowiązujące przepisy są wystarczające.

Kim jest posiadacz broni

Nie istnieje reprezentatywne, aktualne badanie wszystkich posiadaczy broni w Polsce. Możemy natomiast przyjrzeć się strzelcom sportowym. Badanie socjologiczne Arkadiusza Kołodzieja i Agnieszki Kołodziej-Durnaś, opublikowane w „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica" w 2023 r., objęło 253 aktywnych strzelców sportowych. 93,3 proc. stanowili mężczyźni, 6,7 proc. kobiety. 70 proc. miało wyższe wykształcenie, a najliczniejsze były grupy w wieku 31–40 i 41–50 lat. Większość pochodziła z miast liczących ponad 50 tys. mieszkańców, 70 proc. było w małżeństwie, 64 proc. miało jedno lub więcej dzieci. Powtórzmy: nie jest to portret wszystkich właścicieli broni w Polsce. Dla porównania: według Pew Research Center z 2023 r. czterech na dziesięciu dorosłych Amerykanów deklaruje, że mieszka w gospodarstwie domowym, w którym jest broń. 32 proc. osobiście ją posiada. Do posiadania broni przyznaje się 40 proc. mężczyzn i 25 proc. kobiet. Na terenach wiejskich – 47 proc., na przedmieściach – 30 proc., w miastach – 20 proc. Broń posiada 45 proc. Republikanów i ich sympatyków oraz 20 proc. Demokratów i ich sympatyków.

Ile to kosztuje

Biorąc pod uwagę koszt uzyskania pozwolenia, badania, zakup certyfikowanej szafy oraz pierwszej jednostki broni, łączny budżet wejścia w świat strzelectwa sportowego to 6–10 tys. zł. Ceny pistoletów wahają się od niespełna 3,5 do 7,5 tys. zł, przykładowo: CZ P-10 C kal. 9×19 można kupić za 2850 zł. Karabinki AR-15 w tzw. klasie budżetowej (np. Bear Creek, ZRO Delta, DPMS) kosztują 3–5 tys. zł, w klasie średniej (IWI Zion-15, FB Radom MSBS Grot, Schmeisser) 6–10,2 tys. zł, a w klasie premium (Daniel Defense, JP Enterprises, PWS) 11,5–30,9 tys. zł. Według raportu GunRadar (z 11 września 2026 r.), przygotowanego na podstawie ofert ze 150 sklepów stacjonarnych, mediana ceny naboju 9 mm Luger wynosiła 1,30 zł za sztukę, dla .22 LR – 72 gr, dla .223 Rem – 4 zł, a dla .308 Winchester – 9,50 zł. Na strzelnicach komercyjnych dla osoby nieposiadającej własnego pozwolenia koszt jednego strzału z pistoletu 9 mm to zazwyczaj 2,50–5 zł, podczas gdy posiadacz własnej broni i licencji płaci jedynie za amunicję ze sklepu (ok. 1,10–1,30 zł/szt.) i opłatę za stanowisko (ok. 30–60 zł/godz.). Strzelectwo traktowane rekreacyjnie (np. 50 naboi raz w miesiącu) to koszt rzędu 100–150 zł. W przypadku regularnego treningu sportowego (np. 300–500 naboi) same koszty amunicji wzrastają do 400–700 zł miesięcznie.

26,8 proc. opowiada się za ułatwieniem dostępu. 17,8 proc. domaga się zaostrzenia regulacji, a prawie 8 proc. nie ma zdania. Ważne jest także to, że aż 92,7 proc. ankietowanych popiera wprowadzenie obowiązkowych okresowych badań psychologicznych dla wszystkich posiadaczy broni. Dodatkowo 76,3 proc. badanych uważa, że takimi badaniami bezwzględnie powinni zostać objęci również myśliwi. Jednocześnie aż 93,7 proc. Polaków popiera organizowanie szkoleń wojskowych i nauki obsługi broni dla cywilów. 46,6 proc. ocenia, że poprawiłoby to obronność kraju. Podobne wyniki przyniósł sondaż CBOS z sierpnia 2022 r. Tylko 5 proc. respondentów poparło w nim zasadę, według której każdy obywatel powinien mieć prawo do broni, chyba że sąd mu tego zakaże. Płynie stąd wniosek, że Polacy nie chcą rewolucji i sprzedawania broni na każdym kroku, lecz dojrzałego podejścia – prawa do szkolenia przy zachowaniu rygorystycznej kontroli, w tym psychologicznej. Tak to u nas, niestety, nie działa.

Wymóg weryfikacji np. stanu zdrowia dotyczy jedynie osób posiadających broń do ochrony osobistej i mienia. Cywile, którzy mają broń do celów sportowych, kolekcjonerskich czy łowieckich, przechodzą badania lekarskie i psychologiczne tylko raz w życiu – gdy wyrabiają bezterminowe pozwolenie. Myśliwy może oślepnąć, ale pozwolenia na broń nie straci – chyba że kogoś z niej postrzeli albo zastrzeli, ale wtedy jest już za późno. W rejestrach policji jako aktywni posiadacze broni figurują osoby ponad 100-letnie (rekordowy rok urodzenia: 1915), które jedyne badania przeszły za młodu czy wręcz już nie żyją, a broń po zmarłych bywała niezabezpieczona przez nawet 30 lat – ustalił NIK.

Izba proponuje więc wyeliminowanie patologii. W Sejmie czeka na rozpatrzenie projekt ustawy Polski 2050–Trzeciej Drogi zakładający obowiązkowe badania lekarskie i psychologiczne co pięć lat dla myśliwych, sportowców i szkoleniowców do 70. roku życia oraz co dwa lata dla osób powyżej 70 lat. To także sposób (mocno spóźniony) implementacji prawa unijnego, które obejmuje wszystkich posiadaczy pozwoleń (zakłada badania co pięć lat). Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ i Administracji zmierza do objęcia ewidencją broni czarnoprochowej. Z kolei środowiska strzeleckie, myśliwskie i tzw. wolnościowe proponują znoszenie barier administracyjnych, likwidację uznaniowości policji i promowanie powszechnego dostępu do strzelnic. Debata, do której wzywa prezydent RP, już trwa.

W poszukiwaniu celu

– *Najwyższa pora zburzyć dotychczasowy system* – uważa Dariusz Nawrocki. Za czasu PiS przygotowywał założenia projektu „Strzelnica w każdym powiecie", który został tak zdeformowany, że zamiast 380 strzelnic (tyle mamy powiatów) powstało zaledwie kilkanaście. – *Młodzi ludzie nigdy nie mieli broni w ręku. W szkołach uczą się strzelać na strzelnicach wirtualnych, bo dyrektorzy boją się odpowiedzialności. Znam uczelnię, na której studenci wydziału bezpieczeństwa nie oddali ani jednego strzału, choć strzelnicę mają pod ręką.* Gdyby to zależało od niego, poukładałby wszystko na nowo: począwszy od wychowania patriotycznego („bo co drugi Polak w sondażach deklaruje, że w razie wojny uciekłby za granicę"), przez ułożenie jednolitych programów szkoleniowych dla uczniów, studentów i dorosłych cywilów, opartych na wymogach służb mundurowych („by nauczyli się podstaw, które w razie potrzeby wojsko czy policja rozwiną"), aż po certyfikację placówek szkoleniowych („żeby nie zajmowali się tym domorośli komandosi").



Z kolei prof. dr hab. Wojciech Kulesza, szef Katedry Psychologii Społecznej Uniwersytetu SWPS, zauważa, że debaty o dostępie do broni zwykle pojawiają się w celach wyborczych. – *W USA, gdzie powszechny dostęp do broni jest zagwarantowany w konstytucji, z prywatnej broni palnej najczęściej giną nie wrogowie wewnętrzni czy zewnętrzni, ale samobójcy, czyli jej użytkownicy. Po niemal każdym akcie agresji z użyciem broni, np. strzelaninie w szkole, sprzedaż broni gwałtownie rośnie, nie dlatego jednak, że nabywcy chcą się bronić – boją się wprowadzenia obostrzeń w sprzedaży broni* – mówi prof. Kulesza.

Jest to więc mechanizm, który sam się napędza. Amerykanie nie potrafią przerwać tego zaklętego kręgu, zwłaszcza że na przeszkodzie stoi potężny segment biznesowy. Ale już np. Kanadyjczycy i Australijczycy ograniczają dostęp do broni palnej. – *Mitem jest, że posiadacz broni zawsze obroni siebie czy rodzinę. To również wiemy od Amerykanów, którzy opracowali strategię dla ofiar napadów: uciekaj, barykaduj się i czekaj na służby, a dopiero w ostateczności walcz* – mówi prof. Kulesza.

Eksperci zauważają, że posiadanie broni dodaje pewności siebie, ale nie każdy, kto strzela do tarczy, potrafi oddać strzał do człowieka, zwłaszcza w dynamicznej sytuacji. Jeśli strzeli celnie, ponosi olbrzymie koszty psychologiczne, a jeśli nie strzeli albo chybi, to na widok broni szybciej może wystrzelić napastnik. W przypadku wojny bilans jest jeszcze gorszy: ruchy oporu czy powstańcze nie mają dziś szans z profesjonalnymi armiami, a cywil z bronią to oczywisty cel dla wroga, choć może też zginąć i z ręki własnego żołnierza, który pomyli go z dywersantem.

Masowe strzelaniny

Na przykładzie USA możemy sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby zamiast noża czy innego ostrego przedmiotu broń posiadali sprawcy ostatnich masakr w Polsce, jak 19-latek, który 7 października w szkole w Ostrołęce zranił dziewięć osób, w tym pięcioro dzieci, czy 31-letni Ihor M., który w klasztorze w Jarosławiu zabił jedną osobę, a cztery ciężko ranił.
W latach 2000–25 FBI zidentyfikowało łącznie 590 incydentów typu active shooter (aktywny strzelec, czyli jedna lub więcej osób aktywnie zaangażowanych w zabijanie lub próbę zabicia ludzi w zaludnionym miejscu). Ucierpiało w nich 4087 osób (1469 zabitych oraz 2618 rannych). Tylko w ostatnich pięciu latach (2021–25 odnotowano 217 incydentów z łączną liczbą 1072 ofiar (382 zabitych i 690 rannych). Spośród tych 217 ataków 50 spełniło kryteria masowego zabójstwa (incydenty, w których śmierć poniosły co najmniej trzy osoby, nie licząc sprawcy). Za 2025 r. FBI zarejestrowało 34 incydenty, w których poszkodowanych zostało 166 osób (51 zabitych i 115 rannych), a siedem zdarzeń zakwalifikowano jako masowe zabójstwa. Przy włączeniu strzelanin ulicznych czy domowych, których FBI w kategorii active shooter nie uwzględnia, statystyki gwałtownie rosną – przykładowo Gun Violence Archive wykazuje 417 masowych strzelanin (co najmniej cztery osoby postrzelone lub zabite) w 2019 r., 611 w 2020 r. i 693 w 2021 r. Z kolei badanie opublikowane w periodyku „JAMA Network Open" wyliczyło w latach 2014–22 aż 4 011 masowych strzelanin.

Oto pięć najgłośniejszych przykładów masowych strzelanin w XXI w.:

- Las Vegas, Nevada (1 października 2017 r.). Najkrwawsza masowa strzelanina w nowoczesnej historii USA. Sprawca otworzył ogień z okien hotelu w stronę uczestników festiwalu muzycznego, zabijając 60 osób i raniąc ponad 850.
- Orlando, Floryda (12 czerwca 2016 r.). Atak w klubie nocnym, w którym zginęło 49 osób, a 53 zostały ranne w wyniku postrzałów.
- Blacksburg, Wirginia (16 kwietnia 2007 r.). Najbardziej krwawa strzelanina w kampusie akademickim, w której student zabił 32 studentów i wykładowców oraz ranił 17 kolejnych osób.
- Newtown, Connecticut (14 grudnia 2012 r.): Zamach w szkole podstawowej, w którym zginęło 27 osób, w tym 20 dzieci w wieku 6–7 lat oraz sześciu pracowników (wcześniej sprawca zabił matkę w domu).
- Sutherland Springs, Teksas (5 listopada 2017 r.): Strzelanina podczas nabożeństwa w kościele baptystów, w której zginęło 26 osób, a 22 zostały ranne.

– *Warto, żeby każdy z nas rozważył prawdopodobieństwo użycia broni i zastanowił się, czy zamiast uczyć się strzelać, nielepiej zacząć od nauki nawigowania dronami albo zasad pierwszej pomocy, co może się przydać i w czasie wojny, i w czasie pokoju* – mówi prof. Kulesza. Według niego, jeżeli celem jest obrona kraju, lepszą opcją niż zakup broni jest wstąpienie do wojska. Tak zrobił sam: przed dwoma laty gościł u siebie ukraińskich uchodźców, z bliska zobaczył ich dramat i wstąpił do Wojsk Obrony Terytorialnej. Jak mówi, w razie zagrożenia nie zniósłby myśli, że wykłada na uczelni, gdy jego studenci pracują dla wojska lub walczą na froncie.

ZBIGNIEW BOREK

© JANUSZ FAJTO

eprasa.pl 50b67a7159

Na cztery z minusem

Prof. Andrzej Rychard, socjolog, o tym, jak koalicja rządząca radziła sobie przez trzy lata od październikowych wyborów w 2023 r. i co rząd Donalda Tuska może jeszcze zrobić przez ostatni rok, aby zachować szansę na przedłużenie władzy.

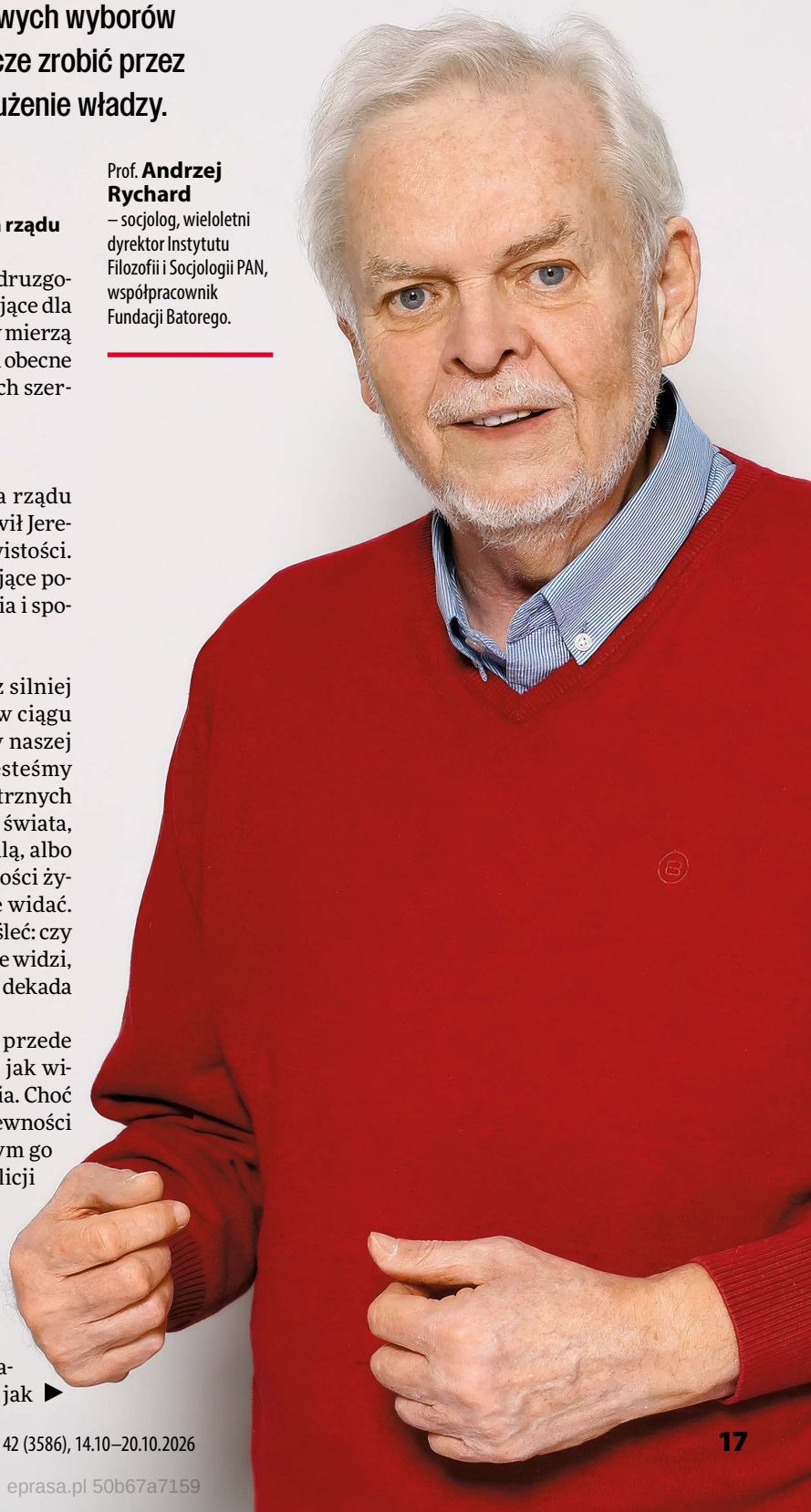

© ANNA AMAROWICZ

Prof. **Andrzej Rychard** – socjolog, wieloletni dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, współpracownik Fundacji Batorego.

JAKUB MAJMUREK: **– W ostatnim sondażu CBOS 55 proc. ankietowanych negatywnie oceniło działalność rządu, pozytywnie tylko 36 proc. Trzy lata po wyborach to dla rządu wynik tylko niepokojący czy może wręcz druzgocący?**

ANDRZEJ RYCHARD: – Nie powiedziałbym na pewno, że druzgocący, ale z pewnością takie wyniki powinny być niepokojące dla obecnej sejmowej większości. Przy czym wszystkie rządy mierzą się w pewnym momencie ze spadkiem poparcia i także na obecne notowania rządu trzeba patrzeć przez pryzmat pewnych szerszych, długoterminowych trendów.

Jakie długoterminowe trendy odpowiadają za to, że rząd ma dziś tak wiele negatywnych ocen?

Moim zdaniem główne przyczyny spadku poparcia rządu mają źródło poza nim, w otaczającej nas – czy jak to mówił Jeremi Przybora „coraz bardziej nas otaczającej" – rzeczywistości. A z niej płynie dziś jeden sygnał: niepewność. Dominujące poczucie niepewności powoduje z kolei narastanie napięcia i społecznych emocji.

Co jest źródłem tej niepewności?

Kontrast między naszym poczuciem sukcesu a coraz silniej odczuwanym poczuciem zagrożenia. Z jednej strony w ciągu ostatnich 30 lat odnieśliśmy w Polsce niespotykany w naszej historii cywilizacyjny skok. Z drugiej nieustannie jesteśmy bombardowani informacjami o wewnętrznych i zewnętrznych zagrożeniach. Słyszymy, że staliśmy się 20. gospodarką świata, a jednocześnie, że finanse publiczne za chwilę się zawalą, albo o aferze Zondacrypto, w której ludzie stracili oszczędności życia. Za naszą granicą toczy się wojna, której końca nie widać. Przeciętny człowiek nie wie, co ma o tym wszystkim myśleć: czy w Polsce jest właściwie dobrze, czy wręcz przeciwnie, nie widzi, w jaką stronę to wszystko zmierza, czy czeka nas kolejna dekada spektakularnego rozwoju, czy katastrofa.

W takiej sytuacji społeczeństwo oczekuje od rządu przede wszystkim tego, że będzie redukował niepewność. I – jak widać – rządzący nie do końca wywiązują się z tego zadania. Choć moim zdaniem, biorąc pod uwagę skalę zagrożeń i niepewności zewnętrznych, rząd nie radzi sobie najgorzej, oceniłbym go na czwórkę z minusem. Mimo wszystkich napięć w koalicji rząd pozostaje jednak pewną oazą stabilności.

Czy słabe oceny rządu nie wynikają z tego, że przynajmniej część wyborców koalicji rządzącej ma poczucie, że po trzech czwartych kadencji nie wywiązała się ona ze swoich obietnic?

Na pewno mamy grupę wyborców rozczarowanych tym, że Polska nie przesunęła się w ostatnich trzech latach w bardziej progresywną stronę w takich kwestiach, jak ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ np. dostępność przerywania ciąży. Rozczarowani mogą też być wyborcy oczekujący zdecydowanych rozliczeń z PiS. W ostatnim badaniu CBOS rozliczenia za istotne uznało 48 proc. ankietowanych, w tym za bardzo istotne 31 proc.

Dziś w Polsce walka toczy się o zwycięstwo bardzo niewielką różnicą głosów i istotna jest mobilizacja wyborców, dla których szczególnie ważne są kwestie niekoniecznie oceniane jako priorytet przez większość. Np. rozliczenia albo kwestie istotne dla progresywnego elektoratu, jak związki partnerskie. Czym może się skończyć flirtowanie z postulatami prawicy i zaniedbywanie elektoratu progresywnego, pokazały zresztą wybory prezydenckie, które Rafał Trzaskowski przegrał bardzo niewielką różnicą głosów.

Czy porażka Trzaskowskiego nie zwróciła uwagi na głębsze problemy obecnego obozu władzy? Na przykład na przesuwanie się społeczeństwa w prawicową i antysystemową zarazem stronę, na co obecna większość nie bardzo ma polityczną odpowiedź?

Przekonują mnie analizy takich autorów jak Łukasz Pawłowski, argumentujących, że podział lewica–prawica coraz mniej opisuje w polskiej polityce, że ważniejszy od niego jest podział góra–dół, elita kontra nieelity. Co mogłoby potwierdzać to, jak bardzo zyskują partie anty- czy pozasystemowe, takie jak obie Konfederacje. Zresztą – co ciągle czeka na zbadanie przez nauki społeczne – postulaty antysystemowe skrajnej prawicy i skrajnej lewicy coraz częściej zaczynają się spotykać, np. w krytyce Izraela.

Partie pozasystemowe docierają przy tym nie tylko do grup wyborców, jakich stereotypowo uznalibyśmy za wykluczonych. Gdy Piotr Kocyba zrobił pionierskie badania uczestników Marszu Niepodległości, wyłanianych drogą losowania, to wyszło z nich, że w marszach biorą udział przeciętnie wykształceni i przeciętnie zamożni ludzie, wcale nie reprezentanci społecznych dołów. Karol Nawrocki pozycjonował się w kampanii jako człowiek z ludu walczący z elitami, co mogło mieć wpływ na wynik.

Natomiast nie zgadzam się z tezami, że społeczeństwo przesuwa się nam jakoś istotnie na prawo. Badania Europejskiego Sondażu Społecznego, w Polsce realizowane w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, pokazują coś innego: Polacy stają się coraz bardziej otwarci, bardziej progresywni, odczuwają np. coraz mniejszy wstyd z powodu tego, że wśród ich bliskich są osoby o odmiennej orientacji seksualnej.

Wróćmy do ocen rządu: co dla większości wyborców powinno być priorytetem działań rządu i jak radzi sobie z tymi priorytetami ten obecny?

We wspomnianym badaniu CBOS ankietowani wskazali trzy kwestie: poprawę dostępu do świadczeń medycznych, poprawę bezpieczeństwa i obronności oraz przeciwdziałanie nielegalnej migracji do Polski. Te priorytety utrzymują się z pewnymi różnicami od 2024 r. do ostatniego badania z 23 września.

Jak wygląda ocena realizacji tych priorytetów? Jeśli chodzi o opiekę zdrowotną, to dominuje narracja, że jest fatalnie. Ona nie bierze pod uwagę tego, że obecny system jest bardzo różnorodny, że są w nim wyspy, które działają naprawdę dobrze – co może powinno być punktem wyjścia do dyskusji o jego decentralizacji – na pewno jednak rząd nie może tu pokazać żadnego znaczącego sukcesu. Musiał za to niedawno gasić pożar, gdy uderzyła w niego afera w Szpitalu Południowym i sprawa zarobków lekarzy w szpitalach. Natomiast w kwestiach migracji i bezpieczeństwa powiedziałbym, że sytuacja jest raczej na niewielki plus dla rządu.

Jakie błędy popełnił rząd Donalda Tuska w ostatnich trzech latach?

Trzymając się tematu rozliczeń, powiedziałbym, że błędem było odwrócenie kolejności. To znaczy rząd najpierw powinien pójść na ostro, a potem szukać kompromisu. Mówiąc bardziej obrazowo: najpierw powinien pójść Żurek, a dopiero po nim Bodnar. Jak wiemy, sekwencja była odwrotna.

Drugim błędem – czy raczej słabością tego rządu – jest to, że zawartość jest znacznie lepsza niż opakowanie. Rząd ma po prostu wielki problem z komunikacją swojej polityki.

PiS miał wyrazistą narrację socjalną i godnościowo-suwerennościową. Czy obecny rząd ma w ogóle jakąś swoją opowieść o Polsce, którą mógłby komunikować wyborcom?

Zacznę od tego, że ja nie znoszę tego, jak wszystko dziś staje się opowieścią albo narracją. Zamiast rozmawiać o faktach, bijemy się na narracje. Jak w swoich książkach pokazywała choćby Anne Applebaum, to daje pole do manipulacji czynnikom autorytarnym – w sytuacji, gdy prawdy nie ma, a wszystko jest jedną wielką opowieścią, mogą one z łatwością uciekać w kłamstwo.

Ale już trzymając się narracyjno-opowieściowego gruntu, jaki dominuje w polskiej polityce, to tak, trzeba przyznać, że rząd ma problem z narracją. Dla mnie najlepszym tego przykładem jest osławione 100 konkretów. Po co w ogóle Tusk to proponował? Przecież było oczywiste, że jak się obieca 100 konkretów, to zawsze ktoś wskaże, że nie zrealizowano tego numer 75 albo 39 i rząd nie wywiązał się z obietnic. Zamiast 100 konkretów trzeba było na początku wskazać trzy, cztery ważne rzeczy, jakie miał zrealizować ten rząd. Do tej pory nie udało się ich wskazać. Rząd PiS – jak to nazwał Jacek Żakowski – miał marszrutę, dziś jej brakuje.

Kaczyński jest, jaki jest, ale nie ukrywa, że robi politykę, co pozwala mu korzystać z sukcesów, jakie mają miejsce, gdy rządzi. PO długi czas odcinało się od polityki, kiedyś nawet mówiło: „nie róbmy polityki, budujmy mosty". Tylko gdy przyjmuje się takie założenie, to ludzie nie kojarzą mostu z rządem, który go wybudował.

Czy te problemy narracyjne nie wynikają też z koalicyjnego charakteru rządu? Koalicja gromadzi siły od lewicowo-progresywnej Nowej Lewicy po konserwatywne PSL, może jest jądro prawdy w zarzutach, że to egzotyczna koalicja, której nie łączy nic poza antyPiS?

Gdybyśmy żyli w tzw. normalnych czasach, to faktycznie można by mówić o braku spójności obecnej koalicji. Jeśli jednak spojrzymy na nią z perspektywy obecnej sytuacji politycznej, to zobaczymy znaczącą odmienność między tą koalicją a prawicą z PiS i sił na prawo od niego. Jest zasadnicza różnica między wartościami partii tworzących rząd a prawicową opozycją, postulującą centralizację państwa, osłabienie naszych więzi z Zachodem, oparcie się międzynarodowo wyłącznie na dwustronnych relacjach ze Stanami, większy lub mniejszy sceptycyzm wobec Ukrainy i cały szereg antyliberalnych pomysłów.

Dlaczego to poparcie mniejszych partnerów koalicyjnych załamało się po trzech latach, podczas gdy KO zdecydowanie prowadzi w sondażach?

Nie powiedziałbym, by załamało się poparcie Nowej Lewicy. W 2023 r. wspólnie z Razem lewica dostała 8,61 proc. Dziś Nowa Lewica ma średnie poparcie ok. 7–8 proc., Razem ok. 4 proc. Największym problemem, i to dla całej koalicji, jest upadek koncepcji Trzeciej Drogi i załamanie się poparcia tworzących ją partii.

A ten upadek wynika z tego, jak zachowywał się lider Polski 2050 Szymon Hołownia, który w pewnym momencie zaczął

eprasa.pl 50b67a7159

być postrzegany przez część wyborców jako niewiarygodny. W 2023 r. Trzecia Droga zdobyła ponad 14 proc., przekonując wyborców, że tylko dobry wynik TD pozwoli zatrzymać trzecią kadencję PiS. Jak pokazywały badania, była to partia, która zyskała najwięcej głosów wyborców, którzy podjęli decyzję o tym, na kogo głosować w ostatniej chwili, co pokazuje, że wiele tych głosów miało taktyczny charakter.

Po wyborach zniknęły taktyczne powody poparcia dla Trzeciej Drogi, zaczęło więc ono spadać. Te spadki przyspieszyły działania Hołowni, który zachowywał się niejednokrotnie tak, jakby był raczej częścią opozycji niż koalicji rządowej.

Dlaczego spadło też poparcie dla PSL? Władysław Kosiniak-Kamysz nie był uwikłany w podobne kontrowersje.

Poparcie PSL od dawna nie było wysokie. Liderzy PSL zawsze powtarzali, że partia jest niedoszacowana w sondażach i do tej pory ich przewidywania się potwierdzały. Być może jednak właśnie przychodzi moment, gdy ta teoria przestanie już dłużej się sprawdzać. PSL od dawna nie potrafił zdefiniować swojej grupy docelowej, przespał to, co się dzieje na polskiej wsi i wśród rolników, jego dawny elektorat w dużej mierze zagospodarował PiS.

Rząd od początku funkcjonuje w kohabitacji najpierw z Andrzejem Dudą, teraz z Karolem Nawrockim. Udało mu się znaleźć sposób, jak politycznie radzić sobie z prezydencką obstrukcją?

Mam wrażenie, że z tą obstrukcją nie radzi sobie nawet obecny prezydent. Rozmawiamy o słabych wynikach rządu, ale proszę zwrócić uwagę, że we wrześniowym sondażu IBRiS zaufanie do prezydenta spadło poniżej 50 proc., a różnica między zaufaniem do Nawrockiego a Sikorskiego stopniała do 1 pkt proc.

W sprawie ustawy paliwowej prezydent w oczywisty sposób zapędził się w kozi róg, mógł albo ponownie ją zablokować i narazić się na gniew z powodu drogiego paliwa, albo podpisać i okazać słabość, a wyborcy nie lubią polityków, którzy pod wpływem presji zmieniają zdanie. Jakich problemów obóz rządzący nie miałby ze spójnością swojego przekazu, to ze spójnością ma też problem ośrodek prezydencki.

Donald Tusk jest dziś dla rządu bardziej atutem czy obciążeniem?

Gdyby Tusk miał realnych konkurentów zdolnych poprowadzić partię, to być może dałoby się powiedzieć, że jest obciążeniem. Nikogo takiego w KO jednak nie ma, co też jest efektem tego, w jaki sposób Tusk „ścinał głowy" swoich potencjalnych wewnątrzpartyjnych konkurentów. Biorąc to pod uwagę, ale także doświadczenie Tuska i jego pozycję międzynarodową, nie powiedziałbym, że jest obciążeniem.

Tusk nie popełnił błędu, angażując się w ostatniej chwili w kampanię prezydencką i powołując się na opinie patocelebryty?

Być może. Nie jesteśmy dziś jednak w stanie ocenić, na ile ta interwencja była znacząca dla wyników. Mamy za to analizę Andrzeja Machowskiego, który oszacował, że gdyby Trzaskowski nie zapomniał o części swojego progresywnego elektoratu, to miałby szanse wygrać – jeszcze mniejszą różnicą głosów niż Nawrocki. Więc istotniejsze od interwencji Tuska mogło być to, że Trzaskowski pozostawił na lodzie bardziej progresywnych wyborców.

Mówił pan o silnej pozycji międzynarodowej Tuska. Nie ma pan jednak wrażenia, że rząd nie odgrywa takiej roli w Europie, na jaką liczyło wielu jego zwolenników, gdy obejmował władzę?

Na pewno niespójność na szczytach polskiej władzy, między rządem a prezydentem, jest problemem w naszych relacjach z Europą. Na przykład widoczny sceptycyzm ośrodka prezydenckiego w sprawie Ukrainy zmniejsza nasze pole manewru i możliwość odgrywania przez Polskę większej roli w unijnej polityce. Jednak mimo wszystko pozycja międzynarodowa Tuska pozostaje silna.

Jedyne, czego można żałować, to tego, że polska polityka nie potrafi grać na dwóch fortepianach. Że nie wykorzystujemy dobrych relacji prezydenta ze Stanami do budowania więzi transatlantyckich, a pozycji Tuska do wzmacniania naszych relacji w Europie.

Co powinien zrobić rząd w ciągu najbliższego roku, by wzmocnić swoją szansę na drugą kadencję?

Na pewno rząd nie powinien ustawać w budowaniu poczucia sprawczości – także w kwestii rozliczeń. Powinien też przedstawić konkretny program tego, jak w sytuacji rozmaitych zagrożeń, z którymi dziś mierzy się Polska, zachować się ma nie tylko wojsko i inne służby mundurowe, ale też całe społeczeństwo obywatelskie. Bo w sytuacji, gdy działania hybrydowe są silnie rozproszone i zdecentralizowane, to taka powinna być też reakcja obronna, mająca je powstrzymywać.

W ogóle zachęcałbym rządzących do większego otwarcia na społeczeństwo obywatelskie i organizacje pozarządowe. Mam wrażenie, że obecna większość trochę je lekceważy, wychodząc z założenia, że ich działacze i sympatycy i tak ostatecznie zagłosują na partie tworzące rząd. Tylko to trochę tak jak z teorią o „niedoszacowanym w sondażach" PSL – działa, póki działa, do momentu, aż przestanie. Nie mówię oczywiście, że działacze trzeciego sektora zaczną popierać prawicę, ale mogą przecież zawsze zostać w domach.

Wreszcie, powtórzę: konieczne jest wskazanie dwóch, trzech priorytetów działań rządu na następny rok. PiS miał wielki talent z wrzucaniem haseł, które wszyscy powtarzali i wokół których toczył się spór polityczny. 500 plus, CPK – obecnemu rządowi potrzebne jest takie hasło.

Biorąc pod uwagę badania opinii publicznej, jeden z tych pomysłów powinien się skupić na temacie ochrony zdrowia – bo to on jest dziś źródłem niepewności, która może być wykorzystywana przez przeciwników rządu. Pomysły ograniczenia zarobków lekarzy naprawdę nie wystarczą. Ja się niestety obawiam, że rząd boi się zaproponować jakiekolwiek konkrety, bo jest przekonany, że jeśli chodzi o zdrowie, na konkretach można się raczej przejechać, niż wygrać dzięki nim wybory. Jeśli jednak przez następny rok w temacie ochrony zdrowia z rządu będzie słychać głównie ciszę, to też to nie pomoże tworzącym go ugrupowaniom.

Bardzo niewiele sondaży daje obecnej koalicji większość mandatów w przyszłym Sejmie. Pana zdaniem bardziej prawdopodobne jest to, że ona utrzyma czy że straci władzę?

Rząd mimo wszystko nie radzi sobie źle z szeregiem otaczających Polskę zagrożeń, za to PiS nienajlepiej radzi sobie sam ze sobą. Szereg wpadek miał też ośrodek prezydencki, ostatnio pojawiły się informacje, że ze strony prawicy miały wychodzić próby wpłynięcia na Trumpa, by ten wpłynął na zmianę władzy w Polsce.

Jeśli tego typu błędy ze strony prawicy będą się powtarzały, to obecny rząd ma szanse na drugą kadencję. Być może z jakimiś nowymi twarzami – choć nie mówię tu o premierze, bo nie widzę konieczności jego zmiany. Po stronie prawej obserwujemy dziś głęboką dekompozycję. Mimo wszystkich problemów koalicji ja po stronie rządowej takiej dekompozycji nie dostrzegam.

ROZMAWIAŁ JAKUB MAJMUREK

eprasa.pl 50b67a7159







Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak w Sejmie, 2023 r. Dziś ich relacje się posypały. U góry: **Grzegorz Braun** pierwszy wypisał się z tercetu. Po prawej: **Ewa Zajączkowska-Hernik** po wyrzuceniu z Nowej Nadziei założyła Ruch Biało-Czerwoni.

© PIOTR NOWAK/PAP, ARTUR RESZKO/PAP, MAREK ŁADZIŃSKI/FORUM

Trzy i pół Konfy

Konfederacje się mnożą i kłócą, ale sondaże się na razie zgadzają. Wszystkich próbuje rozgrywać PiS, a w układance jest jeszcze prezydent Nawrocki. W jakiej kondycji niepisowska prawica dojedzie do wyborów?

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

7 października, Sejm. Poseł Konrad Berkowicz z Nowej Nadziei odmawia rozmowy z dziennikarką TVP Justyną Dobrosz-Oracz, twierdząc, że rozmawia z dziennikarzami, a nie z „kurtyzanami". Później doda: „Nie zwyzywałem tej pani. Nazwałem ją stosownie do wykonywanej profesji i charakteru warsztatu, który prezentuje". Berkowiczowi włos z pustej głowy nie spadnie. Jego partyjny szef Sławomir Mentzen uznał wprawdzie, że poseł „oczywiście przegiął", ale Dobrosz-Oracz jest „obrzydliwą propagandzistką", a poza tym są ważniejsze sprawy.

Ta historia, poza chamstwem pana Berkowicza, pokazuje coś więcej. Politycy Nowej Nadziei – partii z ambicjami, by współrządzić – wciąż nie wyrośli ze schlebiania prymitywnym gustom. Występ krakowskiego posła był spektakularnie prostacki, ale mieści się w tej samej poetyce co pochodzący z tego samego okresu filmik z Mentzenem drwiącym z przyjętych do służby policjantek.

W tym samym czasie w przeciwną stronę zmierza Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka. 14 września narodowcy zorganizowali w Sejmie konferencję energetyczną z zaskakująco zbilansowanym składem. Udział wzięli m.in. związany z KO prezes Polskich Sieci Elektroenergetycznych Grzegorz Onichimowski i prezes Polskich Elektrowni Jądrowych Marek Woszczyk; w programie zapowiedziany był także wiceminister energii Wojciech Wrochna. Gdy Mentzen błaznuje, Bosak – nieporzucający rzecz jasna radykalnych poglądów w wielu sprawach – poważnieje w formie,

eprasa.pl 50b67a7159

która służy jako kamuflaż dla radykalizmu. Pierwszy szuka zasięgów, drugi pozuje na tego merytorycznego.

Lider narodowców pytany o Berkowicza odparł, że nie akceptuje takiego zachowania, ale nie jest od dyscyplinowania posłów, którzy nie należą do jego partii. I dodał, że współpraca polityczna polega na tym, że się współpracuje mimo różnic. A tych przybywa.

Pączkujące Konfederacje

Jeszcze na początku 2025 r. mówiliśmy o jednej, choć trójgłowej Konfederacji Wolność i Niepodległość, a więc o sojuszu „wolnościowców" z Nowej Nadziei Mentzena, narodowców Bosaka i monarchistów Grzegorza Brauna.

Było, minęło. Najpierw z tercetu wypisał się Braun po samozwańczej decyzji o starcie w wyborach prezydenckich. Później posypały się relacje Mentzena i Bosaka, których partie zaczęło więcej dzielić, niż łączyć, a dziś sojusz ostał się już tylko na papierze, wedle którego obie formacje funkcjonują pod taktyczną „partią czapą", czyli Konfederacją. A potem z Nowej Nadziei na swoje poszła gwiazda prawicowego internetu europosłanka Ewa Zajączkowska-Hernik. Pozostając w Konfederacji, za przyzwoleniem Ruchu Narodowego ruszyła z autorskim projektem stowarzyszenia Ruch Biało-Czerwoni. W połowie października 2026 r. można zatem śmiało powiedzieć, że Konfederacja – nie bez zawirowań – przeszła proces pączkowania i z jednej komórki zrobiły się cztery. Tylko czy nie zachwieje to równowagi w przyrodzie?

Przedwyborczy blamaż Konfederacji w Krakowie musiał Mentzena zaboleć, wszak ledwie 3 tys. ważnych podpisów nie zebrał jego najważniejszy partyjny współpracownik. Bartosz Bocheńczak, bo to on jest antybohaterem tego politycznego dramatu w trzech aktach, poważną karierę w Konfederacji rozpoczął w 2024 r., gdy został szefem sztabu w eurowyborach. Później Mentzen mianował go zarządcą swojej kampanii prezydenckiej. Po udanej pierwszej turze i prawie 15-procentowym wyniku podarował mu funkcję sekretarza Nowej Nadziei. Na koniec wywalczył mu nominację na kandydata w przedterminowych krakowskich wyborach.

Bocheńczak miał zbudować rozpoznawalność, zdobyć niezły wynik w pierwszej turze i wywalczyć dla siebie jedynkę z Krakowa w wyborach do Sejmu za rok. Wszystkie te cele rozbiły się o mury Miejskiej Komisji Wyborczej, która odrzuciła ponad 40 proc. podpisów poparcia dostarczonych przez sztab kandydata. Mentzen zareagował szybko, jeszcze tego samego wieczoru dymisjonując Bocheńczaka z funkcji szefa krakowskich struktur partyjnych, które przy okazji także rozwiązał.

Po tej katastrofie lider Nowej Nadziei wyruszył na internetową krucjatę, w której zdaje się robić wszystko, by głęboko zakopać w pamięci wyborców krakowski epizod. Zdążył już przypomnieć o chęci zlikwidowania 13. i 14. emerytury i ograniczenia programu 800 plus, opowiedzieć się za zrównaniem wieku emerytalnego czy domagać postawienia szefa Sztabu Generalnego Wiesława Kukuły przed sądem. Ostatnio stwierdził także, że należałoby przywrócić powszechny pobór do wojska, kpił też z Bogu ducha winnych dolnośląskich policjantek, które właśnie dołączyły do służby.

W partii co bardziej niepokorni już się podśmiewają, że „Sławek odpalił protokół korwinowski". To bowiem dawny mentor Mentzena Janusz Korwin-Mikke zasłynął głoszeniem absurdalnych haseł, które gruzowały jego formację na chwilę przed wyborami. Naprawdę jednak w Nowej Nadziei mało komu jest do śmiechu. Za tą partią ciągnie się jeszcze odór brudnych pieniędzy, które jej poseł i lider warszawskich struktur Przemysław Wipler przyjął od prezesa upadłej giełdy kryptowalut Zondacrypto.

Sam Mentzen objeżdża terenowe oddziały partii w poszukiwaniu odpowiednich kandydatów na wyborcze jedynki i dwójki do Sejmu. Odpowiednich, czyli przede wszystkim lojalnych – słyszymy wśród działaczy. – *Prezes chce mieć pewność, że nowi posłowie po wyborach pójdą za nim w ogień* – opowiada nasz rozmówca. Ten „ogień" to np. zerwanie ewentualnych rozmów koalicyjnych po prawej stronie czy postawienie na nieoczywisty sojusz z KO i PSL.

Ścieżka Bosaka

Zgoła inaczej sytuacja wygląda w drugiej, narodowej części Konfederacji. Mamy tu oazę spokoju, a Bosak poukładał sobie partię jak mało kto na scenie. W Ruchu Narodowym ze świecą szukać posła czy lokalnego działacza, który nie podzielałby wizji wicemarszałka Sejmu co do dalszej drogi narodowców. Ta jest prosta i ambitna zarazem, bo polega głównie na rozwoju lokalnych liderów i włączaniu szeregowych działaczy w politykę wyższego szczebla. Bosak sam przeszedł długą drogę z nieokrzesanego działacza Młodzieży Wszechpolskiej do poważanego nawet w części liberalnych kręgów wicemarszałka Sejmu.

Teraz wraz z resztą sejmowej (i europoselskiej) reprezentacji ma pomóc przy podobnej transformacji najbardziej rokującym narodowcom, aby przyszłoroczny, zapewne kilkukrotnie większy skład Ruchu Narodowego był sprawnym i merytorycznie przygotowanym zespołem, gotowym w razie potrzeby utworzyć własny klub. – *Do wyborów szyld Konfederacji na pewno się utrzyma i z kolegami z Nowej Nadziei pójdziemy razem. A później? Nie wiadomo* – mówi POLITYCE ważny polityk z otoczenia Bosaka.

Działaczom spod znaku mieczyka Chrobrego coraz bardziej ciążą wolnościowcy. Każdą gafę, wpadkę czy niedopatrzenie koalicjantów narodowcy odkładają na kupkę z wizerunkowymi wtopami Nowej Nadziei, które jednak w oczach wyborców i komentariatu idą na konto całej Konfederacji. Wszystkie pretensje jednych do drugich mogą z czasem wpłynąć na obraz kampanii i wzajemnej rywalizacji kandydatów z dwóch obozów w ramach jednej listy. Dziś jednak nasi rozmówcy z narodowej frakcji Konfederacji zarzekają się, że choć ostatnio Nowa Nadzieja przynosi im więcej szkody niż pożytku, to w kampanii będą grać fair. A konkurencja obu koalicjantów ma wpływać motywująco na każdego kandydata w terenie. Tyle teorii, ale w gorących momentach przedwyborczych, podgrzewanych przez kolejne sondaże, kampanijna rzeczywistość może się okazać wyjątkowo brutalna. Narodowo-wolnościowe resentymenty stałyby się wówczas fatalnym katalizatorem takich rywalizacji.

Ruch Ewy

Trzy miesiące – tyle zajęły Zajączkowskiej-Hernik przygotowania do założenia własnego stowarzyszenia, po tym jak w marcu Mentzen wyrzucił ją z Nowej Nadziei (europosłanka bez jego zgody zmieniła w Brukseli grupę polityczną). W czerwcu poinformowała o utworzeniu Ruchu Biało-Czerwoni, o którym tylko przez chwilę opowiadała jako o zbiorze ludzi stroniących od polityki, a skupionych na zwykłych sprawach zwykłych ludzi. 10 października odbył się pierwszy zjazd członków stowarzyszenia, który Zajączkowska-Hernik zapowiadała, pisząc, ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ że już niebawem „nasz biało-czerwony ruch będzie gotowy do aktywnego działania w polityce samorządowej oraz centralnej". Najpopularniejsza kobieta polityczka Konfederacji (prawie 950 tys. obserwujących na Facebooku i 200 tys. na X) objeżdża powstające struktury stowarzyszenia w każdym z 16 województw. Z naszych informacji wynika, że etapy weryfikacji przeszło już ok. 1,5 tys. członków, choć kolejne tysiące zgłoszeń mają być wciąż sprawdzane.

Zajączkowska-Hernik na razie rzeczywiście zbiera ludzi bez doświadczenia w polityce centralnej, choć już samorządowców czy lokalnych społeczników – i owszem. W jej otoczeniu słyszymy, że chce promować konserwatywne kobiety; niedawno na jej zaproszenie do Warszawy przyjechała Eva Vlaardingerbroek – najpopularniejsza holenderska konserwatystka, pomysłodawczyni Save Europe Act. To europejska inicjatywa obywatelska, która sprzeciwia się migracji do państw Unii Europejskiej. Zajączkowska-Hernik ściągnęła ją na Kongres Kobiet Wolności i Niepodległości zorganizowany we wrześniu w Sejmie.

Wydarzenie finansowo wsparli Patrioci dla Europy, a więc europarlamentarna frakcja, do której niedawno dołączyła. Współpracuje w niej z eurodeputowanymi z Ruchu Narodowego; z partią Bosaka zbliżyła się po odejściu z Nowej Nadziei. I to najpewniej z puli narodowców dostanie miejsce na listach Konfederacji do Sejmu w przyszłorocznych wyborach. Od miesięcy powtarza, że chce wrócić z Brukseli do Polski, prosto na Wiejską. Od polityków Konfederacji słyszymy, że w europarlamencie swoje już zrobiła – przede wszystkim wylansowała się w publicznych sporach z Ursulą von der Leyen, co podkręciło jej internetowe zasięgi. Szykuje się więc do przyszłorocznej kampanii, ale myśli też o wprowadzeniu swoich ludzi na listy narodowo-wolnościowego sojuszu.

– *Ewka jest kuta na cztery nogi. Na pewno w odpowiednim czasie przyjdzie do nas ze stanowczą propozycją* – mówi POLITYCE członek zarządu głównego Ruchu Narodowego. Wymienia też trzy argumenty, którymi Zajączkowska-Hernik będzie te negocjacje rozgrywać. Na pierwszym miejscu stawia popularność, ale nie wyklucza szantażu. – *Może nam powiedzieć, że bierze pod pachę te swoje zasięgi i idzie do konkurencji: Korony lub PiS* – stwierdza z przekąsem. Są jeszcze działacze: jeśli Zajączkowska-Hernik zbierze ich wystarczająco dużo, będzie mogła kusić narodowców dodatkowymi zasobami ludzkimi, gotowymi do pracy w kampanii na rzecz całej listy. Wszystkie te rozmowy i scenariusze nie wyszły jeszcze z fazy wyobrażeń kierownictwa Ruchu Narodowego. Zaczną się pewnie po Nowym Roku. Wiele wskazuje jednak na to, że ambicją 36-letniej Zajączkowskiej-Hernik jest dziś zbudowanie autorskiej, jeszcze jednej nogi w ramach Konfederacji.

Rosyjski gaz Brauna

Stosunkowo najmniej wiadomo o tym, co się dzieje w Koronie. Większość aktywności tej partii odbywa się po cichu, bez wielkiego zainteresowania dużych mediów. Przebijają się przez tę zasłonę jedynie najgrubsze historie. Lider partii już otwarcie jest rzecznikiem Kremla; 7 października, w dniu urodzin Władimira Putina, wystąpił z prorosyjskim politykiem AfD w niemieckim Lubminie i domagał się ponownego uruchomienia gazociągów Nord Stream z rosyjskim gazem.

Za Braunem ciągnie się też tajemnicza historia współpracy z indyjską partią BJP i organizacją Pathway Global Alliance. Na początku października PRZEkanał opublikował „taśmy Brauna" – nagrania rozmów z kwietnia. Braun omawia w nich szczegóły planowanego polsko-indyjskiego forum biznesowego ze współpracującym z Koroną prof. Jackiem Janowskim z Politechniki Warszawskiej. W innym nagraniu profesor rozmawia na ten temat z prezesem powołanej przez Koronę fundacji Przedsiębiorcy Prawicy i wyraża zaniepokojenie, że Braun „chce ściągać Hindusów do Polski". W kolejnym odcinku – także w PRZEkanale – usłyszeliśmy, jak Braun zdenerwowany odrzuceniem kandydatów Korony do prezydenckich rad nazywa otoczenie Karola Nawrockiego „szmaciarzami" oraz uznaje, że korespondencja z Kancelarią Prezydenta jest jak korespondencja z Judenratem.

Mieliśmy też okazję obejrzeć w akcji wyborczej nominata Korony. Michał Klimek zdobył w Krakowie nieco ponad 4 proc. głosów, nieznacznie przegrywając z posłanką Nowej Lewicy. Niby mało (zwłaszcza pod nieobecność kandydata Konfederacji), ale jeśli wziąć pod uwagę, że miał widoczne kłopoty z konstruowaniem swoich wypowiedzi, to ten rezultat zaczyna wyglądać nieco lepiej. Oznacza bowiem, że są wyborcy, którzy zagłosują na reprezentantów Korony bez względu na ich deficyty intelektualne i brak rozpoznawalności.

Wyborcy są, ale co dalej?

Na Konfederację i Koronę łącznie chce głosować ponad 20 proc. wyborców, więcej niż na PiS. To wybór ludzi, którzy mają dość KO i PiS, którzy szukają czegoś nowego, którzy boją się wojny i chcą powrotu handlu z Rosją (ci lubią Brauna), nie są fanami Unii i migracji itd., itp. Bosak, Mentzen, Zajączkowska-Hernik i Braun reprezentują pewne – dość popularne – emocje społeczne. Jeśli jednak spojrzeć na ten fragment sceny politycznej z pewnej odległości, to trudno się oprzeć wrażeniu, że mamy do czynienia raczej z placem budowy niż z solidną konstrukcją. Im bliżej wyborów, tym zasadniejsze jest pytanie: co ten głos protestu właściwie oznacza? Bosak i Mentzen (i ich partie) mają nie tylko różny styl działania, lecz także po części odmienne poglądy. Jak Mentzen chce likwidować 800 plus w koalicji z PiS? Czy choćby z Bosakiem?

Na prawicy tli się pomysł nie tylko paktu senackiego, lecz także wspólnej listy, ale jak pogodzić te wszystkie sprzeczności, konflikty i ambicje liderów? Sam patronat Karola Nawrockiego nie załatwi sprawy; PiS nie pali się zresztą do współpracy z Braunem (pojawiła się tam koncepcja „braunowcy bez Brauna"), a konfederaci mówią na to, że pozostawienie Korony poza sojuszem to recepta na jej wzrost powyżej 10 proc. i osłabienie Konfederacji właściwej. Do takiego porozumienia droga daleka, nawet gdyby do wyborów zaniknął jeszcze jeden prawicowy konkurent w postaci Rozwoju Plus.

Żadna z licznych „konfederacjoidalnych" partii nie ma poza tym całościowego programu; jeden z ważnych polityków Nowej Nadziei nie tak dawno przyznał zresztą, że partia wciąż nie ma zdolności eksperckich, by taki program stworzyć. Kraków zaś pokazał, że kuleją też zdolności organizacyjne, a współpraca narodowców z „wolnościowcami" to fikcja. Może to być obciążeniem w kampanii, gdy Polacy będą musieli na serio się zastanowić, czy chcą, by Bosak, Mentzen i Braun przesiedli się do ław rządowych. Nie jest chyba przypadkiem, że Konfederacja najlepsze wyniki sondażowe miała zwykle między wyborami, gdy deklaracja poparcia niewiele waży. Konfederaci i Braun rozpoczynają ostatni rok kadencji – mimo wszystkich bieżących problemów – w niezłej formie. Ale prawdziwy test – czy i w jakim składzie zostaną dopuszczeni do realnej władzy – dopiero przed nimi.

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 50b67a7159



Gry Bielana

Adam Bielan wyraźnie chce być szarą eminencją polskiej polityki do zadań specjalnych, ale lubi też rozgłos i szum wokół siebie. Nie zawsze daje się to pogodzić.

ANNA DĄBROWSKA

Tajemnicze spotkanie wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza z prezydentem USA Donaldem Trumpem po ponad pół roku rozgrzało scenę polityczną. – *Gdyby Bielan się nie odezwał, w ogóle nie byłoby sprawy* – rzuca ważny polityk PiS. – *Mam wrażenie, że po prostu puściły mu nerwy. Uznał, że jego zakulisowe wejścia do Białego Domu nie są wystarczająco doceniane, a przecież cała ta chwała – w jego głębokim przekonaniu – należy się wyłącznie jemu.*

Do spotkania w Białym Domu doszło 2 marca 2026 r. przy okazji uroczystości wręczenia przez Trumpa pośmiertnego odznaczenia amerykańskiemu żołnierzowi Michaelowi Ollisonowi, który w Afganistanie osłonił swoim ciałem polskiego oficera. Opublikowano wówczas oficjalne okrągłe zdania na temat wzmacniania sojuszu Polski i Stanów Zjednoczonych, sytuacji międzynarodowej i dalszej dobrej współpracy. Władysław Kosiniak-Kamysz nie wspomniał ani słowem, że rozmowa w Gabinecie Owalnym trwała – jak dziś się dowiadujemy – 40 minut. A przecież to była okazja, by zadać kłam narracji PiS, który powtarza, że obecny rząd nie ma z Donaldem Trumpem żadnych relacji, a politycy dzisiejszej koalicji są w Białym Domu traktowani niczym *persona non grata*. Sprawa wróciła teraz, po ponad siedmiu miesiącach, w dość sensacyjnej odsłonie, przy okazji odwołania innej amerykańskiej wizyty ministra Kosiniaka-Kamysza. We wrześniu miał lecieć do USA, by rozmawiać z ministrem wojny Petem Hegsethem, ale ledwie dzień przed wylotem polskiej delegacji Amerykanie odwołali spotkanie. Oficjalnie z powodu wizyty chińskiego przywódcy Xi Jinpinga w Stanach. Władysław Kosiniak-Kamysz komentował te zmiany dość powściągliwie, „że nigdy nie miał problemu, żeby znaleźć wspólny termin z Hegsethem, więc i teraz z pewnością znajdzie się dogodna data".

Jak to na polskim politycznym podwórku bywa, odwołanie tej wizyty wykorzystano do politycznej wojenki. – *Pałac, który uważa, że ma monopol na kontakty z USA, poczuł się zirytowany dużą aktywnością MON w sprawie baz. Bielan też chce mieć tu monopol* – mówi polityk PiS. Trudno ustalić, kto zaczął. Politykom KO podniosło się ciśnienie, kiedy czytali takie wpisy na X, jak byłego szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomira Cenckiewicza, o anulowaniu wizyty: „Nieźle... bez radości to piszę – tylko Prezydent RP ma drzwi otwarte w Waszyngtonie". Europoseł PiS Adam Bielan tuż przed zapowiedzianą wizytą szefa MON mówił w wp.pl: „Kosiniak-Kamysz nie ma tu żadnego znaczenia i doskonale o tym wie. Rozmowy toczą się bezpośrednio między prezydentami Nawrockim i Trumpem". Wiceszef kancelarii premiera Jakub Stefaniak (PSL) mówi publicznie, że do rządu dochodzą sygnały o zakulisowych działaniach polityków prawicy, którzy wysyłają emisariuszy do USA na rozmowy z Republikanami, by opóźnić decyzję w sprawie wojskowej bazy USA w Polsce. Powód? Politycy prawicy nie chcą, by rząd ogłosił sukces przed wyborami 2027 r. Stefaniak wezwał wszystkich polityków PiS, w tym Przemysława Czarnka, kandydata na premiera, żeby – jeśli to prawda – się z tego wytłumaczyli.

Bielan nie wytrzymuje, kiedy w Polsacie słyszy wiceministra infrastruktury Stanisława Bukowca (PSL). Warto przypomnieć, że Bukowiec z Bielanem działali dawniej w Porozumieniu Gowina. Kiedy Bielan na polecenie Kaczyńskiego rozbijał partię Gowina, to Bukowiec ostro reagował: „Ta hucpa Adama Bielana powinna szybko się skończyć. Jego wizyta u premiera Kaczyńskiego to była chyba wizyta po reprymendę za to, co robi złego na rzecz Zjednoczonej Prawicy". Teraz Bukowiec skomentował zmianę terminu wizyty Kosiniaka-Kamysza w Pentagonie. Przypominał, jak Bielan mówił, że w razie siłowego przyjęcia TK ▶

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 50b67a7159

▶ Trump się zainteresuje i przesunie termin lokalizacji bazy w Polsce. Dodawał, że nie chce łączyć tych faktów, ale gdyby tak było, to sprawa byłaby skandaliczna. Na to Bielan odpowiedział na X, że nie odwoływał wicepremierowi żadnego spotkania, tylko pomógł spotkanie zorganizować. „I to z politykiem duuużo ważniejszym niż sekretarz wojny Hegseth. Jeśli Bukowiec nie ma wiedzy, to wystarczy, żeby zapytał swojego partyjnego szefa". O jakie spotkanie chodzi, 1 października ujawnił na antenie Polsat News Nikodem Rachoń, od czerwca 2026 r. doradca Karola Nawrockiego: „Wiem, o które spotkanie chodzi, bo sam je współorganizowałem i osobiście brałem w nim udział razem z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem".

Minister obrony narodowej studzi emocje i nie chce mówić o szczegółach spotkania z Trumpem. Pytany o sprawę, przyznał jedynie, że miał sposobność rozmawiać z nim chwilę przy okazji marcowej uroczystości i podziękował prezydentowi USA za obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce. Bielan już szeroko kolportował własną opowieść, że marcowa rozmowa dotyczyła odblokowania negocjacji dotyczących stałej bazy USA i trwała kilkadziesiąt minut. Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej" w piątek 2 października napisała, że w trakcie rozmowy Trump sugerował Kosiniakowi-Kamyszowi, że najlepiej byłoby, gdyby stworzył koalicję z prawicą. Wtedy mieliby pełne wsparcie z USA. Drzwi stałyby otworem, by odnosić wielkie sukcesy.

W poniedziałek 5 października Tusk, pytany przez dziennikarkę TVN24, podważał wersję Bielana. Twierdzi, że rozmowa „dotyczyła raczej sytuacji wewnętrznej w Polsce. Tak bym powiedział najdelikatniej" i że tematem nie były amerykańskie bazy w Polsce. Dodawał, że Kosiniak-Kamysz mu o wszystkim opowiedział, a rozmowa w Białym Domu była dyskrecjonalna, zbyt ciekawa, by mówić o niej publicznie, i że „kiedyś historia się dowie". Dzień później na inauguracji roku akademickiego w Akademii Sztuki Wojennej Tusk nawiązał do doniesień w sprawie rozmowy Kosiniaka-Kamysza z Trumpem. „Ani wróg, ani sojusznik nie będzie decydował, kto będzie w Polsce rządził".

Zagadkowe jest to, jak sprawę przedstawia TV Republika. W poniedziałek 5 października pojawia się taki czerwony pasek: „Nasz news: Obawy Tuska słuszne – Amerykanie zainteresowani zmianą premiera w Polsce". Potwierdzają, że właśnie tego miała dotyczyć rozmowa w Białym Domu. Łączą się na żywo z Bielanem, widać, że jest tym newsem zaskoczony, trochę poddenerwowany. Potwierdza, że w czasie spotkania był w Białym Domu. Prowadząca dopytuje: „Czy wtedy, w marcu, miał informacje, że częścią tych rozmów mogła być podmianka na fotelu premiera?". Bielan na to, że nie zmieni „swoich odpowiedzi dlatego, że pani się nie podobają". Dodaje, że „w oczywisty sposób DT jest osobą, która nie ma kontaktu z prezydentem Trumpem". Twierdzenia, że Trump ingerował w polską politykę, określa jako absurdalne. „O tym, kto jest premierem w Polsce, decydują wyborcy" – mówi Bielan. Ale TV Republika trzyma ten pasek z newsem.

Polityk związany z Mateuszem Morawieckim: – *Wiem od kolegów z PiS, że jest lekka panika, bo tyle mówią o wstawaniu z kolan przed obcymi mocarstwami, co dla ich elektoratu jest fundamentem. USA nie są żadnym wyjątkiem, tym bardziej że Trump nie jest już tak popularnym politykiem.* I dodaje, że to dlatego PiS tak bardzo stara się ukrócić opowieść o tym, że Trump przekonywał Kosiniaka-Kamysza do zmiany koalicjanta na prawicowego. Wiadomo, że PiS kilka razy próbował namówić szefa ludowców do zmiany politycznego frontu. Jak informowali politycy Trzeciej Drogi, działo się to zaraz po wyborach w 2023 r., kiedy PiS miał nadzieję na stworzenie rządu, później po wyborach prezydenckich latem 2025 r. Ostatnio Kosiniak-Kamysz miał dostać ofertę na przełomie zimy i jesieni. Politycy PiS mieli otwarcie powoływać się na dyplomatów USA i rzekome oczekiwania administracji Trumpa. Ludowcy mieli usłyszeć, że jeśli ich szef nie zmieni koalicjanta, to odetną go od kontaktów z Białym Domem i Pentagonem. Prezes Kaczyński liczy na ludowców, bo sam sugerował publicznie, że jeśli PiS myśli o jakiejkolwiek koalicji rządowej z Grzegorzem Braunem, może to narażać doskonałe relacje z USA.

> Bielan ma relacje w USA, ale wejście do Białego Domu i jego, i Nawrockiego to w dużej mierze zasługa Rachonia.

Ważny polityk PiS mówi, że bardzo zastanawiający jest ten „news" Republiki, który zirytował Bielana. – *Mam przeczucia, że chodzi o rywalizację Adama z Nikodemem Rachoniem, o to, który umie sprawniej wprowadzać polityków do Gabinetu Owalnego.* Rachoń zapewnia, że amerykańska baza w Polsce była jedynym tematem rozmowy z Trumpem. Ale to nie wyklucza, że amerykański prezydent zasugerował, iż zmiana rządu w Polsce pomogłaby negocjacjom w sprawie bazy.

Nikodem Rachoń to brat gwiazdy TV Republika Michała Rachonia, dyrektora programowego stacji. W 2024 r. na antenie telewizji przeprowadził wywiad z kandydatem na prezydenta USA Donaldem Trumpem. – *Oczywiście, że załatwiał to jego brat Nikodem* – zapewnia polityk PiS. Jest etatowym doradcą Nawrockiego, odpowiedzialnym za relacje z USA. Słychać, że chciałby zastąpić Marcina Przydacza, szefa prezydenckiego biura ds. polityki międzynarodowej. Ma też aspiracje, by zastąpić Bogdana Klicha i zostać ambasadorem w Stanach.

Jeden z naszych rozmówców twierdzi, że Bielanowi amerykańskie wejścia zapewnia znajomość z bliskim doradcą Trumpa – chodzi o Vince'a Haleya, dyrektora Rady ds. Polityki Krajowej w Białym Domu. Ten z kolei jest zaprzyjaźniony z Rachoniem. Sam Trump zdradził, kto skłonił go, aby przed wyborami prezydenckimi w Polsce poprzeć Nawrockiego. „Chcę podziękować Vince'owi Haleyowi za rekomendację. Vince był fantastyczny i doceniam to" – stwierdził Trump. Haley przyleciał na zaprzysiężenie Nawrockiego. – *Nie można odmówić Bielanowi, że ma relacje w USA, ale wejście do Białego Domu i jego, i Karola to w dużej mierze zasługa Rachonia. Ale Bielan znów kreuje opowieść o tym, że to wszystko on* – mówi zirytowany polityk PiS.

Inny polityk opowiada, że pozycja Bielana w partii wisi na relacji z Jarosławem Kaczyńskim i że potrzebuje udowadniać prezesowi swoją przydatność. Nie trzyma z żadną frakcją i dzięki temu łatwiej mu organizować – w czym się zresztą wyspecjalizował – kolacje w różnych konfiguracjach, ale z udziałem Kaczyńskiego. Pod koniec kwietnia zaprosił do siebie do domu na pojednawczą kolację Mateusza Morawieckiego i prezesa PiS. Zanim odeszli od stołu, pochwalił się wspólnym zdjęciem na X. Wtedy Tomasz Poręba, dawny bliski współpracownik Nowogrodzkiej, nazwał Bielana

eprasa.pl 50b67a7159

prześmiewczo właścicielem przydomowej restauracji, ktoś inny kelnerem, który wyrabia się przed prezesem PiS. W czerwcu ubiegłego roku też gościł Kaczyńskiego i do stołu doprosił Szymona Hołownię, a także Michała Kamińskiego, z którym niegdyś tworzył spin duet PiS.

O Bielanie mówią: człowiek od zadań specjalnych, strateg, intrygant, łącznik z USA. I dodają, że lubi pieniądze. W Sejmie zadebiutował w 1997 r. jako 23-latek, z list AWS, a kiedy tworzył się PiS, dołączył do partii. W 2004 r. – po to, by zdobywać międzynarodowe kontakty i trochę w nagrodę – Bielan został europosłem, a w 2007 r. wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. W 2005 r. spin doktorzy, którzy podpatrzyli w USA, jak robić kampanijne obrazki i tworzyć chwytliwe przekazy, pierwszy raz wynieśli PiS do władzy. W 2010 r., po prezydenckiej porażce Jarosława Kaczyńskiego, Bielan zaczął zakładać partię Polska Jest Najważniejsza. Jednak szybko zorientował się, że Kaczyński podnosi się po porażce, i zaczął chodzić na Nowogrodzką, więc w PJN się go pozbyli.

Wówczas pomógł mu Jarosław Gowin, ale Bielan w 2019 r. był już dogadany z prezesem PiS, że ma rozbić jego Porozumienie, więc założył partię Republikanów, która w 2023 r. oddała hołd Kaczyńskiemu. Bielan odebrał za to nagrodę i dostał jedynkę w wyborach do Brukseli. Zdobył mandat i spokój do 2029 r., kiedy kończy się eurokadencja. Kiedy pytamy o Adama Bielana ludzi, którzy w PiS nie pałają do niego sympatią, zawsze wspominają o aferze w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju i jak to Bielan sprawnie się z niej wykręci. Sprawa wybuchła w lutym 2023 r. i dotyczy licznych nieprawidłowości przy rozdaniu 811 mln zł w konkursie „Szybka ścieżka", a to właśnie środowisko Bielana sprawowało nadzór nad NCBiR. To politycy związani z Bielanem przejęli kluczowe wpływy w resorcie funduszy i w samym Centrum, tworząc gęstą sieć personalnych powiązań. Gdy dziennikarze i posłowie KO ujawnili milionowe dotacje dla fikcyjnych lub powiązanych z władzą podmiotów – w tym 55 mln zł dla spółki 27-latka – to polityczna odpowiedzialność spadła na wiceministra Jacka Żalka. Niedawno usłyszał zrzuty.

Żalek podał się do dymisji, ale potwierdził udział Bielana we współtworzeniu „patologicznego układu". Jednak Bielan przekonał prezesa PiS, że padł ofiarą spisku, a winą obarczył urzędników oraz dawnych politycznych kolegów. Został przesłuchany w charakterze świadka przez prokuraturę, ostatecznie sprawa została przekazana do Prokuratury Europejskiej. Na nasze pytania o stan śledztwa europejscy prokuratorzy odpowiadają: „jest w toku i na tym etapie nie możemy przekazać żadnych dodatkowych informacji. Wynika to z konieczności ochrony prowadzonego postępowania i jego końcowych ustaleń".

Kiedy latem ważyły się losy harcerzy w PiS, krążyły plotki, że Bielan trzyma z Morawieckim. Dowodem miała być wspomniana już kolacja z prezesem. – *To Morawiecki bardziej potrzebował Bielana i jego doświadczenia z wyciąganiem ludzi, ale Adam wybrał prezesa, bo już raz starał się budować własną partię i wie, jaka to harówka* – mówi polityk Rozwoju Plus. Finał jest taki, że we wrześniu Kaczyński awansował Bielana na przewodniczącego partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR), po tym jak stanowisko zwolnił pod koniec lipca Morawiecki.

EKR to polityczna grupa partii prawicowych w Parlamencie Europejskim, do której należy m.in. PiS. Jej partnerem są amerykańscy Republikanie, z którymi Bielan ma dobre kontakty. – *Prezes chciał pokazać, że po odejściu Mateusza maślarze nie przejęli partii. Przypominam też, że wraz z tym awansem Bielan miał oddać stanowisko szefa delegacji PiS w europarlamencie. Nie oddał* – mówi polityk PiS. I dodaje, że to stwarza Bielanowi możliwości finansowe, które będą wspierać działania PiS, bo sporo euro z PE jest do rozdzielenia. Kaczyński wie, że Bielan jak mało kto umie sprawnie z tych pieniędzy korzystać, ku powodzeniu partii, co ważne szczególnie w czasie zbliżającej się kampanii wyborczej. Pod koniec 2024 r. z inicjatywy Bielana powstało stowarzyszenie dla młodych konserwatystów NowaPL.org. Na jego czele stoi dyrektor biura europosła Szymon Stachowiak. W listopadzie 2025 r. prezydent Nawrocki wystąpił na organizowanym przez NowaPL.org ECR Kongresie Młodych 2025 „Silna Polska. Przyszłość jest w nas", który był finansowany właśnie przez Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Kongres zorganizowano z rozmachem, w stylu, z którego znany jest Bielan.

> Do końca kadencji w PE Bielan pewnie będzie trwał przy prezesie PiS. A potem pójdzie tam, gdzie mu się najbardziej opłaca.

Pod koniec września Adam Bielan znalazł się w rankingu 17 najbardziej wpływowych posłów PE, opublikowanym przez portal Politico. Polityk PiS został określony „kluczowym łącznikiem w relacjach z Waszyngtonem". Wspomniano też, że Bielan „utrzymuje bezpośredni kontakt z liderem partii Jarosławem Kaczyńskim". Jeden z posłów PiS zastanawia się, co będzie z Bielanem, kiedy nastaną czasy bez Kaczyńskiego. Przewiduje, że do 2029 r., kiedy kończy się kadencja w Parlamencie Europejskim, będzie trwał przy prezesie PiS. – *A potem pójdzie tam, gdzie mu się najbardziej opłaca.*

Teraz w obronie Bielana stanął sam Jarosław Kaczyński, apelując do szefa MON o publiczne wyjawienie, czy wobec niego stosowano szantaż w Białym Domu. Kosiniak-Kamysz nie daje się w to wciągnąć. A Bielanowi pewnie trudno czytało się piątkowy wpis na X Toma Rose'a, ambasadora USA: „Historyczny postęp w partnerstwie obronnym USA–Polska ma wielu architektów, ale żaden nie odegrał bardziej kluczowej roli niż wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz". Jeśli Kosiniak-Kamysz był kuszony przez Amerykanów, to nie wykorzystał tej okazji, by dołożyć PiS. Według Kaczyńskiego „oskarżanie człowieka (Bielana – przyp. red.), który zrobił coś dobrego, i to polityka, który jest po drugiej stronie, tej, która bardzo często nas ostro atakuje, to jest już nadużycie moralne, intelektualne i można powiedzieć, że każde inne". A jak inaczej nazwać oskarżenia Kaczyńskiego i Bielana pod adresem rządu, że w tak niepewnych czasach „sabotuje" amerykańską bazę?

Tym bardziej że ze źródeł rządowych i z Kancelarii Prezydenta słychać, że negocjacje idą w całkiem dobrej, ponadpartyjnej atmosferze. – *Trzeba to powiedzieć, że choć w kraju Karol Nawrocki na polityczny użytek mówi różne nienajmądrzejsze rzeczy, to mamy pewność, że w USA podczas ważnych rozmów mówi przekazem ustalonym z MSZ i MON* – opowiada ważny polityk KO. Wiadomo, że Nawrocki może obiecać Trumpowi wiele, ale to polski rząd ma za to zapłacić. W interesie każdej strony jest więc dobra współpraca.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 50b67a7159

Dzieciństwo na receptę

Zamiast zupy – suplement. Zamiast cierpliwości – syrop. W pogoni za zdrowiem coraz częściej leczymy dzieci, które wcale nie są chore.

PAWEŁ WALEWSKI



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Pani Teresa bardzo się ucieszyła, gdy na początku wakacji córka oddała jej pod opiekę pięcioletnią wnuczkę. Od dawna marzyła o tym, by spędzić z nią więcej czasu. Plan był prosty i staroświecki: lody po spacerze, wycieczka do parku, wieczorne czytanie książek i obowiązkowo naleśniki z jagodami. Dziecko miało jednak własny pomysł na pierwszą wspólną wyprawę: „Babciu, pojedźmy do galerii i kupmy sobie duuuużo niezdrowych słodyczy".

Konspiracyjny szept pięciolatki zabrzmiał jak propozycja napadu na bank. Bo we współczesnym domu kostka czekolady potrafi budzić większy niepokój niż garść tabletek.

Pani Teresa szybko to zrozumiała, kiedy otworzyła kuchenną szafkę i zobaczyła coś, co przypominało bardziej zaplecze niewielkiej apteki niż spiżarnię. Witamina D. Tran z kwasami omega-3. Kilka rodzajów witaminowych żelków mieniących się neonowymi barwami. Lizaki z minerałami. Preparaty na odporność. Syrop „na odporność plus". Probiotyki. Magnez. Coś na koncentrację i na lepszy sen.

A jednocześnie w domu Marysi słodycze były zakazane, bo to czyste zło. Ryby również – podobno pełne rtęci. Sok? Za dużo cukru. Jogurt? Trzeba sprawdzić skład. Masło? Lepiej nie. Paradoks, który można zamknąć w jednym zdaniu: troszcząc się o swoje dzieci, coraz bardziej boimy się jedzenia, a coraz mniej boimy się kapsułek. Pani Teresa, przejmując opiekę nad wnuczką, miała wrażenie, że w centrum domowej kuchni stoi już nie garnek z zupą, lecz farmaceutyczny ołtarzyk.

Kult odporności

I to nie jest historia o jednej nadgorliwej matce, która śledzi parentingowe grupy na Facebooku. To opowieść o cywilizacyjnej zmianie, która dokonała się niemal niezauważenie. Jeszcze 20 lat temu rodzice zastanawiali się, czy dziecko zjadło w szkole

eprasa.pl 50b67a7159

obiad. Dziś częściej zastanawiają się, czy przyjęło odpowiednią dawkę witamin, probiotyków i preparatu wspierającego odporność. Dzieciństwo coraz częściej przypomina projekt zdrowotny zarządzany za pomocą rankingów internetowych i reklam, które przekonują, że istnieje preparat na niemal każdy rodzicielski lęk.

Nie chodzi o to, że wszystkie suplementy są zbędne. Problem zaczyna się wtedy, gdy tabletka staje się odpowiedzią na każdą niepewność. Gdy zdrowy maluch zaczyna być traktowany jak pacjent wymagający codziennej profilaktycznej interwencji.

To zjawisko doskonale znają pediatrzy. – *Jako dorośli chcemy mieć tabletkę na wszystko i automatycznie dzieci też są wciągane w to przez rodziców* – mówi pediatra dr Aneta Górska-Kot. Jej zdaniem wystarczy, że na opakowaniu pojawi się magiczne hasło „buduje odporność", a produkt natychmiast znika z aptecznych półek. Tymczasem dzieciństwo z definicji oznacza chorowanie. Układ odpornościowy nie rodzi się gotowy – uczy się świata przez kolejne infekcje. Jedne dzieci przechodzą tę szkołę niemal bezboleśnie, inne – stosując szkolną alegorię – częściej zostają po lekcjach. Sam fakt chorowania nie jest jednak dowodem na immunologiczną katastrofę! – *To jednak trudno uwzględnić w reklamie. Znacznie łatwiej sprzedać rodzicowi poczucie sprawczości* – komentuje dr Górska-Kot. Bo współczesny rodzic nie chce siedzieć bezczynnie przy łóżku gorączkującego dziecka, woli działać: podać syrop, rozpuścić saszetkę, otworzyć kolejne pudełko. Medycyna od dawna uczy, że większość infekcji wirusowych trzeba po prostu przeczekać. Marketing doskonale wie, że cierpliwość nie jest produktem, który warto promować.

Farmaceuta Paweł Iwaszko, właściciel apteki w Dzierżoniowie, nie ma wątpliwości, że współczesna kultura suplementów żywi się właśnie tym mechanizmem. Z naukowego punktu widzenia – podkreśla – u większości zdrowych dzieci uzasadniona może być suplementacja witaminy D, a kwasy omega-3 tylko wtedy, gdy dziecko nie spożywa regularnie tłustych ryb. Na tym lista rutynowych potrzeb praktycznie się kończy. Kolorowe witaminowe żelki, lizaki z minerałami czy multiwitaminy są znacznie bardziej odpowiedzią na potrzeby rynku niż organizmu dziecka.

– *Rodzice rzadko zdają sobie sprawę, że kupują nie jeden preparat, lecz kilka produktów zawierających te same substancje* – ostrzega Iwaszko. – *Witamina D znajduje się osobno, ale także w tranie i multiwitaminie. Cynk pojawia się w preparacie na odporność, a później jeszcze w syropie reklamowanym jako wsparcie organizmu. Poszczególne dawki zaczynają się sumować, choć nikt tego nie planował.*

Sklepy w aptekach

Eksperci zwracają uwagę, że właśnie takie nakładanie się suplementów jest dziś jednym z najczęstszych problemów, a nie sam fakt stosowania pojedynczego preparatu. – *Badania pokazują, że podawanie zestawów witamin i minerałów nie przekłada się na poprawę zdrowia, za to bardzo dobrze przekłada się na grubość portfela firm farmaceutycznych i aptek będących w rękach wielkich korporacji* – dodaje Iwaszko. Dlaczego więc rozsądek tak często przegrywa z reklamą? Bo reklama nie sprzedaje witamin, lecz spokój sumienia.

Iwaszko zauważa, że polskie apteki same zostały wciągnięte w ten mechanizm. Coraz częściej przypominają sklepy, w których suplementy i leki bez recepty finansują funkcjonowanie całego biznesu – a zestresowani rodzice są wymarzoną klientelą, bo troska o zdrowie potomstwa jest emocją, z którą niezwykle łatwo prowadzić marketingową grę. Wskutek braku regulacji rentowność aptek zależy głównie od sprzedaży produktów OTC, więc półki uginają się od kolorowych opakowań, podczas gdy rola farmaceuty jako doradcy schodzi na drugi plan.

Gdy jego znajoma odwiedzała niedawno Szwajcarię, chciała kupić coś na katar dla dziecka, spodziewając się natychmiastowego wydania reklamowanego specyfiku. Farmaceuta zaczął od wnikliwego wywiadu o objawach i wydał lek oparty na wiedzy medycznej, a nie na telewizyjnym spocie. – *Nie było tam kolorowych ekspozycji, neonowych kartoników ani promocyjnych koszy. Szwajcarska apteka nie jest świątynią zakupów, bo tam pacjent przychodzi po prostu porozmawiać z farmaceutą* – komentuje Iwaszko. W Polsce, żeby placówka była rentowna, sprzedaż leków bez recepty musi przekraczać 30 proc., co zmusza nawet najbardziej etycznych farmaceutów do kapitulacji przed trendami rynkowymi. Apteki wydzielają strefy samoobsługowe, eksponując leki OTC i suplementy również dla dzieci, stając się de facto zwykłymi sklepami, w których rodzice zaczęli chętniej kupować.

A przecież nie wszystko, co lśni w reklamach, rzeczywiście pomaga. Dr Górska-Kot przywołuje wyniki badań pokazujące, że wiele popularnych preparatów „na odporność" daje efekt statystycznie dostrzegalny, ale klinicznie niemal niezauważalny. Jeżeli dziecko chorowało dziesięć razy w roku, po suplementacji zachoruje dziewięć. Dla statystyki to mierzalny sukces, dla zmęczonego rodzica i faszerowanego chemią dziecka – zmiana nieodczuwalna. Tymczasem rynek suplementów rośnie.

I właśnie tutaj kryje się największy paradoks współczesnego rodzicielstwa. Nigdy wcześniej nie dysponowaliśmy tak ogromną wiedzą o zdrowiu dzieci. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tylu wytycznych, badań i rekomendacji. A jednocześnie chyba nigdy wcześniej nie byliśmy tak skutecznie przekonywani, że zdrowie wymaga nieustannego wspomagania. Tak jakby natura była tylko wersją demonstracyjną organizmu, a pełną funkcjonalność można było odblokować dopiero po zakupie odpowiedniego zestawu suplementów.

Karolkowi pomógł

Faszerowanie dzieci medykamentami to także pokłosie innej patologii – lekarskiego konformizmu i rodzicielskiej samowolki. – *Matki wykazują silną potrzebę leczenia, nawet w przypadku chorób wysypkowych, które muszą trwać cztery tygodnie i same miną* – opowiada dr Górska-Kot. Pediatrzy, ulegając tej presji, proszą przynajmniej o niepodawanie kilku preparatów naraz. Modny powrót do natury skutkuje podawaniem olejów z czarnuszki, które co prawda nie szkodzą, ale też niewiele wnoszą.

Najgorsza jest jednak samowolka antybiotykowa, przy której liczne grono medyków nie jest już tak stanowcze. Wielu przed weekendem wręcza matkom recepty „w razie czego", a rodzice sięgają po antybiotyki przy lada pogorszeniu, zachowując pozostałości leku na przyszłość, by aplikować je dziecku przy kolejnym katarze bez żadnej konsultacji. – *Taka strategia daje rodzicom złudne poczucie bezpieczeństwa, choć konsekwencje bywają poważniejsze niż u dorosłych, przede wszystkim ze względu na zaburzenia rozwijającego się mikrobiomu* – ostrzega prof. Jarosław Woroń, kierownik Zakładu Farmakologii Klinicznej Collegium Medicum UJ w Krakowie. – *Dodatkowo część popularnych antybiotyków wykazuje działanie przeciwzapalne, więc po ich podaniu* ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ *dziecku może się poprawić, co rodzice błędnie uznają za sukces antybiotykoterapii, a w rzeczywistości wcale nie była ona potrzebna.*

Potem w mediach społecznościowych pojawia się kolejna historia o tym, że „Karolkowi antybiotyk pomógł", więc inni rodzice też nie powinni zwlekać. A jeśli ktoś potrzebuje recepty na potwierdzenie tej teorii, wystarczy kilka minut przed komputerem i kilkadziesiąt złotych – z dostępnością antybiotyków problemu dziś nie ma, gorzej z rozsądkiem w ich stosowaniu.

Od TikToka do psychiatry

Medykalizacja dzieci ma jednak drugie, znacznie mroczniejsze oblicze, które ujawnia się, gdy dorastają do wieku nastoletniego. Tutaj rola rodzica jako głównego dystrybutora pigułek słabnie na rzecz nowego autorytetu: TikToka lub patostreamera.

Dr Aneta Górska-Kot alarmuje, że młodsi nastolatkowie sami wyszukują w sieci preparaty polecane przez influencerów. Co gorsza, granica wieku eksperymentowania drastycznie się obniżyła – to, co kiedyś było domeną zbuntowanych 17-latków, dziś staje się udziałem dzieci 10- i 11-letnich. Młodzież, wyposażona w smartfony i we własne kieszonkowe, bez trudu kupuje w aptekach leki bez recepty, łącząc je w niebezpieczne koktajle w poszukiwaniu farmakologicznego haju (pisaliśmy o tym w artykule „Skazani na zakażenie", POLITYKA 8). Prof. Woroń: – *Organizm dziecka nie jest miniaturą dorosłego. Tzw. farmakokinetyka leków jest tu inna i w przypadku wielu preparatów nie znamy stosunku korzyści do ryzyka ani efektów interakcji składników czynnych z tymi, które są np. w suplementach.*

Z drugiej strony sami rodzice wykazują głęboką bezradność wobec problemów emocjonalnych swoich dzieci, które wierzą w to, że pigułki pomogą pokonać stres lub szybciej się czegoś nauczyć. Zatem gdy pojawiają się trudności w szkole, zamiast szukać głębszych przyczyn w środowisku domowym czy rówieśniczym, rodzice oczekują od pediatry „czegoś" na koncentrację lub uspokojenie. – *Matki przychodzą do apteki po magnez, twierdząc, że dziecko ma tiki i jest nerwowe, podczas gdy roztropny farmaceuta od razu widzi, że problem leży w stresie adaptacyjnym i bardziej pomógłby tu psycholog* – mówi Paweł Iwaszko. Rodzice nie dopuszczają jednak do siebie myśli, że przedszkolak może przeżywać głęboki stres.

Dr Górska-Kot wspomina, jak rodzice nagminnie proszą o środki wyciszające dla dzieci, które boją się zasnąć, zupełnie ignorując konieczność dotarcia do źródła tego strachu. Część pediatrów odmawia przepisywania takich leków – rozwijający się mózg dziecka nie może być bezkarnie poddawany działaniu substancji uspokajających tylko dlatego, że rodzic szuka drogi na skróty. Inni, niestety, rozpoczynają terapię w razie czego, jakby w akcie rozpaczy, bo skoro nie udało się kilkulatka inaczej uspokoić, to może leki pomogą, a przy okazji ujawnią ukryte spektrum autyzmu lub ADHD? Rozwiązaniem powinna być psychoterapia, jednak dostęp do psychologów dziecięcych w ramach NFZ jest dramatycznie ograniczony. W efekcie co drugie dziecko opuszcza gabinety psychiatryczne z grubą kartoteką i receptami na silne leki, którymi rodzice próbują później wyciszyć każdą anomalię.

Pigułka na styl życia

Krajowa konsultant ds. psychiatrii dzieci i młodzieży dr Aleksandra Lewandowska ostrzega przed tą groźną tendencją do rozpoznań stawianych nie w gabinecie specjalisty, lecz przy rodzinnym stole albo na szkolnym korytarzu. Wystarczy, że kilkulatek nie usiedzi spokojnie na krześle, nastolatek wycofa się po bolesnym rozstaniu z dziewczyną, a uczeń zacznie osiągać słabsze wyniki w nauce: – *Zanim trafią do lekarza, zdążą już usłyszeć od otoczenia, że to ADHD, spektrum lub depresja.*

W gabinetach coraz więcej rodziców szuka potwierdzenia diagnozy, którą postawili sami po lekturze internetowych poradników, i pytają raczej o tabletki niż o przyczynę zachowania – zauważa krajowa konsultant. Tymczasem żywiołowość kilkuletniego dziecka nie jest chorobą, podobnie jak smutek nastolatka nie musi od razu oznaczać depresji. Bywa, że młody człowiek próbuje w ten sposób zwrócić uwagę rodziców, odreagowuje szkolny stres, przemoc rówieśniczą albo zwyczajnie przeżywa naturalne trudności dorastania. – *Tabletka nie rozwiąże problemów, których źródłem mogą być np. problemy w relacjach rodzinnych, nadmierne oczekiwania dorosłych czy przeciążenie obowiązkami* – podkreśla dr Lewandowska.

Tymczasem oczekuje się od farmakoterapii efektu niemal wychowawczego. Zamiast cierpliwie pracować nad zachowaniem dziecka, łatwiej uwierzyć, że odpowiednio dobrany lek sprawi, iż stanie się spokojniejsze, bardziej skoncentrowane i posłuszne. Tymczasem w przypadku łagodniejszych postaci ADHD badania pokazują, że często większe znaczenie niż tabletki mają terapia behawioralna, odpowiednie wsparcie psychologiczne oraz zmiana sposobu funkcjonowania całej rodziny. To rozwiązania znacznie trudniejsze, bo wymagają czasu, konsekwencji i zaangażowania dorosłych, ale właśnie one przynoszą najtrwalsze efekty.

Zdaniem dr Lewandowskiej w psychiatrii dziecięcej objawy niemal zawsze są wynikiem współdziałania czynników biologicznych, rodzinnych i społecznych. O tym, czy dziecko rzeczywiście wymaga leczenia farmakologicznego, decyduje nie pojedynczy objaw, lecz jego nasilenie, czas trwania i wpływ na codzienne funkcjonowanie. Dlatego zamiast automatycznie sięgać po receptę, warto najpierw zadać sobie pytanie, co kryje się za zmianą zachowania. Czasem będzie to zaburzenie wymagające specjalistycznego leczenia, lecz równie często – przemęczenie, samotność, szkolna presja albo zwyczajny kryzys wpisany w proces dorastania.

Moda na szybkie rozwiązania dotarła również do leczenia otyłości. Niektóre modne preparaty w rodzaju Ozempicu (z grupy tzw. agonistów GLP-1) mogą być stosowane od 12. roku życia i w określonych wskazaniach stanowią cenne wsparcie. Coraz częściej jednak przedstawiane są jako prosty sposób na pozbycie się nadprogramowych kilogramów, podczas gdy same zastrzyki nie rozwiązują problemu. Otyłość u dziecka niemal zawsze jest konsekwencją całego stylu życia – sposobu odżywiania, aktywności, ilości snu i nawyków panujących w domu. Jeśli po zakończeniu leczenia wszystko pozostanie po staremu, efekty terapii będą krótkotrwałe.

Specjaliści przypominają, że dziecko nie funkcjonuje w próżni. Nie nauczy się zdrowo żyć, jeśli pozostali domownicy nadal jedzą przetworzoną żywność, spędzają wieczory przed ekranem i traktują ruch jako przykry obowiązek. Dlatego skuteczne leczenie otyłości powinno obejmować całą rodzinę, a nie tylko najmłodszego pacjenta. Leki GLP-1 mogą pomóc ograniczyć apetyt i ułatwić redukcję masy ciała, ale nie zastąpią zmiany codziennych przyzwyczajeń. Bez tego nawet najnowocześniejsza farmakoterapia pozostanie jedynie kosztownym i krótkotrwałym półśrodkiem.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 50b67a7159

Wygryzanie chomika



Jak na chomika jest całkiem spory. W oczach deweloperów, którzy próbują zabudować jego siedliska, niemal ogromny. Czy chomik europejski ostatecznie przegra z rynkiem mieszkaniowym? W Lublinie już go właściwie zaorali.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Z ministerialnej strony „Edukacja ekologiczna" można się dowiedzieć, że chomiki europejskie osiągają nawet 30 cm długości. Żyją w norach, gdzie mają wyścielone miękkimi roślinami gniazdo, z którego odchodzą korytarze służące za spiżarnie. Dzięki tym norom i korytarzom napowietrzają i mieszają glebę, zwiększając w niej ilość próchnicy. W korytarzach, których już nie używają, gromadzi się woda, czyli dbają o małą retencję. Okazuje się też, że zjadają szkodliwe dla upraw chrząszcze i ślimaki. A w dodatku to gatunek parasolowy – jego obecność zapewnia ochronę dużej liczbie innych gatunków.

Słowem chomik to jedna z istotnych składowych tak modnej dzisiaj i odmienianej przez wszystkie przypadki bioróżnorodności. Problem zaczyna się wtedy, kiedy bioróżnorodność staje na drodze pieniądzom.

Najgłośniejszym polem bitwy o chomika są dziś Górki Czechowskie i trawiaste enklawy wśród okolicznych osiedli w Lublinie, gdzie aktywiści zderzyli się z deweloperem i władzami miasta. W tym zderzeniu przegrany jest nie tylko chomik, ale i mieszkańcy, którzy broniąc jego siedlisk przed zabudową, jednocześnie walczą o zieleń dla siebie.

Od osób zaangażowanych w obronę lubelskich chomików można usłyszeć, że obnaża ona stan polskiej demokracji – bo nie słucha się argumentów tych, którzy poważnie traktują słowa o wspólnym dobru. Najważniejszy jest zysk albo rozmach, który dobrze wygląda w kampanii wyborczej.

Górki przez wiele lat po wojnie wykorzystywało wojsko – jako poligon. Pod koniec lat 90. XX w. Agencja Mienia Wojskowego zdecydowała o jego sprzedaży. Górki kupiła kielecka spółka Echo Investment, znana głównie z budowy galerii handlowych. Cena: 12,2 mln zł. Wcześniej AMW zaproponowała kupno tego terenu miastu, ale ówczesny prezydent Lublina nie był zainteresowany. Potem Echo Investment odsprzedało grunty spółce TBV. I to ona buduje tam bloki mieszkalne.

– *Na Górkach powstanie małe miasto, na kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, choć w Lublinie jest więcej terenów, które można zabudować bez szkody dla przyrody, a chętnych na mieszkania jest coraz mniej. Za ok. 20 lat Lublin ma liczyć 316 tys. mieszkańców* – mówi Magdalena Nosek z Inicjatywy Górki Czechowskie.

Na koniec grudnia 2025 r. miasto liczyło 326,7 tys. osób. Demograficznie będzie się więc powoli kurczyć.

Zabudowany czy chroniony?

Rzeczniczka obecnego prezydenta wyjaśnia, że urbaniści rozważali różne kierunki rozwoju tej części miasta. „Plany zagospodarowania przestrzennego Lublina już w połowie ubiegłego wieku, w sąsiedztwie wyznaczonych terenów zieleni, dopuszczały realizację usług ogólnomiejskich oraz usług sportu na wszystkich południowych wierzchowinach, a także zabudowę jednorodzinną. Zgodnie ▶

© ERNI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 50b67a7159

▶ z nimi tereny osiedleńcze mogły objąć m.in. wszystkie wierzchowiny Górek Czechowskich, pozostawiając suche doliny jako wolne od urbanizacji" – wyjaśnia Justyna Góźdź.

Obrońcy Górek z kolei powołują się na studium zagospodarowania przestrzennego z 2000 r., w którym były opisane jako strategiczny zasób przyrodniczy Lublina, chroniony przed urbanizacją i przeznaczony do ochrony rezerwatowej.

Dlatego w 2019 r. do projektu zmian studium mieszkańcy Lublina zgłosili ok. 5 tys. uwag. Nie zgadzali się na zabudowę Górek. Uwagi zgłosiła też Miejska Komisja Architektoniczno-Urbanistyczna: „Poważnym problemem projektu jest prawdopodobnie wielokrotnie nadmierna w stosunku do potrzeb oferta nowej, głównie mieszkaniowej zabudowy, co prowadzi do niszczenia potencjałów rozwojowych, chaosu zabudowy, jej rozproszenia, nadmiernych kosztów budowy i eksploatacji infrastruktury i in.".

Negatywne konsekwencje zabudowy na terenie Górek opisano też w „Prognozie oddziaływania na środowisko projektu studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta" sporządzonej przez... lubelski urząd miasta. Napisano w niej, że zabudowa spowoduje utratę naturalnego rezerwuaru roślin i zwierząt, co będzie negatywnym oddziaływaniem na otoczenie. Powstanie parku naturalistycznego, który ma towarzyszyć osiedlom mieszkaniowym, znacznie zuboży skład gatunkowy występujący tu obecnie.

W 2019 r. w Lublinie zorganizowano więc referendum: mieszkańcy odpowiadali na pytanie, czy chcą zmiany przeznaczenia ok. 30 ha z ok. 105 ha terenu Górek z funkcji usługowo-sportowej na zabudowę mieszkalno-usługową, co umożliwiałoby deweloperowi – firmie TBV Investment – budowę osiedla w zamian za stworzenie na pozostałym terenie między blokami wspomnianego parku naturalistycznego. Frekwencja wyniosła zaledwie 12,91 proc. Wymagany próg to 30 proc. Sprawy więc nie rozstrzygnięto, choć w ocenie komentujących niska frekwencja była sprzeciwem wobec planów zabudowy tego obszaru. Tym bardziej że kampania promująca nowy park, a więc i zabudowę Górek, była prowadzona z niespotykanym rozmachem.

Dzisiaj miasto przekonuje, że zabezpiecza większość terenu jako przestrzeń zieloną dla wszystkich Lublinian, a chroniąc jego przyrodniczą wartość, jednocześnie zapewnia rozwój niezbędnej infrastruktury społecznej. Nie bez znaczenia jest zapewne fakt, że teren pod park zostanie miastu przekazany za symboliczną złotówkę, inwestor przekaże mu też na własność nieruchomości o wartości ponad 105 mln zł – na cele społeczne, m.in. szkołę, przedszkole, dom kultury lub miejsce integracji lokalnej społeczności.

– *Górki Czechowskie – rozległe siedlisko w obrębie Lublina – mogłyby pozostać ostoją chomików, miejscem ich bezpiecznego osiedlania z innych inwestycji w mieście. Obszar przeznaczony jest jednak pod zabudowę wielorodzinną. Owszem, na 75 ha ma powstać park naturalistyczny, tylko że park to nie miejsce dla gatunku dziko żyjącego* – tłumaczy dr Weronika Maślanko z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Ważniejsza okazuje się perspektywa mieszkańców – miejsca parkingowe dla samochodów, hulajnóg i rowerów, trakty piesze, tarasy widokowe. Tylko że dla chomika to sztuczne twory. Dr Maślanko zgadza się, że takie miejsca są ludziom potrzebne, ale może nie w obszarach miejskich kluczowych dla przyrody.

Wyrok na chomika

Prof. Grzegorz Mikusiński to biolog pracujący na Uniwersytecie w Uppsali. Razem z prawniczką dr Karoliną Karpus z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu napisali dwie analizy promujące kompletnie inne podejście do krytycznie zagrożonego wyginięciem chomika jako emblematyczny wręcz stosunek do ochrony przyrody. W Wiedniu, gdzie są znaczne siedliska tego gryzonia, deweloper został poinformowany, że na terenie, który zamierza zabudować, żyje chomik. Przed rozpoczęciem prac i na zlecenie dewelopera biegły sporządził mapę wejść do nor i ustalił, czy były zamieszkane. Ale pracownik firmy, jak piszą w analizie naukowcy, przeprowadził działania zdefiniowane jako „szkodliwe" – naruszające zakazy wyznaczające ochronę gatunkową. A inwestor nie miał zgody na odstępstwo od ochrony.

Nory zostały zniszczone, chomiki najpewniej zabite. Władze miasta nałożyły więc na dewelopera karę finansową. Ten odwołał się do sądu. Ostatecznie sprawę ocenił Trybunał Sprawiedliwości, uznając, że ochrona terenu zajętego przez chomiki trwa tak długo, jak jest to potrzebne dla „skutecznego rozrodu". Co więcej, trwa nawet wtedy, kiedy nie jest on już zajmowany przez zwierzęta, ale „istnieje wystarczająco wysokie prawdopodobieństwo, iż ów gatunek zwierząt powróci na ten teren".

Tę opinię zignorował polski Naczelny Sąd Administracyjny, który oceniał wyrok sądu pierwszej instancji wydany w Krakowie. Tutaj też poszło o chomika, tyle że w związku z budową drogi ekspresowej w Małopolsce. W 2016 r. Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Krakowie zezwolił inwestorowi na „umyślne chwytanie, transport, niszczenie siedlisk lub ostoi będących obszarem rozrodu, wychowu młodych, odpoczynku lub żerowania, a także umyślne przemieszczanie z miejsc regularnego przebywania na inne miejsca oraz płoszenie lub niepokojenie" ok. 60 osobników. Decyzja zapadła wiosną 2020 r. z rygorem natychmiastowej wykonalności. Odwołanie złożyła jedna z organizacji ekologicznych, ale Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie uznał, że nie jest ona stroną, i skargę oddalił. Co potem podtrzymała wyższa instancja.

Z perspektywy urbanistycznej

Irena Kołodziej, członkini Stowarzyszenia Obrony Górek Czechowskich, emerytowana dziennikarka, która po latach pracy w Warszawie wróciła do Lublina: – *My też zderzaliśmy się z urzędnikami i z sądami. Dla miasta jako aktywiści najwyraźniej nie jesteśmy stroną, dlatego zaskarżyliśmy Zintegrowany Plan Inwestycyjny do WSA w Lublinie. Wcześniejsza analogiczna skarga lubelskiego NGO-su została odrzucona – sąd nie dopatrzył się interesu prawnego organizacji. My na szczęście trafiliśmy na sędziego, który postanowił złożyć w tej sprawie pytanie prejudycjalne do TSUE, tak jak Wiedeńczycy. Czekamy więc na wyrok TSUE, zwłaszcza że będzie ważny nie tylko dla Lublina.*

Dr Jan Kamiński, architekt krajobrazu z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i były przewodniczący Rady Kultury Przestrzeni, dodaje, że warto spojrzeć na sprawę z perspektywy urbanistycznej. W każdym mieście planiści wyznaczają, różnie nazywane, systemy terenów zieleni, które nie powinny być zabudowane. Pełnią one wiele funkcji jednocześnie: rekreacyjną, mikroklimatyczną, przyrodniczą. Ich obecność ma przełożenie na jakość powietrza, temperaturę, naszą aktywność, a w konsekwencji na jakość życia i zdrowie mieszkańców. I dlatego muszą być blisko domów i być odpowiednio duże, bo ich ochrona przynosi wiele korzyści. Jedną z nich jest oczywiście zachowanie cennych

eprasa.pl 50b67a7159



Górki Czechowskie w Lublinie. Ma tu powstać małe miasto na kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Zabudowa spowoduje utratę naturalnego rezerwuaru roślin i zwierząt.

gatunków roślin i zwierząt. – *W pewnych obszarach to państwo musi stać na straży wartości wspólnych i to ono powinno regulować rynek* – mówi Kamiński.

Zagrożone siedliska

Prof. Joanna Ziomek z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, współautorka programu ochrony chomika europejskiego, przyznaje, że w kwestii ochrony najważniejsze jest, jak ludzie interpretują przepisy prawa. Ma na myśli przede wszystkim samorządowców. Bo to od ich postawy zależy, czy przyroda zostanie objęta rzeczywistą i skuteczną ochroną.

– *Tak się stało w Jaworznie na Śląsku, gdzie radni z prezydentem wspólnie przyjęli plan ochrony chomika, uznając izolowany teren za cenny ekologicznie. Ale z kolei w Jaworze na Dolnym Śląsku tereny zasiedlone przez chomiki przewidziano pod zabudowę mieszkaniową* – mówi prof. Ziomek. Grunty, na których mają powstać domy, są prywatne i rolne. Właściciele chcą je sprzedać. Kto by w sytuacji, gdy ziemię chce kupić deweloper, myślał o chomiku, kiedy na horyzoncie widać zysk. I to duży.

Prof. Magdalena Hędrzak z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, która aktualnie liczy siedliska chomika w Małopolsce i na Śląsku: – *W Szczebrzeszynie przez tereny bezcenne przyrodniczo pod każdym względem, nie tylko z racji żyjących tam chomików, ma być poprowadzona obwodnica miasta. Nie wiem, czy jest niezbędna, ale nie wiem też, dlaczego wyznaczono akurat taki, a nie inny jej przebieg.*

Kolejne przypadki. Witów – tam grunty w pobliżu siedliska lokalne władze przeznaczyły na tereny przemysłowe i m.in. zakład utylizacji odpadów. I Żory, gdzie właściciele gospodarstwa rolnego walczą o chomika i o to, by władze miasta nie poprowadziły przez ich pola uprawne dróg dojazdowych do nowych osiedli mieszkaniowych. A chomik, nawet najbardziej waleczny, w zderzeniu z fabryką, osiedlem i koparką nie ma żadnych szans. Tym bardziej że kiedy kilka lat temu na Uniwersytecie Przyrodniczym w Krakowie organizowano konferencję poświęconą ochronie chomika, patronat dało Ministerstwo Klimatu i Środowiska, ale już Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi prośbę zignorowało. Nieoficjalne kanały przekazały, że dla resortu mały gryzoń to szkodnik.

Program wpadł do nory

W ciągu zaledwie 50 lat zasięg występowania chomika europejskiego zmniejszył się w Polsce o 80 proc. W ogólnopolskim plebiscycie Ministerstwa Klimatu i Środowiska zdobył on tytuł Zwierzęcia Roku 2026. Gdyby umiał czytać, mógłby nawet poznać tekst piosenki o sobie – na rządowej stronie w zakładce „Edukacja ekologiczna". Ale nie umie. Nie wie też, że Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody w 2020 r. nadała mu status gatunku krytycznie zagrożonego wyginięciem w całym zasięgu występowania, a dwa lata później ten status uzyskał na terenie Europy.

Program ochrony chomika europejskiego w Polsce w szufladach Ministerstwa Środowiska leży od 2016 r. W ciągu tych 10 lat gryzoniem zajmowali się głównie naukowcy i aktywiści. Samorządy albo nie wiedziały, że mają u siebie takie zwierzę, albo wiedzieć nie chciały. Przyrodnicy myśleli, że tytuł zwierzęcia roku spowoduje realne działania. Jak na razie ministerstwo ograniczyło się do edukacji. I piosenki, w której chomik – wbrew faktom – mieszka na łące, gdzie pasą się jelenie...

Zdarzają się jednak lokalne inicjatywy. Przy błogosławieństwie burmistrza Dariusza Marczewskiego odbyło się I Miechowskie Chomikowanie. Inicjatywa wyszła od nauczyciela biologii w międzynarodowym liceum i edukatora Radosława Brzezowskiego. Były prelekcje popularnonaukowe, wyprawy terenowe, zajęcia, na których można było dowiedzieć się więcej o przyrodzie i ochronie chomika europejskiego. Jak mówi Brzezowski, chomik w Miechowie żyje od zawsze, choć są tacy, którzy mają do niego stosunek ambiwalentny, zrzucając na niego winę za szkody w uprawach.

– *Ale udało nam się pokazać, że jest ważny i warto go chronić jako istotną część środowiska.* – Brzezowski dodaje, że obecność chomika jest najlepszym świadectwem zdrowego krajobrazu rolniczego i warto ją wykorzystać w promocji produkcji zdrowej żywności.

W tym samym czasie w Lublinie odgrodzono kolejny kawałek siedliska Orfeusz niedaleko Górek Czechowskich. Za płotem wre budowa – na pasie zieleni, gdzie chomik żył sobie, nikomu nie wadząc, powstają bloki mieszkalne. Na facebookowym profilu „Górki Czechowskie – wietrznie zielone" czytamy: „Kolejne chomiki – martwe, ale i ostatnie niedobitki, zdezorientowane, pojawiają się na terenie wokół płotów. W czasie, kiedy powinny już zaczynać hibernować. Co chwilę mamy jakieś zgłoszenie – np. w sobotę o chomiku na terenie dziś otoczonym płotem, za ławeczką, inne dotyczące np. chomika wycieńczonego, przestraszonego, siedzącego w kępie roślin przy schodach do wąwozu: zachowuje się dziwnie, warczy, ale nie ucieka przed człowiekiem".

Tego biedaka odłowił lekarz weterynarii dr Rafał Ostaszewicz i zabrał do lecznicy. Walka o życie Pulpeta, bo tak go nazwano, trwała kilkanaście godzin. Nie udało się. Na pewno to niejedyna ofiara niepohamowanych apetytów inwestorów.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 50b67a7159



Zasada 4Z

Samotne matki w kryzysie psychicznym leczą się w biegu. W biegu też umierają, ale po kawałku, żeby dzieciom nie było smutno.

ALEKSANDRA GRABOWIECKA

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Warszawa, Wilanów. Siedzimy w niewielkim mieszkaniu Kasi – kawalerce przerobionej na dwa pokoje, żeby dziecko miało własną przestrzeń. Kasia śpi na kanapie w małym pomieszczeniu, które można nazwać kuchnią i przedpokojem w jednym. W czasie naszej rozmowy kobieta cofa się pamięcią o dziewięć lat. Łatwo jej to przychodzi, bo tamtego wieczoru nie zapomni nigdy. W pokoju obok spał jej trzymiesięczny synek. A ona odruchowo sięgnęła po telefon. Ale nie swój, tylko partnera. Zorientowała się dopiero, kiedy zobaczyła w esemesie zdjęcie nagiej kobiety i pytanie: „Tęsknisz?”.

Jak mówi, niewiernego faceta łatwo wyrzucić z domu, ale trudniej z własnej głowy. Tym bardziej że jej głowa już wcześniej przestała jej słuchać. Pierwszy

eprasa.pl 50b67a7159

napad paniki miała dzień po narodzinach Jasia, jeszcze w szpitalu. – *Wszystko stało się dużo bardziej wyraźne. Miałam wrażenie, że wzrok mi się bardzo zaostrzył, zaczęłam ciężko oddychać. Wszystko mnie przytłaczało. To był taki wszechogarniający lęk, nie wiadomo przed czym. Miałam poczucie, że zaraz umrę.* Podali jej hydroksyzynę. Ktoś przytrzymał ją za rękę. Na położnictwie mieli takich akcji setki. Rutyna.

Do psychiatry trafiła niedługo później. Samotna matka z niemowlęciem. Nie pamięta, kiedy pierwszy raz pomyślała o samobójstwie. Pamięta myśl, która pojawiła się chwilę później: – *Nie ma takiej szansy, żebym to zrobiła, bo kto się zajmie moim synem? Nie mogłabym mu tego zrobić. Najbardziej dojeżdżało mnie zmęczenie, potworne zmęczenie, a na drugim miejscu niesprawiedliwość. Miałam mieć taką wspaniałą, pełną rodzinę, inne pary chodzą razem z wózkami, a tutaj wszystko poukładało się inaczej.* Kiedy Jaś miał pół roku, wróciła do pracy. Przez kolejne pół roku opiekowała się nim jej mama. Kasia mówi, że w pracy odżyła, że tam odpoczywa. Od dziecka, od kłopotów, nawet od samej siebie.

Jaś ma dziś dziewięć lat. Jest samodzielny, przebojowy i nauczony, że jeśli coś dzieje się z mamą, ma dzwonić do babci, która mieszka w sąsiedniej dzielnicy. Według Halszki Witkowskiej, suicydolożki, u osób w kryzysie zmienia się znaczenie słowa „zmęczenie": – *Trochę je bagatelizujemy, bo żyjemy w czasach, w których właściwie wszyscy mówią, że są zmęczeni. Tymczasem osoba w głębokim kryzysie często nie jest już zmęczona. Jest wyczerpana. Wtedy nawet najprostsze czynności mogą wymagać ogromnego wysiłku, a śmierć może zacząć kojarzyć się ze spokojem, bo: „Już niczego nie będę musiała", „wreszcie odpocznę".*

Przeciążone

Boże Ciało. W sypialni na warszawskiej Saskiej Kępie pachnie parówkami i czekoladą, obok łóżka stoją butelki po Muszyniance. Jest popołudnie. Na łóżku leży 37-letnia kobieta, powiedzmy X, która od rana prawie się nie rusza. Xanax zawsze nosi przy sobie w torebce, ale tego dnia torba, skórzana listonoszka, podrapana przez kota, leży w drugim pokoju na kanapie. Trzy metry od łóżka. Za daleko. – *Zawsze sobie wyobrażałam, że gdybym kiedyś miała popełnić samobójstwo, zrobiłabym to w sposób zaplanowany, tak, żeby nikomu nie zrobić kłopotu. Tego dnia pomyślałam, że nie mam już nawet siły po raz kolejny pilnować, żeby nikomu nie zrobić kłopotu* – mówi.

W końcu wstaje po torebkę. Bierze Xanax i zasypia. Kiedy budzi się po kilku godzinach, widzi nieodebrane połączenia od przyjaciółki. – *Terapeutka kazała mi powiedzieć wszystkim dookoła, w jakim jestem stanie. Tłumaczyła, że wtedy inni będą wiedzieć, że trzeba mi pomóc w najprostszych sprawach, jak wyniesienie śmieci. Ale rozumiałam, jakie było drugie dno tego zalecenia: żeby ktoś zdążył zauważyć, zanim będzie za późno* – wspomina.

Takie sytuacje nie są wyjątkiem. Rano bywa gorzej: nie może wstać, a gdy w końcu to robi, chce jej się wymiotować. Kiedy napięcie jest zbyt duże, sięga od razu po Xanax z Pregabaliną, żeby zadziałały szybciej i mocniej. Lek ją odcina, zasypia. Budzi ją córka, która przychodzi się przytulić. Potem X prowadzi ją do przedszkola i jedzie do pracy.

W ubiegłym roku życie odebrało sobie 4776 Polaków, przede wszystkim mężczyzn. Samobójstw wśród kobiet było 801. U większości przyczyną był ciężki epizod depresyjny, choroba psychiczna, ewentualnie choroba terminalna. Paradoksalnie według psychiatrów najbardziej zagrożone ciężkimi epizodami depresji są kobiety silne i samowystarczalne, które mają tendencję do bagatelizowania czerwonych flag dotyczących własnego zdrowia. – *Bywają skrajnie przeciążone i trudno im się zregenerować. Priorytetem zwykle pozostaje dziecko, więc matka odkłada własne potrzeby na dalszy plan. Jeśli jest w trudnej sytuacji finansowej, prędzej odmówi sobie leczenia, żeby wystarczyło na terapię dla dziecka* – tłumaczy profesor psychiatrii Anna Mosiołek. Z drugiej strony posiadanie dziecka może być czynnikiem ochronnym, bo kotwiczy matkę w codzienności: – *Tyle że w najcięższych epizodach myślenie ulega zmianie. Mówimy o tzw. zniekształceniach poznawczych w depresji, które zmieniają zupełnie perspektywę* – dodaje profesor.

Milczące

Depresja towarzyszy X od pięciu lat. Leczyć zaczęła się rok po narodzinach Lili. W najgorszych epizodach nie wstawała. Rzadko się myła. Resztkę sił zostawiała na odebranie córki ze żłobka. Do psychiatry nie poszła. Wysłała ją zaniepokojona przyjaciółka, z którą poznały się na patologii ciąży. W gabinecie psychiatrycznym dowiedziała się, że ma depresję. – *To była depresja wysoko funkcjonująca. Chodziłam do pracy, zarabiałam, wychowywałam dziecko. Z zewnątrz wszystko było OK, w środku nic nie działało. Gdybym była sama, nie walczyłabym tak, żeby pozostać na powierzchni. Ale mam córkę, dla niej będę się choćby czołgać* – opowiada.

Halszka Witkowska mówi, że osoba w kryzysie samobójczym bardzo często nie pragnie śmierci: – *Ona po prostu nie potrafi już znieść stanu, którego doświadcza.* Witkowska analizowała kiedyś list pożegnalny kobiety skierowany do jej kilkuletniego syna. Pisała w nim, że jest beznadziejną matką, że jego życie będzie bez niej lepsze i że rodzina zaopiekuje się nim lepiej niż ona. Podpisała list serduszkiem i uśmiechem. – *O takich doświadczeniach kobiet nadal wiemy niewiele, bo przeżycie próby czy kryzysu samobójczego pozostaje silnie stygmatyzowane. A kiedy połączymy myśli samobójcze czy próbę samobójczą z macierzyństwem, otrzymujemy jeszcze większe tabu. Te kobiety po prostu milczą. Dlatego w wielu przypadkach nawet nie mamy pojęcia, że matka przeżywała taki kryzys* – dodaj Witkowska. Dlatego X jest X.

– *Samotne matki na wizytach w poradni albo na konsultacjach na SOR nie mówią wszystkiego, bo boją się, że lekarz je zamknie na oddziale. I dlatego nie mówią o myślach samobójczych* – mówi Weronika Tyrcha-Baranek, lekarka w trakcie specjalizacji z psychiatrii w Szpitalu Bielańskim w Warszawie.

Mama Lili nauczyła się już bronić przed samą sobą. Gdy pojawiają się myśli samobójcze, dzwoni: najpierw do najbliższych, a jeśli ktoś nie odbiera – do następnej osoby. Czasem dzwoni do znajomych, do których nie ma numeru, przez Instagram. Jeśli to nie wystarcza, dzwoni na linię kryzysową: – *Nie chodzi nawet o to, żeby ktoś rozwiązał mój problem. W takim momencie potrzebuję po prostu człowieka po drugiej stronie.*

Witkowska nazywa to pierwszą pomocą emocjonalną i sprowadza do zasady 4Z: zauważ, zapytaj, zaakceptuj, zareaguj. Najpierw dostrzec, że dzieje się coś niepokojącego, potem zapytać – także wprost o myśli samobójcze – i wysłuchać bez oceniania. Ostatnie „Z" to działanie: pomoc w dotarciu ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ do specjalisty, a przy bezpośrednim zagrożeniu życia także do szpitala albo wezwanie pomocy.

Zamrożone

Wrocławskie Krzyki. Jest noc. Maria, dentystka, samotna mama dwóch córek w szkolnym wieku, leży w łóżku i nie może zasnąć. Stres powoduje u niej gonitwę myśli: boi się, że popełni błąd w pracy i straci pieniądze. Wie, że za kilka godzin musi wstać, wyszykować córki, zrobić im śniadanie, a potem iść do gabinetu i przyjmować pacjentów. – *Czasami ogarnia mnie taki strach: że nie mogę zachorować, nie mogę wylądować w szpitalu, bo kto się wtedy zajmie moimi dziećmi* – opowiada. Jeszcze rok wcześniej mieszkała z rodziną w Szwecji. Wyjechali, żeby podreperować domowy budżet – a dokładniej: żeby podreperowała go Maria. Jacek, jej mąż, odkąd urodziły się dziewczynki, nie pracował na pełny etat; tłumaczył to brakiem ofert albo za niskimi płacami. Dziećmi zajmował się głównie on, ale kiedy obie córki poszły już do szkoły, Jacek nadal nie wracał do biura. – *W Uppsali wychodziłam do pracy o 7, wracałam o 19. To była praca ponad moje siły. Przeszłam tam wypalenie zawodowe* – mówi Maria. Jej zdrowie psychiczne zaczęło się kruszyć. Małżeństwo również.

Podjęła decyzję o rozstaniu i powrocie do Wrocławia, ale przez kolejny rok mieszkali jeszcze razem. Maria liczyła, że mąż wróci z nimi do Polski. Nie sądziła, że będzie chciał żyć z dala od Michaliny i Weroniki. Jacek został jednak w Szwecji; znalazł pracę w Uppsali i – jak mówi Maria – zaczął żyć jak singiel, coraz rzadziej angażując się w życie córek. Pierwszy rok po powrocie Marii do Polski był najtrudniejszy: – *Myślałam cały czas o tym, że jestem jak chomik w kołowrotku, że muszę zarabiać pieniądze, a jednocześnie sama zajmować się córkami.* Dziewczynki miały problemy z adaptacją w nowej szkole, wychowawczyni alarmowała o kolejnych kłopotach. – *Bałam się patrzeć na telefon, czy znowu nie ma maila albo nieodebranego telefonu ze szkoły. Byłam tak przeciążona, że chciałam wrzeszczeć* – wspomina Maria.

Michalina i Weronika chodzą na terapię, każda na swoją, żeby poradzić sobie z rozstaniem rodziców i z tym, że tata kontaktuje się z nimi coraz rzadziej. Jedna wizyta kosztuje 200 zł. Dwie córki, po jednym spotkaniu tygodniowo: ok. 1,6 tys. zł miesięcznie. Na terapię dla Marii już nie starcza, choć powinno. – *Nawet jak jest mi bardzo ciężko, jestem w totalnym zamrożeniu i po prostu działam jak automat* – opowiada.

Terapeuta Maciej Kalaman mówi, że problem zaczyna się wtedy, kiedy wymagania przez długi czas przewyższają zasoby: – *Problemem nie jest to, jak zarządzamy naszymi obowiązkami, ale to, że przez długi czas dźwigamy za dużo i za długo* – tłumaczy.

Niewidoczne

Psychiatra sugeruje mamie Lili intensywniejsze leczenie: trzy miesiące na oddziale dziennym, pięć dni w tygodniu, od rana do popołudnia. – *Pracuję na umowę B2B, od projektu do projektu. Utrzymuję siebie i Lilę. Jak miałabym nie zarabiać przez trzy miesiące?* – pyta. Wybrała więc prywatne leczenie: częste wizyty u terapeuty i psychiatry: – *Jeśli nie dam rady w ten sposób, pójdę na oddział. Tylko muszę mieć za co żyć przez te trzy miesiące.*

Co dzieje się wtedy, kiedy psychiatra mówi matce, że powinna zostać w szpitalu, a ona odpowiada, że w domu ma dziecko i nie ma z kim go zostawić? – *Nie ma w Polsce ogólnokrajowego mechanizmu uruchamiającego doraźną, całodobową opiekę nad dzieckiem na czas hospitalizacji rodzica* – mówi sędzia rodzinny Marek Baranowicz. Prawo przewiduje rozwiązanie awaryjne: za zgodą rodzica dziecko może trafić do rodzinnej pieczy zastępczej na podstawie umowy ze starostą, który następnie zawiadamia sąd. W praktyce – jak mówi sędzia Baranowicz – nigdy się z takim rozwiązaniem nie zetknął. Regułą jest, że dzieci trafiają do pieczy zastępczej z rodzin patologicznych, nie w trybie dobrowolnej umowy zdrowiejącego rodzica.

Nie ma też jednego standardu postępowania – wszystko zależy od gminy, potwierdza Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Zanim sprawa trafi do sądu, pracownik socjalny próbuje pomóc matce znaleźć kogoś z rodziny lub z otoczenia, kto podejmie się opieki nad dzieckiem.

Sama hospitalizacja psychiatryczna rodzica nie oznacza automatycznie ograniczenia władzy rodzicielskiej. Jeśli jednak dziecko trafi do pieczy zastępczej, jego powrót do domu wymaga ponownej oceny sytuacji rodziny. Nie wiadomo, ilu rodziców właśnie z powodu braku opieki nad dzieckiem odkłada leczenie albo z niego rezygnuje. – *Szpital nie zbiera danych na ten temat. Jest to opisywane w dokumentacji medycznej, ale nie ma statystyk* – mówi lekarka Weronika Tyrcha-Baranek.

Nie inaczej jest w NFZ. – *Nie dysponujemy danymi o tym, czy pacjent jest rodzicem samotnie wychowującym dziecko ani czy powodem odmowy leczenia był brak opieki nad nim. Z tego względu w NFZ nie ma mechanizmu monitorowania przyczyn rezygnacji z terapii* – tłumaczy rzecznik Jakub Gołąb. Podobnie jest w Ministerstwie Zdrowia. Resort wskazuje tylko, że w całym systemie rośnie liczba pacjentów niezgłaszających się na umówione wizyty: z 1,28 mln w 2023 r. do 2,28 mln w 2025 r. Ale to dane zbiorcze, niemówiące niczego o przyczynach ani o sytuacji rodzinnej tych ludzi. Więc nawet tu nikt nie wie, ile z tych nieobecnych to matki, które nie miały z kim zostawić dziecka.

GUS ma osobno dane o hospitalizacjach psychiatrycznych i osobno o gospodarstwach domowych, ale ich nie łączy. Nie wiadomo więc, jaka jest sytuacja rodzinna osób leczonych psychiatrycznie. Prof. Anna Mosiołek widziała taki problem ze szpitalnego korytarza: – *Pamiętam mamę, która trafiła do mnie na oddział w ciężkim kryzysie, a w tym czasie jej córka była w przedszkolu. Kontakt z tą kobietą był bardzo utrudniony; dopiero po kilku godzinach udało się ustalić jej sytuację rodzinną. Zanim z innego województwa dojechała jej siostra i ustalono pieczę zastępczą, dziewczynka trafiła do pogotowia rodzinnego.*

Zabezpieczone

Maria od pewnego czasu próbuje robić z córkami rzeczy na zapas: pilnuje wspólnych wakacji, świątecznych rytuałów, zdjęć. Chce, żeby miały dużo dobrych wspomnień. – *Nawet czasami myślę o tym, żeby pisać do dzieci listy na wypadek, gdyby coś mi się stało.*

Mama Lili również zostawia wiadomość na przyszłość. Ma niewielki roślinny tatuaż związany z córką, w miejscu widocznym na zdjęciach. – *Pomyślałam kiedyś, że jeśli umrę za wcześnie, Lila będzie oglądała moje zdjęcia i zobaczy ten tatuaż. Chciałam, żeby wiedziała, że był dla niej. Taka wiadomość: kochałam cię najmocniej, jak umiałam.*

Maria z córkami ma ustalone procedury: gdyby zaczęło się palić w domu – uciekać, gdyby coś stało się mamie – iść do sąsiadów na górę. Normalne procedury na nienormalne sytuacje.

ALEKSANDRA GRABOWIECKA

eprasa.pl 50b67a7159

Przyjeżdża Żyd do miasteczka

Pasłęk, Kino Zamkowe, sala pełna ludzi, organizator spotkania przedstawia bohatera: „ocalały z Shoah, Pasłęczanin, ksiądz, filozof, naukowiec, edukator, autor, Żyd. Życie jest pełne interwencji czegoś z góry”.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK



Romuald Jakub Weksler-Waszkinel na jednej z uliczek Pasłęka

© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Na scenę wychodzi Romek, tutejszy chłopak, ale teraz mieszka w Jerozolimie. Pięknie opowiada o życiu, bezbłędna polszczyzna, „ł” przedniojęzykowo-zębowe jak w starym teatrze. Piękno bierze się także ze smutku, np. gdy Romek mówi, że nigdy się nie urodził. Siedział na ławce w raju, przyleciał bocian, pochwycił chłopca za pępek i wrzucił do domu przez komin. Tak mu powiedzieli rodzice.

Dlaczego przez komin? – pytał potem Romek rodziców. Bo zima, drzwi były zamknięte, odpowiadali. Właśnie z powodu sadzy w kominie masz, kochany synku, takie ciemne włosy i oczy.

Opowiadał historię swojego zaistnienia na ziemi tak długo i z takim przekonaniem, aż wreszcie Łucka, mała sąsiadka z domu obok, zlitowała się nad nim: „Nie mów już o tym więcej nikomu, Romeczku, bo będą się z ciebie śmiać”.

Uliczki

Znajomi z pasłęckiej młodości mówią „Romek”, ale zgodnie z paszportem to Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, rocznik 1943, człowiek poważny i sławny. Nakręcono o nim dwa filmy, napisano książkę, a drugą napisał o sobie sam. Oprócz tego opublikował kilka książek naukowych i dziesiątki artykułów z dziedziny filozofii.

Najpierw, jako młody ksiądz, zajmował się naukowo metafizykiem-intuicjonistą Henrim Bergsonem, który dowodził, że życia nie da się opisać samym rozumem. Dla Bergsona przeszłość żyje w człowieku obok teraźniejszości.

Później, jako ksiądz, który dowiedział się, że jest Żydem, Weksler-Waszkinel poświęcił się czemuś, co oficjalnie zwie się „dialogiem judeo-chrześcijańskim”, a w rzeczywistości bywa próbą zwalczania przejawów antysemityzmu w Kościele katolickim. Był księdzem pół wieku, większą część tego czasu przepracował na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w katedrze metafizyki.

Jesienią 2026 r. Romek powolutku chodzi po Pasłęku, patrzy i milczy, a gdy się chodzi razem z nim, idzie się przez czas bergsonowski – teraz nakłada się na kiedyś i tworzy nowe sensy. Tą drogą szły codziennie krowy z pola (teraz raczej dzielnica willowa). W tej kamienicy na piętrze było pianino, chodził na lekcje gry (teraz sklep). Tutaj mieszkał pewien pan spod Wilna, który po pijanemu krzyczał za małym Romkiem: „Żyd, żydziuk, żydowski bajstruk!” (bękart).

Na tyłach Kościoła św. Bartłomieja starsza pani niesie kwiaty do salki parafialnej. Poznaje Romka, wita uśmiechem, cieszy się, że sławny ksiądz przyjechał do Pasłęka. – *Ale ja już nie jestem księdzem, proszę pani* – mówi Weksler-Waszkinel. Pani z kwiatami wciąż się uśmiecha, jednak teraz to już chłodniejszy uśmiech. – *Proszę księdza, dla mnie ksiądz zawsze będzie księdzem* – odpowiada. ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ Podobieństwo

Mały Romek Waszkinel w Pasłęku: maminsynek, jąkała, płaczek. Padał na ziemię, gdy tylko usłyszał lecący samolot. Skąd się brał ten zwierzęcy strach silniejszy od rozumu, nie wiedział.

Waszkinelowie przyjechali do Polski w jej nowych, powojennych granicach pierwszym pociągiem repatriacyjnym z ZSRR. W 1946 r. zajęli jeden z wielu identycznych domów przy ul. Kolonii Robotniczej w Pasłęku (dawniej Preussisch Holland). Za sąsiadów mieli innych polskich przesiedleńców i osadników. Tata Piotr był ślusarzem w Państwowym Ośrodku Maszynowym, mama Emilia zajmowała się domem i dziećmi (Jasia, siostra Romka, urodziła się w 1952 r.).

Ale w międzywojniu rodzina mieszkała w Święcianach niedaleko Wilna, tam urodził się Romek. Święciany były wtedy sztetlem, w miasteczku stało pięć synagog. Oto był świat, który przepadł bez śladu, a żył już tylko w synku Waszkinelów. Jednak w domu przed tą wiedzą troskliwie Romka chroniono. Tego wrażliwy chłopak, uporczywie szukający w lustrze swojego podobieństwa do rodziców, mógłby nie unieść.

Być podobnym – to najważniejsze. Dzieci pytały: Do kogo jesteś podobny? Do mamusi i tatusia, odpowiadał. Dzieci śmiały się: Jesteś głupi, idź popatrz się w lustro. Krótko ścięte czarne włosy, a rodzice szatyni. Dlaczego ja nie mogę mieć dłuższych włosów? – pytał Romek. Ale przynajmniej nie masz wszów, odpowiadała mama. Coś czaiło się w cieniu, dzieci czują takie rzeczy.

– *Strach szedł za mną* – mówi Romuald Jakub Weksler-Waszkinel jesienią 2026 r.

Okrzyczany „żydowskim bajstrukiem" zaczął biec. Wpadł do domu poskarżyć mamie, że go p-p-przezywali. Zaciął się na literze „p", dalej już nie poszedł. Za to bezbłędnie wydobył z siebie inny krzyk: Co to jest Żyd?!

Zgody

– *Dla mnie Pasłęk w latach dziecinnych nie był czysty i niewinny* – opowiada Weksler-Waszkinel. – *Wcale nie byłem pewny, czy powinienem tu przyjeżdżać.*

Stoi na scenie wielkiej, jasnej auli swojego dawnego liceum im. Bohaterów Grunwaldu. Obok, na sztalugach, tablice przygotowane przez Miejską Bibliotekę Publiczną – jedna o Waszkinelach, a dwie o urodzonym w Preussisch Holland (Pasłęku) Maxie Liedtke, majorze Wehrmachtu. Wszyscy oni mają tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za ratowanie Żydów w czasie drugiej wojny.

Uratowany przez rodziców Romuald, były ksiądz, obchodził bar micwę w Izraelu w wieku 76 lat. Powinien ją mieć jako 13-latek. Ale w tamtym czasie szukał podobieństwa do rodziców w domowym lustrze. I nawet pewnego razu, poprzez usilne wpatrywanie się, znalazł. Krzyknął: Mamo, jestem podobny do tatusia!

Opowieść Wekslera-Waszkinela robi się czasem smutno-zabawna. Bohater wie, jak występować publicznie – lata naukowej i księżej praktyki. Kilka nauczycielek ociera łzy. Płacze i prelegent, mówi, że płakać potrafi najlepiej. Jednak aula pełna uczniów milczy, słuchają, ale nie mają pytań. Nauczyciele tłumaczą ciszę teorią gąbki: młodzi nasiąkają wiedzą, odnajdują ją w sobie dopiero później.

– *Czy pan na pewno zdobył zgody przełożonych na te spotkania ze mną w Pasłęku?* – dopytuje Romuald Jakub Weksler-Waszkinel Piotra Adamczyka, dyrektora Miejskiej Biblioteki Publicznej, który zaprosił go do miasta. – *Pewnie trudno było je zdobyć?*

– *Nie trzeba było żadnych zgód* – odpowiada Adamczyk. – *Po prostu pana zaprosiłem.* – *Jak to żadnych zgód?* – nie może uwierzyć Romuald.

Po spotkaniu w liceum zdarza się malutki cud. Jedna z uczennic zostaje na sali i mówi: Mieszkam z rodzicami i siostrą na Kolonii Robotniczej, w pana dawnym domu.

Wiersze

Kiedy Romek od lustra krzyknął, że jest podobny do tatusia, w domu zrobiło się całkiem cicho. Krzyknął więc jeszcze głośniej, nie wiadomo, skąd mu przyszły takie słowa: Bo jak jestem Żydem, to sobie coś zrobię! Wtedy nie było dla niego nic gorszego niż Żyd. Na mszach w pasłęckim Kościele św. Bartłomieja słyszało się o Żydach złe rzeczy. Bogobójcy! Zabili Jezusa i przywalili Jego grób ciężkim kamieniem. W Wielkanoc *pro perfidis Judaeis* (za wiarołomnych Żydów) modliło się całe miasto. A Romek Waszkinel lubił być z rodzicami w kościele. Czuć na głowie głaszczącą rękę księdza, gdy wrzucał monetę na tacę. Bawił się w domu zapałkami: zapałka lądowała w pudełku, chłopiec sam głaskał się po głowie i mówił: „Bóg zapłać". I tak przy każdej zapałce, aż pudełko się zapełniło. Romek nigdy nie podniósłby ręki na Pana Jezusa – z tej logiki musiało wynikać, że Żydem nie jest. Załamał się, wylądował w szpitalu, dnie i noce czuwali nad nim rodzice.

Później przyszło wytchnienie. W liceum Bohaterów Grunwaldu Romek został artystą. Recytował poezję, występował w szkolnych przedstawieniach. Wyrósł, wyprzystojniał. Jego obecność stała się koniecznym warunkiem każdej potańcówki – przybywał wraz z akordeonem. Rodzice sprzedali jedyną krowę, żeby mu kupić instrument. Później będzie opowiadał historię akordeonu jako dowód na miłość rodziców do niego. Nigdy nie przestanie mówić, że Waszkinelowie byli najmądrzejszymi ludźmi, jakich spotkał. Piotr po trzech klasach podstawówki, Emilia w ogóle bez szkół.

Tylko dlaczego ten czarnowłosy chłopak płakał, wpatrując się w lustro, kiedy recytował fragment o koncercie Jankiela z „Pana Tadeusza" („Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał")? Czemu głos mu się załamywał podczas wiersza Norwida „Żydowie polscy"? Dlaczego miał gulę w gardle, kiedy samotna i niczyja ruda Ryfka biegała po małym miasteczku polskim w „Balladach i romansach" Broniewskiego? Romuald Waszkinel chciał zostać aktorem, powiedział o tym rodzicom.

Domy

Kolonia Robotnicza, poniemieckie osiedle jednakowych domów, przypomina dzisiaj willegiaturę. Niektóre domy przebudowane na bogato, nieskazitelnie białe, w aktualnie modnych stylach. Trawa koszona pod linijkę. Elegancja i obcość.

Z dawnego domu Waszkinelów dobiegają muzyka i szczekanie psa. Romuald Jakub nie chce nikomu przeszkadzać, woli odejść; chyba nie jest gotowy na tak daleką podróż w czasie. Drzwi otwiera nastolatka, młodsza siostra dziewczyny z liceum, która została po spotkaniu powiedzieć, że mieszka w dawnym domu Waszkinelów. Aha, aha, mówi teraz młodsza, ale siostry nie ma. Słowa nikną w szczekaniu psa.

Weksler-Waszkinel stoi przy furtce domu obok. Ten dom zachował jeszcze dawną bryłę, taką sprzed 80 lat. Kwitną jesienne kwiaty, od ogrodu idzie starszy mężczyzna z pytaniem w oczach. – *Ziutek, to jesteś ty?* – pyta człowiek z Jerozolimy. – *Romeczku, jak Boga kocham* – twarz Ziutka rozjaśnia się. – *Właź do środka, Łucka jest w kuchni, robi powidła śliwkowe.*

eprasa.pl 50b67a7159

Ksiądz

Bycie aktorem rodzice odradzali. Ojciec mówił, że artysta ma, owszem, wiele kobiet, ale nie ma dzieci. Jest samotny pośród ludzi, a samotność dla człowieka zła. Wtedy nie szło Romkowi najlepiej w szkole, ojciec żartował, że zawód już jego syn ma: umiał doskonale paść krowy. Przyszłość była jak kolejne niedomówienie.

Wszystko stało się w sekundę. Maturzysta Romuald Waszkinel szedł przez Pasłęk z księdzem Surmą, katechetą. Surma zagadywał o plany, a Romek usłyszał swój głos, który powiedział z wielką pewnością: Pójdę na księdza. W tym samym momencie cała pewność odpłynęła, powrócił strach. Na księdza? Skąd taki pomysł? Nie dało się już tego cofnąć, ojciec mawiał, że słów nie rzuca się na wiatr.

Przy kolacji Romek ogłosił rodzicom: Będzie księdzem. Byli bardzo wierzący, myślał, że się ucieszą. Zaniemówili. Piotr przekonywał: Księdzem nie, już lepiej zostań sobie artystą. Kiedy syn dostał się do seminarium duchownego w Olsztynie, ojciec przyjechał w odwiedziny. Chciał o czymś porozmawiać, ale nie potrafił. Było milkliwie. A później klęknął w seminaryjnej kaplicy, modlił się i płakał. Wyjeżdżając do domu, powiedział: Będziesz miał ciężkie życie. Więcej słów od ojca syn nie usłyszał. Piotr Waszkinel zmarł kilka dni później w Pasłęku.

Romuald Waszkinel uznał, że przyczynił się do śmierci ojca. Nie wiedział tylko w jaki sposób. Postanowił: poświęci swoje życie za życie ojca. Będzie najlepszym księdzem, będzie służył ludziom. W 1966 r., w dniu swojej mszy prymicyjnej w pasłęckim Kościele św. Bartłomieja, dostał od tutejszych parafian w prezencie koronę cierniową.

Śliwki

Łucka, trzy lata starsza od Romka, ma piękny uśmiech, jaki zawsze miała. Natychmiast odrywa się od powideł ze śliwek, zaczyna gościnną krzątaninę herbaciano-ciastową. Romeczku kochany, jak to dobrze, że przyjechałeś. Ziutek, brat Łucki, też szczęśliwy, pełna serdeczności rozmowa od razu wpada we wspomnienia. – *Romuś, a pamiętasz, jak mnie woziłeś wiśniową wuefemką?* – zagaduje. – *Była wiśniowa?* – dziwi się Romek. – *Nie wiedziałem, jestem daltonistą.*

O sąsiadach: Kolonia Robotnicza już dawno inna. Ze starych ludzi zostało kilkoro, jak palców jednej ręki. Nasz wąwóz za domami, gdzie chodziliśmy na spacery, zarośnięty i zasypany. Ten się żenił dwa razy, ten przeprowadził, tu dom na sprzedaż. – *A tu mieszkał ten, co za mną wołał „żydowski bajstruk”* – wtrąca Weksler-Waszkinel. – *To gdzie ty teraz żyjesz, Romeczku?* – chce wiedzieć Ziutek. – *W Jerozolimie. W domu starców.*

Prawda

Emilia Waszkinel opowiedziała tę historię synowi na początku 1978 r. przy kuchennym stole. On miał wtedy 35 lat, od 12 był księdzem. Mieszkali w Lublinie – syn, córka i matka. Romuald Waszkinel wykładał w katedrze metafizyki KUL. Gdy przeprowadzali się z Pasłęka, matka nalegała na zabranie starego, przepalonego samowara i ręcznej wagi – syn dziwił się, po co im na nowym mieszkaniu taki złom.

Wcześniej przez wiele lat Romek próbował rozmawiać z matką o swoim dzieciństwie. Nie, o wojnie rozmawiać nie będziemy, odpowiadała niezmiennie. Teraz się otworzyła: Miałeś wspaniałych rodziców, bardzo cię kochali.

Jakub Weksler był ostatnim krawcem w miasteczku Święciany. Część żydowskich mieszkańców z getta Niemcy i Litwini rozstrzelali już w 1941 r. Wekslera oszczędzono jako „pożytecznego Żyda” (*nutzlische Jude),* właśnie dlatego, że umiał szyć. Mieszkali z żoną Batią i trzyletnim synkiem Samuelem w getcie, czekali na śmierć albo na cud. Na początku 1943 r. los albo siła wyższa sprowadziła do warsztatu Wekslera młodą Emilię Waszkinel. Chciała przerobić ubranie. Weksler przyglądał jej się, aż za którymś razem spytał, czy nie uratowałaby ich synka, który właśnie się urodził. Nie miał jeszcze imienia. Emilia przelękła się: przecież ludzie widzieli, że nie była w ciąży.

Kolejnym razem w warsztacie Wekslera Emilia rozmawiała z Batią, mamą noworodka. Batia powiedziała: „Pani jest chrześcijanką, pani wierzy w Jezusa, więc niech pani w imię tego Żyda, w którego pani wierzy, uratuje moje niemowlę. Gdy dorośnie, zostanie księdzem”. Emilia Waszkinel przyznała, że odmowa oznaczałaby wyparcie się własnej wiary.

W umówionym dniu zawinięty w becik chłopiec leżał na werandzie domu Waszkinelów. Obok niego stał samowar i leżała ręczna waga. W becik zawinięte było kilka ubranek uszytych przez ojca. Kilka dni później święciańskie getto stało już puste. Ktoś potem opowiadał, że widział Batię stojącą w oknie domu z widokiem na „aryjską” stronę. Ręką obejmowała trzyletniego Samuela, w drugiej ściskała kilka banknotów i pokazywała je ludziom. Nikt nie uratował Samuela.

Emilia Waszkinel nie znała prawdziwego nazwiska Romualda. Nie chciała znać. Tak było bezpieczniej, mówiła synowi w 1978 r.

Zdarzenia

Wszystko, co zdarzyło się przez 83 lata życia Romualda Jakuba Wekslera-Waszkinela, można by nazwać przypadkiem, szczęściem, dobrym układem gwiazd albo metafizyką bergsonowską (intuicja przed rozumem; czas jako bezustanny wewnętrzny przepływ świadomości i życia).

On sam mówi na spotkaniu w pasłęckim Kinie Zamkowym: Ktoś tam w górze być może czuwa nad człowiekiem. Mówi tak zawsze, kiedy rozmowa schodzi na małe, codzienne cuda: – *Bóg Izraela, ja w Niego wierzę.*

Swoje nazwisko urodzenia i rodzinę ze strony ojca odnalazł w Izraelu w 1992 r. Rodzinę ze strony matki odkrył tamże w 2011 r. Od 2009 r. mieszka w Izraelu. Nigdy nie krył przed ludźmi stamtąd, że jest katolickim księdzem. Mawiał o sobie „Żyd od Jezusa”. Mieszkając w religijnym kibucu Sde Eliyahu, potajemnie odprawiał katolickie msze dla siebie samego.

Nikt z przełożonych duchownych z Polski nie odezwał się do niego z okazji półwiecza kapłaństwa. Ostatnią prywatną mszę ksiądz Weksler-Waszkinel odprawił w 2016 r., na 50 lat kapłaństwa. Przynajmniej próbował. Zaciął się na słowach „Pan z wami”. Bo niby z jakimi wami? Wypił wino, zjadł macę i to był koniec jego księżowania.

Miał 76 lat na swojej bar micwie, ale gdy dodać do siebie obie cyfry, wychodzi 13.

Jedno z pytań z pełnej ludzi sali Kina Zamkowego w Pasłęku: – *Czy jest pan szczęśliwy?*

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

W 2025 r. nakładem wydawnictwa Znak ukazała się autobiografia Romualda Jakuba Wekslera-Waszkinela **„Liść i drzewo. Powrót do wiary przodków”.**

eprasa.pl 50b67a7159



Lex smród

Czy mieszkańcy wsi, niemal połowa polskiego społeczeństwa, będą skazani na uciążliwy odór? W Sejmie jest projekt, który teoretycznie ma chronić rolników, a w praktyce jest korzystny dla wielkoprzemysłowych ferm.

AGNIESZKA SOWA

Kiedy dwa lata temu zapadł pierwszy – i jak do tej pory ostatni – wyrok na rolnika Szymona Klukę za uciążliwość zapachową z chlewni (POLITYKA 42/24), minister rolnictwa i rozwoju wsi Stefan Krajewski z PSL, wówczas w randze wiceministra, obiecał ustawę chroniącą produkcję rolną na wzór legislacji np. francuskiej. Precyzuje ona, że charakterystycznych dla wsi uciążliwości dźwiękowych czy zapachowych nie można uważać za zakłócanie sąsiedztwa. I słowa dotrzymał. Co prawda były minister rolnictwa i rozwoju wsi z PiS Robert Telus i były wiceminister tego resortu Krzysztof Ciecióra, także z PiS, zarzucili mu opieszałość, przypominając, że obiecywał gotową ustawę do końca 2024 r., a po dwóch latach „doczołgał się z projektem nawet nieskonsultowanym wewnątrz koalicji".

Przygotowany przez resort rolnictwa projekt nowelizacji ustaw w celu ochrony rolniczych funkcji produkcyjnych wsi, powszechnie znany pod nazwą lex smród, idzie znacznie dalej niż francuska legislacja. Ma chronić producentów rolnych przed pozwami o immisje, takie jak hałas, pył i nieprzyjemne zapachy. Bardzo podobny projekt złożył prezydent. Obie propozycje legislacyjne są procedowane jednocześnie. Organizacje ekologiczne są zdania, że obie naruszają konstytucję i prawa człowieka, odbierając obecnym i przyszłym mieszkańcom wsi możliwość ochrony prawnej. 59 organizacji pozarządowych podpisało list protestacyjny do marszałków i posłów, apelując o odrzucenie projektów.

Wolność Tomku

Projekt Ministerstwa Rolnictwa wprowadza domniemanie legalności działań rolniczych. I proponuje prostą nowelizację art. 144 Kodeksu cywilnego, który zakazuje immisji „ponad przeciętną miarę" – dodanie art. 144[1], w myśl którego działalność rolnicza prowadzona zgodnie z prawem i „zasadami prawidłowej gospodarki rolnej" z definicji nie przekraczałaby tej przeciętnej miary. Gdyby ktoś uważał, że jest inaczej, musiałby to udowodnić przed sądem. – *Na osobie poszkodowanej miałyby spoczywać obowiązki udowodnienia tego, że została poszkodowana* – mówi posłanka Małgorzata Tracz z Koalicji Obywatelskiej.

Do tego ministerstwo proponuje zwolnienie rolników z odpowiedzialności za zakłócanie spokoju i ciszy nocnej przy pracach polowych, dekretując, że jeśli wynika ono z działalności rolniczej, nie stanowi w ogóle wykroczenia. I wreszcie kupując dom lub działkę na terenie pozamiejskim, trzeba będzie podpisać notarialne oświadczenie, że jest się świadomym i akceptuje się potencjalny smród, hałas oraz inne niedogodności związane

eprasa.pl 50b67a7159



© WOJCIECH LELIŃSKI/SHUTTERSTOCK AI

z sąsiedztwem rolnictwa. Czyli nawet takie, które mogą wystąpić w przyszłości.

– *Projektowane zmiany mogą wywoływać uzasadnione wątpliwości konstytucyjne* – mówi posłanka Tracz. – *Szczególnie propozycja wprowadzenia domniemania, że zakłócenia wynikające z działalności rolniczej z góry mieszczą się w granicach „przeciętnej miary". A mówimy tutaj o przepisach, które będą dotyczyć 15 mln osób oraz w znaczący sposób zdefiniują przyszłość polskiej wsi. Dlatego złożyłam wniosek o wysłuchanie publiczne, żeby mogli się wypowiedzieć wszyscy zainteresowani. Lokalni rolnicy i rolniczki, a nie tylko potężne agroholdingi, które niszczą nasze rolnictwo i jakość życia. Niestety wniosek nie przeszedł.*

Chociaż projekt, który wyszedł z Ministerstwa Rolnictwa, uzyskał akceptację Rady Ministrów i jest projektem rządowym, koalicyjne partie: Platforma Obywatelska, Nowa Lewica i Polska 2050, mają spore zastrzeżenia do proponowanych rozwiązań legislacyjnych.

Grzechem głównym projektu jest według krytykujących brak rozróżnienia pomiędzy tradycyjnym rodzinnym gospodarstwem rolnym a masowymi fermami przemysłowymi. Choć przecież nie podlega dyskusji, że za immisje, smród, zanieczyszczenia, degradację środowiska odpowiadają przede wszystkim wielkotowarowe fermy drobiu, trzody chlewnej czy bydła, ogromne kombinaty należące do kilku potężnych grup kapitałowych, polskich firm rodzinnych lub międzynarodowych korporacji. Przemysł rolniczy (bo trudno to już nazywać rolnictwem), to także wielkoobszarowe monokultury, na których prowadzona jest ochrona roślin z użyciem chemicznych pestycydów trujących nie tylko chwasty. W najbardziej głośnej sprawie, z woj. opolskiego, stosowanie pestycydów chemicznych doprowadziło do śmierci wielu milionów pszczół w pasiekach.

Backclash, czyli odwet

Mamy już dziś w Polsce prawie 3 tys. ferm przemysłowych, których wpływ na społeczności lokalne rzecznik praw obywatelskich określił jako „bardzo poważny i narastający problem społeczny". I rzeczywiście, w ostatnich 15 latach było ponad 2 tys. protestów przeciw fermom w całej Polsce. Niektóre trwają do dziś. – *Udało się zablokować fermę w Kruszynianach, kilka innych miejscowości częściowo się obroniło przed dostawianiem nowych kurników, np. Wisznice na Lubelszczyźnie* – mówi Justyna Zwolińska z Koalicji Żywa Ziemia. – *Ale liczba takich sukcesów w porównaniu z ilością powstających ferm jest znikoma, żeby nie powiedzieć żadna.*

Jednak w kilku gminach się udało. A potem była sprawa Szymona Kluki – po 11 latach procesów sąd uznał, że rolnik musi zapłacić odszkodowanie sąsiadom, którzy ucierpieli na skutek immisji z jego gospodarstwa. I wreszcie udało się uchwalić zakaz hodowli zwierząt na futra. Tego dla potężnego lobby produkcji zwierzęcej już było za dużo.

– *Mamy do czynienia z klasycznym backclashem, w odpowiedzi na inicjatywy podejmowane przez społeczeństwo obywatelskie, dotyczące nie tylko samych ferm, ale także ochrony zwierząt i poprawy ich dobrostanu* – mówi Justyna Zwolińska z Koalicji Żywa Ziemia. – *Pośpiech i presja, by wprowadzić te rozwiązania, wynikają z narastającego sprzeciwu społecznego wobec lokalizowania ferm w Polsce i obaw, że wyrok w sprawie Szymona Kluki otworzy drogę do masowych roszczeń odszkodowawczych z tytułu sąsiadowania z fermami. I oczywiście wpływ mają nadchodzące wybory.*

Poseł Jarosław Rzepa z PSL przyznaje, że jest to odpowiedź na to, jak niektórzy napływowi mieszkańcy zachowują się w stosunku do rolników. – *Rolnik ma gospodarstwo, po sąsiedzku buduje mu się nowy mieszkaniec i nagle zaczyna go zwalczać, bo mu śmierdzi, bo hałas* – mówi. – *Wzywa policję, bo po 22 kombajn pracuje. Tak nie może być. Wieś jest od tego, żeby produkować żywność, i dlatego ten projekt powstał. Nie chcemy nikomu zabraniać osiedlania się na wsi, ale nie można ze wsi robić miasta.*

Celem lex smród według Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi ma być zabezpieczenie realizacji funkcji produkcyjnych wsi oraz ograniczenie konfliktów społecznych na tym tle. W uzasadnieniu do projektu autorzy twierdzą, że konflikty narastają, ponieważ zabudowa mieszkaniowa coraz częściej powstaje w pobliżu gospodarstw prowadzących produkcję rolną. Nie podają jednak żadnych danych o skali problemu. Nie wiadomo, ile było pozwów o immisje rolnicze, ile zapadło wyroków sądowych niekorzystnych dla rolników (choć wszyscy wiedzą, że Kluka był pierwszy i jak na razie ostatni) ani ilu rolników ukarano mandatami, np. za hałas po godz. 22. Sugerują natomiast, że skutkiem napięć i konfliktów społecznych może być malejąca w ostatnich latach liczba gospodarstw, w tym prowadzących produkcję zwierzęcą: „Rolnicy obawiają się ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ zarówno roszczeń ze strony sąsiadów, jak i możliwości blokowania inwestycji koniecznych do dalszego rozwoju, modernizacji gospodarstw".

– *Twierdzenie, że główną przyczyną zmniejszenia się liczby małych gospodarstw prowadzących produkcję zwierzęcą są skargi nowych mieszkańców wsi, to absurd* – mówi Justyna Zwolińska. – *Podstawowym powodem jest niemożność konkurowania z dużymi podmiotami, wieloletnie lekceważące podejście polityków do małych gospodarstw, uznawanie ich za takie, które powinny zniknąć jako nierentowne, bez żadnego pomysłu na ich rozwój w ramach lokalnej produkcji żywności.*

„Ludzie, którzy żyją na wsi od kilkudziesięciu lat lub od pokoleń, nie protestują dlatego, że nie rozumieją wsi i »wszystko im śmierdzi«, lecz dlatego, że skala i intensywność uciążliwości są dziś nieporównywalne z tym, co było kiedyś" – pisze europosłanka Sylwia Spurek na jednym z portali.

O wyższości obornika nad gnojowicą

Dobrze to widać na przykładzie sprawy Szymona Kluki ukaranego przez sąd za to, że prowadząc chlewnie na 360 sztuk trzody na wąziutkiej, szerokiej na dwadzieścia kilka metrów działce w środku wsi, uczynił z życia sąsiadów piekło.

– *Przecież tu, u nas, świnki były od zawsze, dziadek miał, potem ojciec, po którym odziedziczyłem gospodarstwo ze 120 sztukami trzody chlewnej* – mówił nam dwa lata temu Kluka. Przyznawał, że chciał rozwijać produkcję i postawić nową tuczarnię, na 360 świń. W Grodzisku plan zagospodarowania przestrzennego przewiduje możliwość budowy zagrodowych budynków do 50 DJP (Dużych Jednostek Przeliczeniowych). To współczynnik przeliczeniowy, który pozwala porównać małego kurczaka ze świnią, krową czy koniem. 360 świń Kluki to 37,8 DJP.

Pani Ewa, sąsiadka Kluki, uważa, że nawet ta ilość nie jest najważniejsza, chociaż wiadomo, że trzy razy więcej świń to trzy razy mocniejszy odór. Według niej kluczowy jest sposób chowu.

– *Wcześniej miał je w chlewiku, na słomie, tak jak jego ojciec* – mówi. – *I nikomu to nie przeszkadzało. Zresztą ja sama miałam świnki. Z tej słomy wymieszanej z odchodami powstaje obornik. Obornik też ma swój zapach, ale nie jest tak ostry i gryzący w oczy jak smród gnojowicy. Gnojowica to same odchody. W oborniku słoma, ściółka sprawiają, że zapach jest inny. To zapach wsi, jaki pamiętamy z dzieciństwa.*

A od smrodu gnojowicy pani Ewa ma odruch wymiotny. Czytała, że amoniak poraża zakończenia nerwowe. – *Ta nowa technologia jest bardziej szkodliwa dla środowiska i ludzi niż ekologiczny chów na słomie* – mówi. – *Obornik nikomu nie przeszkadzał, dwa razy do roku rozrzucało się go na pola, przeorało.*

Tuczniki, które produkuje Szymon Kluka, trzymane są na tzw. ruszcie. Przez ażurową konstrukcję odchody swobodnie spływają do betonowych kanałów, które znajdują się bezpośrednio pod rusztem. Zapach odchodów czuć w tuczarni, a gdy gnojowicy jest sporo, prawdopodobnie śmierdzi też na zewnątrz budynku. Kanały należy opróżniać nierzadziej niż co cztery–pięć tygodni. W każdym jest korek – po jego wyciągnięciu gnojowica spływa systemem rur kanalizacyjnych zamontowanych pod betonową podłogą aż do zbiornika na zewnątrz budynku. Gdy jest pełen, rolnik wywozi zbiornik i wylewa gnojowicę na swoje pola. Najpóźniej następnego dnia musi ją przeorać. Wtedy smród jest okropny, nawet jeżeli wylewa od takiej strony, żeby nie wiało w stronę zabudowań.

Gnojowica i obornik to nawozy organiczne, które poprawiają strukturę gleby i jej właściwości. Wywożenie ich na pole jest legalne, a nawet pożądane. Z drugiej jednak strony ich stosowanie powoduje emisję szkodliwych gazów do atmosfery: metanu, który wpływa na efekt cieplarniany 25 razy bardziej niż dwutlenek węgla, i amoniaku, który truje ludzi, zwierzęta, zakwasza glebę i wody gruntowe.

Posługując się przykładem Szymona Kluki, zwolennicy regulacji twierdzą, że ustawa ma bronić polskich rolników. – *To jest prawo pisane pod dyktando wielkich korporacji przemysłu rolniczego, które ma ubezwłasnowolnić ludzi mieszkających na wsi* – mówi Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot. – *Nie ma to nic wspólnego z dobrem rolnika, nie leży w interesie polskiej wsi.*

A rolnicy indywidualni, tacy jak Kluka, często są jedynie ogniwem w pionowej strukturze agroholdingu. Otrzymują od koncernu pisklęta lub warchlaki, paszę oraz opiekę weterynaryjną, a ich zadaniem jest jedynie tucz zwierząt na ściśle określonych warunkach.

Radosław Ślusarczyk przypomina, że od ponad dwóch dekad polskie społeczeństwo czeka na tzw. ustawę odorową, która określiłaby dopuszczalne normy stężeń substancji zapachowych oraz sztywne minimalne odległości nowych inwestycji inwentarskich od domów mieszkalnych, na wzór rozwiązań obowiązujących m.in. w Holandii, Niemczech czy we Włoszech: – *Zamiast uchwalić wreszcie cywilizowane normy odległościowe i odorowe, które chroniłyby ludzi przed nieznośnym sąsiedztwem ferm przemysłowych, rząd wybiera drogę na skróty. Chce wprowadzić przepisy blokujące obywatelom drogę sądową, stawiając zysk agrokoncernów ponad zdrowiem mieszkańców i prawem własności.*

Zakładnicy PSL

Rząd wydaje się tu zakładnikiem koalicyjnego PSL, przygniecionego katastrofalnymi sondażami. Wątpliwe, żeby uchwalenie lex smród zapewniło tej partii poparcie rolników. Ale poparcie branży mięsnej już tak. PSL nie jest jedyny. Ustawowe ograniczenie praw społecznościom żyjącym na terenach wiejskich, pozbawienie ich możliwości korzystania z przepisów Kodeksu cywilnego i Kodeksu wykroczeń, gdy zakłócenia z działalności rolniczej odbierają im możliwość korzystania z nieruchomości, popiera niemal każda strona sceny politycznej w Polsce. Dziś w Sejmie są dwa projekty: rządowy, pisany pod dyktando PSL i prezydencki. Podobne propozycje składały wcześniej Konfederacja i PiS. Teraz popierają lex smród.

Ludowcy szukają też poparcia rolników indywidualnych. W Sejmie jest poselski (PSL-Trzecia Droga) projekt nowelizacji tzw. ustawy przestrzennej. Strefy z zabudową zagrodową powstawałyby na obszarach wiejskich bez ograniczeń powierzchniowych. Według Aleksandra Dargiewicza, prezesa Krajowego Związku Pracodawców – Producentów Trzody Chlewnej POLPIG, oczekiwane społeczne skutki projektu „będą pełne tylko wtedy, gdy rozwiązania obejmą niewyłącznie zabudowę zagrodową rolników indywidualnych, lecz także inwestycje służące prowadzeniu działalności rolniczej przez inne podmioty, w tym uznane organizacje producentów rolnych i ich zrzeszenia". Słuszne zatem wydają się obawy, że nowe prawo pozwoli na budowanie przemysłowych hodowli zwierząt w obszarach zabudowy mieszkalnej na wsi. Smród stanie się nie do zniesienia. Tylko dokąd się przeprowadzać?

AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 50b67a7159

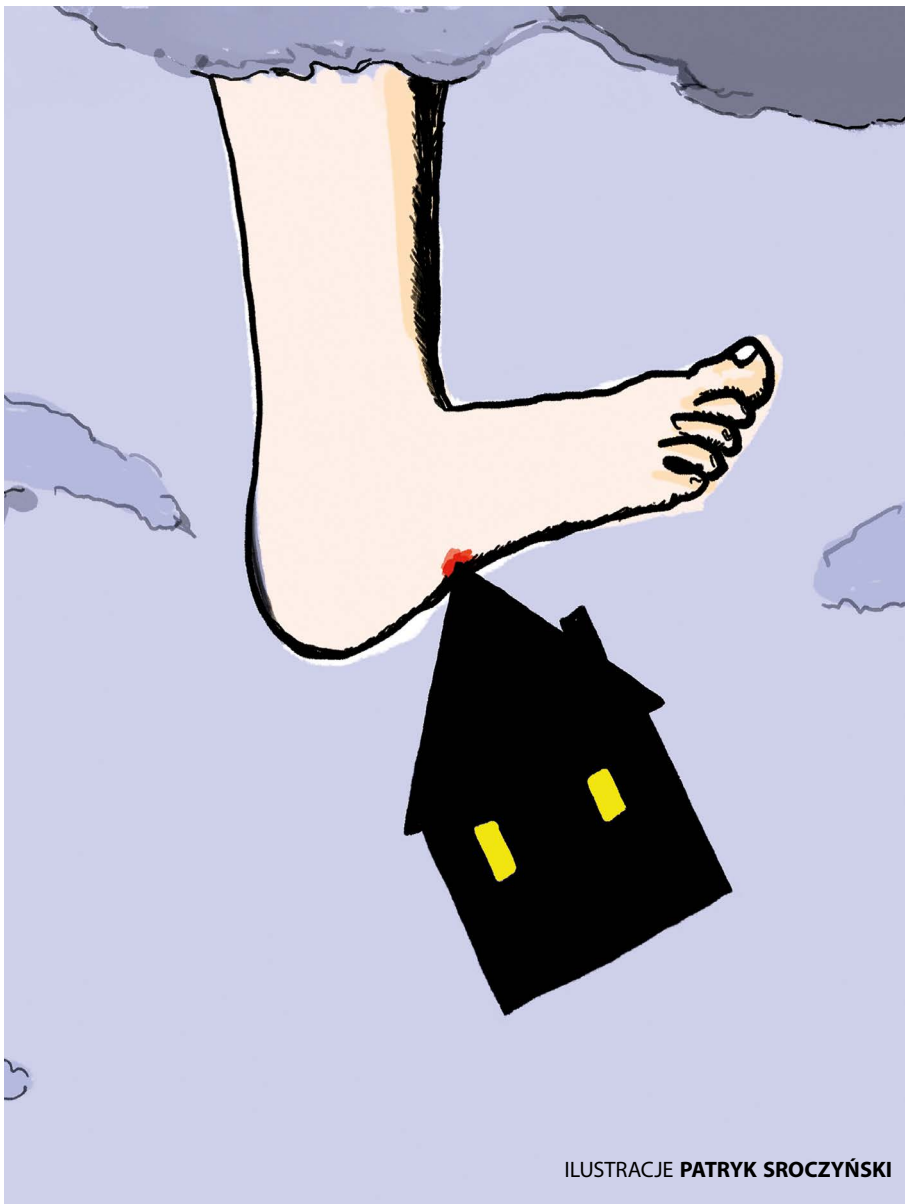

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Zespół niespokojnych stóp

CEZARY KOWANDA

Ważne dla wszystkich spłacających kredyty. Znika WIBOR, wskaźnik wyznaczający oprocentowanie pożyczek, nadchodzi POLSTR. Polacy wciąż płacą niemal najwyższe odsetki w Unii Europejskiej. Będzie taniej?

Kto szuka pieniędzy na zakup mieszkania czy budowę domu, ten w coraz większej liczbie banków już może natknąć się na nowy skrót: POLSTR. To Polish Short Term Rate, czyli w dosłownym tłumaczeniu polska stopa krótkoterminowa. Kolejne instytucje finansowe wycofują ze swojej oferty kredyty hipoteczne oparte na znanym wskaźniku WIBOR (skrót od Warsaw Interbank Offered Rate), od początku przyszłego roku w polskich bankach mają być dostępne już tylko kredyty z POLSTR. To finał reformy, którą zarządził jeszcze Mateusz Morawiecki. W 2022 r., gdy gwałtownie rosły stopy procentowe na fali kryzysu energetycznego (po inwazji Rosji na Ukrainę), a kredytobiorcy musieli płacić coraz wyższe raty, ówczesny premier, szykujący się do kampanii wyborczej, obiecał zmiany. Stwierdził, że potrzebujemy nowego wskaźnika, który zastąpi kojarzony z drożyzną WIBOR i będzie od niego niższy, a dzięki temu raty spadną.

Jak wiele innych obietnic Morawieckiego (wówczas PiS, teraz Rozwój Plus), i ta nie została zrealizowana. W 2023 r. WIBOR nie zniknął, a kredyty w cudowny sposób nie staniały. Poza tymi, do których zaczęło dopłacać państwo z pieniędzy podatników (tzw. Bezpieczny Kredyt 2 proc. skutkujący gwałtownymi podwyżkami cen mieszkań). Powstała jednak specjalna grupa robocza, zrzeszająca różne instytucje, która miała wybrać nowy wskaźnik. – *Nie chodzi tylko o Polskę. Na całym świecie trwa reforma tzw. wskaźników referencyjnych. My kierujemy się m.in. doświadczeniami szwajcarskimi, gdzie wskaźnik LIBOR został zastąpiony przez SARON. Chodzi o to, żeby wybierać wskaźniki, które są oparte na bieżących transakcjach, a nie na deklaracjach instytucji finansowych dotyczących przyszłości* – podkreśla Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich, przewodniczący Komitetu Sterującego Narodowej Grupy Roboczej ds. reformy wskaźników referencyjnych.

WIBOR od kilku lat wzbudza duże emocje. Wyliczany jest na podstawie deklaracji banków – informują one administratora wskaźnika (to firma GPW Benchmark, należąca do warszawskiej giełdy), na jaki procent są gotowe pożyczać sobie pieniądze. Wskaźniki najczęściej wykorzystywane w umowach kredytów hipotecznych to WIBOR 3M (czyli pożyczki między bankami zawierane ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ na trzy miesiące) i WIBOR 6M (na sześć miesięcy). Kłopot w tym, że do transakcji między bankami często nie dochodzi albo jest ich niewiele. WIBOR opiera się zatem w dużej mierze na deklaracjach. Mimo to wszystkie ważne urzędy – zarówno Ministerstwo Finansów, jak i Komisja Nadzoru Finansowego czy Narodowy Bank Polski – zawsze podkreślały, że nie było i nie ma żadnych dowodów na manipulowanie wskaźnikiem WIBOR.

Po fali sukcesów klientów w unieważnianiu kredytów frankowych do polskich sądów zaczęły jednak napływać pozwy także od osób spłacających kredyty w złotych oparte na WIBOR. Liczyli, że powtórzy się scenariusz frankowy. Jednak w lutym tego roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) uznał, że nie można podważać samej konstrukcji WIBOR czy sposobu jego wyliczania. Dotąd do sądów trafiło niespełna 4 tys. pozwów o unieważnieniu kredytów z WIBOR albo usunięcie z umów tego wskaźnika.

Wyroków jest na razie niewiele (niespełna 600 nieprawomocnych i prawie 300 prawomocnych), zdecydowana większość korzystna dla banków. – *TSUE stawia na pierwszym miejscu przejrzystość umów oraz wywiązywanie się przez bank z obowiązków informacyjnych wobec klientów. Sąd przyjął, że banki nie są obciążone obowiązkami informacyjnymi dotyczącymi samej metodologii ustalania WIBOR. Dopuszczalne jest odesłanie klienta do publikowanych informacji. Kluczowa będzie ocena, czy kredytobiorca otrzymał jasną i pełną informację dotyczącą zmiennej stopy oprocentowania opartej na WIBOR. Są to kwestie bardzo indywidualne, dlatego można się spodziewać, że sądy będą badać każdą ze spraw* – wyjaśnia dr Michał Ziemiak, rzecznik finansowy. Oznacza to, że szanse na usunięcie WIBOR z umowy kredytowej wciąż istnieją (wówczas oprocentowanie byłoby równe samej marży, czyli znacznie niższe), ale trzeba przed sądem udowodnić, że bank wprowadził klienta w błąd albo nie przekazał mu choćby podstawowych informacji o ryzyku zmiany wskaźnika.

Chociaż od początku przyszłego roku WIBOR znika z nowych umów, pozostanie w starych. Szacuje się, że obecnie kredyty oparte na tym wskaźniku spłaca ok. 1,5 mln Polek i Polaków. Jeszcze przez 10 lat, do końca 2036 r., WIBOR będzie wciąż wyliczany. Do tego czasu



prawdopodobnie zdecydowana większość takich kredytów zniknie. Bo chociaż wiele kredytów hipotecznych zaciągamy na 25 czy 30 lat, to średni okres spłaty takich pożyczek wynosi zaledwie dziewięć lat. Kto może, ten chce jak najszybciej pozbyć się tego ciężaru, a przy okazji zaoszczędzić, bo im szybsza spłata, tym mniejszy łączny koszt odsetek.

Być może banki od 2027 r. będą proponować klientom aneksy do umów, zmieniające WIBOR na POLSTR. – *Taka operacja ma się dobrze kojarzyć, więc banki mogą być gotowe do negocjacji z klientami i niewielkiej obniżki oprocentowania. Instytucje finansowe spróbują w ten sposób szybciej pozbyć się z umów wskaźnika WIBOR i ograniczyć swoje ryzyko. Bo chociaż dziś sądy w większości stają po stronie banków, nie można przecież wykluczyć, że w przyszłości pojawi się linia orzecznicza korzystna dla klientów, którzy chcą unieważnienia umów czy usunięcia z nich WIBOR* – ocenia Jarosław Sadowski, dyrektor departamentu analiz w serwisie rankomat.pl.

A co POLSTR oznacza dla nowych klientów banków? Warto pamiętać, że znaczna część kredytów hipotecznych (obecnie ok. 70 proc.) udzielana jest na podstawie stałej stopy przez pięć lat. Wahania WIBOR czy POLSTR nie mają zatem znaczenia przez ten okres po zaciągnięciu pożyczki. Dopiero po upływie pięciu lat kredyt przechodzi na zmienne oprocentowanie, jeśli bank i klient nie porozumieją się w sprawie nowej stałej stopy. Można jednak wciąż zaciągać kredyty o zmiennej stopie od samego początku (zmiana WIBOR na POLSTR nie wpłynie na dostępność takich ofert). To większe ryzyko, ale też potencjalne oszczędności. Obecnie kredyty o zmiennej stopie są tańsze od tych ze stałą stopą. Oprocentowanie pierwszych sięga średnio 5,7 proc., a drugich – 6,4 proc. W przypadku wyboru zmiennego oprocentowania kredyt od początku będzie oparty na wskaźniku POLSTR 1M. Oznacza to, że wysokość raty będzie się zmieniać nie co trzy miesiące (jak przy WIBOR 3M) lub sześć miesięcy (WIBOR 6M), lecz co miesiąc. To na pewno gorsze rozwiązanie z punktu widzenia planowania domowego budżetu.

POLSTR jest wyliczany codziennie na podstawie rzeczywistego oprocentowania depozytów zakładanych na jedną noc. Chodzi o transakcje między bankami a różnymi instytucjami finansowymi. Natomiast POLSTR 1M to tzw. wskaźnik składany – jest on średnią dla wyników POLSTR z ostatniego miesiąca. Co to oznacza w praktyce? Obecnie POLSTR 1M wynosi ok. 3,5–3,6 proc., podczas gdy WIBOR 3M jest na poziomie 3,85 proc., a WIBOR 6M dochodzi do 3,9 proc. Dlaczego POLSTR jest niższy od WIBOR? Bo nie bierze pod uwagę tego, co może być, lecz to, co jest. Często mówi się, że POLSTR patrzy w przeszłość (jest oparty na rzeczywistych transakcjach z ostatnich dni), natomiast WIBOR przewiduje przyszłość.

A ta nie jest zbyt optymistyczna. Obecnie instytucje finansowe zakładają, że wkrótce w Polsce zaczną rosnąć stopy procentowe. Niektórzy analitycy sądzą, że stanie się to w listopadzie lub grudniu z powodu znacznego wzrostu inflacji napędzanej drogą ropą i gazem. We wrześniu doszła ona do 4 proc. i okazała się wyższa niż stopa referencyjna NBP (obecnie 3,75 proc.). Rada Polityki Pieniężnej musi ocenić, czy rządowy pakiet CPN wystarczy, aby uchronić polską gospodarkę przed fatalnymi skutkami bliskowschodniej polityki Donalda Trumpa.

Czy zamiana WIBOR na POLSTR to dobra wiadomość dla kredytobiorców?

Oprocentowanie każdego kredytu składa się z dwóch elementów: wskaźnika referencyjnego (jak WIBOR 3M czy POLSTR 1M) oraz marży ustalanej przez bank (wynoszącej zazwyczaj pomiędzy 1,5 a 2 proc.). Aby kredyty były tańsze, bank musiałby po zmianie WIBOR na POLSTR zachować tę samą marżę. A to oznaczałoby dla niego mniejsze zyski. – *Na razie widzimy, że banki, wprowadzając do oferty kredyty z POLSTR,*

eprasa.pl 50b67a7159

raczej zwiększają swoje marże, chociaż nie zawsze aż o tyle, ile wynosi różnica między POLSTR 1M a WIBOR 3M czy WIBOR 6M. Oznacza to, że z punktu widzenia klientów albo nie ma różnicy w wysokości raty, albo jest ona minimalnie mniejsza w nowej ofercie. Pamiętajmy jednak, że to może się zmienić. POLSTR obecnie pozostaje na niższym poziomie niż WIBOR, ale nie zawsze tak musi być – mówi Anton Bubiel, ekspert rynku mieszkaniowego w SonarHome.pl.

POLSTR może np. przeskoczyć WIBOR w momencie, gdy rynek finansowy będzie spodziewał się obniżek stóp. Wówczas banki uwzględnią to przy deklaracjach branych pod uwagę przy wyliczaniu WIBOR, ale transakcje wpływające na POLSTR będą wciąż na poziomie odpowiadającym bieżącym stopom procentowym. Bankowcy zdają sobie sprawę z nowego ryzyka. Jeśli POLSTR stanie się wyższy od WIBOR, klienci z nowymi kredytami zaczną protestować i oskarżać instytucje finansowe o oszustwo. To dlatego banki zastrzegają, że reforma wskaźników nie ma na celu obniżenia kosztów kredytów. W ten sposób jednoznacznie zaprzeczają słowom Mateusza Morawieckiego sprzed czterech lat.

Zmiana WIBOR na POLSTR nie poprawi zatem fatalnego położenia polskich klientów. Jak wynika z analizy serwisu rankomat.pl na podstawie danych Europejskiego Banku Centralnego, mamy dziś drugie najdroższe kredyty hipoteczne w całej Unii Europejskiej. Ich średnie oprocentowanie wynosiło w sierpniu niemal 6 proc.

Wyższe odsetki – przekraczające 7 proc. rocznie – płacą tylko Węgrzy, ponoszący



konsekwencje zakończonych niedawno 16-letnich rządów Viktora Orbána. Tańsze są kredyty w Czechach i Rumunii (nieco ponad 5 proc.), a najbardziej możemy zazdrościć Maltańczykom (oprocentowanie poniżej 2 proc.!) oraz Bułgarom, którzy od niedawna mają u siebie euro. U nich średnie odsetki to zaledwie 2,4 proc. W ramach strefy euro najwyższe oprocentowanie kredytów hipotecznych jest w krajach bałtyckich, ale nawet tam niewiele przekracza 4 proc. To najlepszy dowód na to, że przyjęcie wspólnej waluty pozwoliłoby Polkom i Polakom znacznie korzystniej sfinansować zakup czy budowę nieruchomości. Ale o tym nasi politycy różnych partii, tak dzielnie broniący złotego i obrzydzający wyborcom euro, nie chcą mówić.

Skomplikowana z punktu widzenia zwykłego kredytobiorcy operacja zamiany WIBOR na POLSTR z pewnością wzbudzi wiele wątpliwości. Nie tylko z powodu kontrowersji wokół tego pierwszego, ale też przez brak szerokiej kampanii informacyjnej wyjaśniającej, dlaczego POLSTR to lepsza opcja. Tyle że dużo prościej byłoby po prostu powiązać oprocentowanie kredytów z jedną ze stóp, których wysokość co miesiąc wyznacza Rada Polityki Pieniężnej. Jednak taki pomysł ostro krytykuje Narodowy Bank Polski i straszy, że byłby niedopuszczalną ingerencją w sposób prowadzenia polityki pieniężnej. A o co chodzi w rzeczywistości?

Gdy dziś kredyty drożeją z powodu podwyżki WIBOR, a już niedługo POLSTR, klienci są źli na banki. Gdyby w umowach zapisano jasno, że oprocentowanie to suma marży i np. stopy referencyjnej NBP, to właśnie ta instytucja zaczęłaby się kojarzyć kredytobiorcom z wyższymi ratami. A tego zarząd NBP i członkowie Rady Polityki Pieniężnej chcą za wszelką cenę uniknąć. Wolą zrzucać z siebie odpowiedzialność za skutki własnych decyzji, chociaż przecież wysokość każdego wariantu i WIBOR, i POLSTR jest ściśle związana z tym, jak się zmieniają stopy procentowe. Dla kredytobiorców dziś najważniejsze jest to, że mogą one już niedługo zacząć rosnąć. Ani POLSTR, ani żaden kolejny, jeszcze nowocześniejszy wskaźnik nas przed tym nie ochroni.

CEZARY KOWANDA

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" - SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II



LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
16.10–25.10 oraz 25.10 - 20.12.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

NOWOŚĆ! ONKO REHAB 25.10 ORAZ 29.11 ZADZWOŃ I SPRAWDŹ

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ

* możliwa dopłata

Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2026, Turnus Noworoczny 27.12.2026 - 03.01.2027

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
16.10–25.10 oraz 25.10 - 20.12.2026
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

Zeskanuj mnie

54 416 70 00 rezerwacja@podtezniami.pl ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 50b67a7159

Abdul idzie do Senatu



Partii Demokratycznej rośnie lewe skrzydło, którego bohaterem jest Abdul El-Sayed, kandydat do Izby Reprezentantów. Czy ta radykalizacja lewicy uratuje Republikanów?

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Radzono mu, by zmienił chociaż imię. „Sam El-Sayed" brzmiałoby lepiej, bardziej amerykańsko niż Abdulrahman. Nie zgodził się, tłumacząc, że czuje się stuprocentowym Amerykaninem i nie inaczej powinni go traktować wszyscy. Skrócił tylko imię: został Abdulem. 11 września 2001 r. matka zabrała wcześniej ze szkoły jego młodszego brata Osama, aby uchronić go przed agresją anglosaskich uczniów. I sugerowała Abdulrahmanowi, by on też wrócił do domu wcześniej. Odmówił, tłumacząc, że musi pilnować, czy nic nie stanie się jego młodszym arabskim kolegom. Miał już 16 lat. Jak mówił, zawsze gotów był na konfrontację i to na swoich warunkach.

W sierpniu tego roku Abdul El-Sayed stanął do demokratycznych prawyborów mających wyłonić kandydata partii do Senatu ze stanu Michigan. Nie dawano mu szans, zwłaszcza po wspólnym wystąpieniu z kontrowersyjnym, radykalnym lewicowym streamerem Hasanem Pikerem. Centrową przeciwniczkę El-Sayeda Haley Stevens poparli wszyscy prominenci demokratycznego establishmentu. Mimo to kandydat o niewłaściwym nazwisku wygrał prawybory i w listopadowych wyborach połówkowych do Senatu stanie w szranki z byłym republikańskim kongresmenem Mikiem Rogersem.

Rogers, były przewodniczący komisji ds. wywiadu w Izbie Reprezentantów, często pojawiający się w telewizji, początkowo zdawał się zdecydowanym faworytem pojedynku o senatorski

© EMILY ELCONIN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 50b67a7159

mandat. Od początku września jednak sondaże wskazują na niewielką przewagę El-Sayeda. Gdyby wygrał wybory, byłby pierwszym w historii USA senatorem muzułmaninem.

Rada Clintona

Ojciec El-Sayeda, inżynier dysydent z Egiptu, przyjechał do Ameryki w 1978 r. i zamieszkał w Rochester Hills na przedmieściach Detroit, największego w USA skupiska arabskiej mniejszości. Abdulrahman (a potem Abdul) urodził się w 1984 r. Trzy lata później jego egipscy rodzice się rozwiedli i ojciec ożenił się z Jacqueline Johnson, potomkinią żony drugiego amerykańskiego prezydenta Johna Adamsa.

Po szkole Abdul studiował biologię, medycynę i nauki polityczne na Uniwersytecie Michigan, ukończył uczelnię z wyróżnieniem i w imieniu braci studenckiej przemawiał na uroczystości rozdania dyplomów. Honorowy gość na ceremonii Bill Clinton pogratulował mu, mówiąc: „Pana mowy powinni wysłuchać wszyscy, którzy głoszą nieuchronność zderzenia cywilizacji". I sugerował, że powinien się ubiegać o kierownicze urzędy w państwie.

Były prezydent miał nosa, bo Abdul myślał już o polityce i mimo dyplomu z medycyny nie starał się o licencję na wykonywanie zawodu lekarza. Po zaznajomieniu się na stażu w szpitalach z ochroną zdrowia uznał, że zamiast ludzi woli leczyć system. System jego zdaniem chory, bo skrajnie skomercjalizowany, niedający poczucia bezpieczeństwa wskutek związania ubezpieczeń zdrowotnych z zatrudnieniem. I korzystny tylko dla ubezpieczycieli oraz dostawców usług medycznych, dwukrotnie droższych w Ameryce niż w Europie.

Dzięki prestiżowemu stypendium Rhodesa Abdul kontynuował studia w Oxfordzie, gdzie doktoryzował się w dziedzinie zdrowia publicznego. Po powrocie do USA wykładał na wydziale medycznym Uniwersytetu Columbia i pracował jako epidemiolog w samorządzie hrabstwa Wayne w aglomeracji Detroit. Miał jednak szersze ambicje reformy amerykańskiej medycyny i nie tylko jej. To zaś wymagało wysłuchania sugestii Clintona i starań o ważny urząd publiczny.

W 2018 r. wystartował w wyborach na gubernatora Michigan. W kampanii wzywał do wprowadzenia „Medicare dla wszystkich", czyli objęcia całej populacji Amerykanów awantażami federalnego funduszu ubezpieczeń zdrowotnych dla emerytów. Pomysł powszechnych ubezpieczeń finansowanych z podatków, jak w Kanadzie i Europie, oraz inne głoszone w kampanii idee bliskie amerykańskiej lewicy zapewniły mu poparcie guru demokratycznych socjalistów, senatora Berniego Sandersa i jego uczennicy, kongresmenki Alexandry Ocasio Cortez (AOC). W wyścigu o fotel gubernatorski przegrał jednak zdecydowanie.

Program, z którym osiem lat później starał się o nominację senatorską, był niemniej progresywny – podwyżki podatków dla milionerów, przepisy antymonopolowe, płaca minimalna 25 dol. za godzinę, zaostrzenie ochrony środowiska, większe prawa dla związków zawodowych, eliminacja datków wyborczych od korporacji. El-Sayed dorzucił jeszcze likwidację ICE (Immigration and Customs Enforcement), agencji Trumpa do ścigania nielegalnych imigrantów, oraz wstrzymanie dostaw broni i sprzętu wojskowego dla Izraela. I mimo brutalnej kampanii Republikanów potępiających go jako lewaka i antysemitę wygrał demokratyczne prawybory.

El-Sayed odniósł zwycięstwo dzięki swej charyzmie, inteligencji i błyskotliwej retoryce w debatach z konkurentami. Ale nie tylko – sprzyja mu klimat polityczny w USA w drugiej kadencji Donalda Trumpa, który nie przejmuje się wzrostem cen i procentów od kredytu wskutek podwyżek taryf importowych i wojny z Iranem. Bardziej interesuje go budowa sali balowej przy Białym Domu, łuku triumfalnego za mostem nad Potomakiem i umieszczenie swego nazwiska na frontonie Kennedy Center. W połączeniu z cięciami podatków dla bogaczy, nadużywaniem władzy i ostentacyjnym powiększaniem prywatnego majątku stawało się oczywiste, że Trump nie jest przyjacielem klas pracujących, którego udaje, lecz swych kolegów oligarchów. Czy więc nadszedł czas ludzi pokroju El-Sayeda?

Teraz socjaliści?

Według najnowszego sondażu Gallupa 43 proc. Amerykanów przychylnie odnosi się dziś do „socjalizmu". To najwyższy od lat odsetek takich ocen. Zmniejszyła się jednocześnie liczba zwolenników „kapitalizmu". Wśród najmłodszych mieszkańców USA (18–34 lata) trend tego rodzaju jest najwyraźniejszy – 57 proc. podoba się „socjalizm" i tylko 43 proc. „kapitalizm". Używamy cudzysłowów, bo ankietowani różnie rozumieją te -izmy i raczej mało kto pragnie nacjonalizacji przemysłu.

Sympatycy „socjalizmu" chcieliby na ogół przekształcenia drapieżnego amerykańskiego kapitalizmu w socjaldemokratyczne państwo opiekuńcze, dbające o sprawiedliwszy podział narodowego bogactwa. W przypadku młodych Amerykanów nie są to intelektualne fanaberie idealistów, lecz poszukiwanie alternatywy dla systemu, który uniemożliwia wielu kupno domu, założenie rodziny i życie na takim samym poziomie co ich rodzice. Wśród wyborców Partii Demokratycznej entuzjaści „socjalizmu" dominują już zdecydowanie nad zwolennikami „kapitalizmu", w proporcji 66 do 35–40 proc. Tłumaczy to sukces Abdula El-Sayeda i to, co dzieje się w całym jego stronnictwie.

Kandydat do Senatu z Michigan nie jest sam. Przed wyborami połówkowymi do Kongresu sensacyjne zwycięstwa w legislaturach stanowych, lokalnych i w demokratycznych prawyborach odnieśli politycy prowadzący kampanie na skrajnie lewicowych jak na Amerykę platformach. Fala ta ruszyła po zeszłorocznym wyborze Zohrana Mamdaniego na burmistrza Nowego Jorku.

Mamdani jest członkiem Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA), organizacji istniejącej od 1982 r., liczącej 80–100 tys. członków i posiadającej placówki we wszystkich stanach. Długo uchodziła za egzotyczny margines amerykańskiej polityki, mimo 35-letniej obecności w Kongresie określającego się jako socjalista kongresmena, a potem senatora Berniego Sandersa. Dziś o DSA głośno jest we wszystkich mediach. El-Sayed nie należy do tej organizacji. Mówi nawet, że „nie jest socjalistą, tylko kapitalistą, który poznał kapitalizm", więc wie, jak go poprawić.

Jako socjaliści i członkowie DSA definiują się m.in. nowo wybrani kandydaci Demokratów do Izby Reprezentantów Claire Valdez i Darializa Chevalier w Nowym Jorku, Melat Kiros w Colorado, Chris Rabb w Pensylwanii i kandydatka do Senatu na Florydzie Angie Nixon. Wszyscy, jak El-Sayed, pokonali w prawyborach polityków partyjnego establishmentu.

Nie wszyscy jednak skrajnie lewicowi politycy należą do tej organizacji i nie wszyscy (przykładem El-Sayed) deklarują się tak ideologicznie. Autoetykietki „ideolo" nie mają wszakże większego znaczenia. W USA kandydaci do urzędów nakładają je lub ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ zdejmują ze względów pragmatycznych, bo wielu Amerykanom socjalizm źle się kojarzy.

Wspomnianych polityków można nazywać socjalistami, bo wszyscy pragną radykalnych reform w lewicowym duchu. Wzywają do wysokiego opodatkowania milionerów i korporacji, podwyżek płacy minimalnej i wzmocnienia praw związków zawodowych. Domagają się powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych finansowanych z podatków, gwarantowanej przez państwo darmowej opieki nad dziećmi i bezpłatnych studiów na publicznych wyższych uczelniach. Proponują także „odebranie funduszy" policji, skracanie skazanym kar więzienia i otwieranie szeroko granic dla imigrantów.

Prominentni stratedzy Partii Demokratycznej, jak Rahm Emanuel czy David Axelrod, załamują ręce, bo w USA wiele z tych postulatów uchodzi za ekstremalne. Większość Amerykanów nie chce rozluźniania restrykcji dotyczących imigracji, wprowadzonych za prezydentury Joe Bidena, i obawia się łagodzenia polityki karnej. Większość popiera też powszechne państwowe ubezpieczenia medyczne, jak w Kanadzie i Europie, ale tylko jako jedną z opcji, a tymczasem wielu socjalistów postuluje likwidację prywatnych ubezpieczeń.

Łatwy przeciwnik

Demokratyczny establishment obawia się, że w tegorocznych wyborach połówkowych kandydaci socjaliści okażą się niewybieralni, zwłaszcza w stanach swingujących. Kiedy Angie Nixon pokonała w prawyborach do Senatu na Florydzie umiarkowanego Demokratę Alexa Vindmana, Republikanie odetchnęli z ulgą, bo przewidują, że ich kandydatka Ashley Moody ma senatorski mandat jak w banku. Demokratyczni centryści podnieśli alarm, wezwali do wojny z socjalistami i utworzyli grupę Third Way (Trzecia Droga), która ma demaskować lewaków jako grabarzy szans partii na odzyskanie większości w Kongresie.

Wielu ekspertów uważa jednak, że nie ma powodów do paniki. Tak naprawdę – zauważają – socjaliści to wciąż raczej mniejszość w stronnictwie, tyle że najgłośniejsza i rozreklamowana przez media. Prawybory wygrywali głównie w stanach i okręgach wyborczych bezpiecznie prodemokratycznych, w wielkich miastach i na obu liberalnych wybrzeżach tradycyjnie popierających Demokratów. Jak wypadną w wyborach w stanach, gdzie siły są mniej więcej równe, okaże się już 3 listopada.

Porażki socjalistów są możliwe głównie dlatego, że stanowią oni poręczny cel dla przedwyborczej propagandy Republikanów. W telewizyjnych spotach Trump i jego sekundanci nazywają ich „komunistami" i straszą „czerwonym niebezpieczeństwem". Prezydent przypomina, że drugie imię El-Sayeda to Muhammad, a memy eksponują zdjęcia jego żony w hidżabie. Z kolei Angie Nixon, kandydatka do Senatu na Florydzie, powinna „wynosić się z Ameryki", bo „dla socjalistów nie ma tu miejsca" – oświadczył na wiecu wiceprezydent J.D. Vance.

– *Lewicowi kandydaci mogą w efekcie zmobilizować republikańskich wyborców rozczarowanych Trumpem i jego partią, a więc skłonnych do poparcia opozycji, by rozumieli, jak ważne jest zapobieżenie zwycięstwom Demokratów* – mówi profesor nauk politycznych z Uniwersytetu Columbia Robert Shapiro.

Dystansowanie się El-Sayeda od socjalizmu utrudnia straszenie nim jako „komunistą". Dlatego prawica skupia się na jego egipskich korzeniach i sięga po islamofobię. Kandydat z Michigan dostarczył tu wygodnego pretekstu – po zamachu na synagogę Temple Israel na przedmieściach Detroit w marcu br. powiedział: „Przemoc zawsze rodzi przemoc", co komentowano jako usprawiedliwianie antyżydowskiego terroryzmu. El-Sayed tłumaczył, że krewni arabskiego sprawcy zginęli w wyniku izraelskiego bombardowania w Libanie, ale zorientował się, że popełnił gafę, i przeprosił. Od tego czasu wychwala Żydów i przy każdej okazji powtarza, że antysemityzm to „plaga".

Dla żydowskiej diaspory problemem jest jednak całokształt poglądów El-Sayeda na Bliski Wschód, konflikt izraelsko-palestyński i rolę Ameryki w regionie. Ofensywę w Gazie nazywa ludobójstwem i wzywa rząd USA do wstrzymania pomocy militarnej dla Jerozolimy. Izrael jego zdaniem nie ma prawa do istnienia jako „etniczne państwo żydowskie" i powinien pozwolić na realizację niepodległościowych aspiracji Palestyńczyków w formule „dwóch państw albo jednego (konfederacyjnego?) państwa".

Jak Trump

Na miesiąc przed wyborami El-Sayed prowadzi z Republikaninem Rogersem w sondażach i rankingach politycznych bukmacherów. Co więcej, według sondażu Sieny i „New York Timesa" popiera go 8 proc. zwolenników Trumpa z wyborów w 2024 r. Odebrał prezydentowi więcej sondażowych głosów niż demokratyczni kandydaci w innych stanach swingujących.

Kandydat z Michigan przyjął nawet zaproszenie do telewizji Fox News, na co niewielu Demokratom starcza odwagi, i udzielił jej długich wywiadów. Reakcje konserwatywnych dziennikarzy tej stacji sugerują, że ulegli urokowi El-Sayeda, który nie dał się im zapędzić do narożnika. Znany ze złośliwości pod adresem lewicy dziennikarz Fox News Jesse Waters przyznał nawet, że demokratyczny kandydat jest antytezą „politycznych sztywniaków". A konserwatywny komentator Tucker Carlson powiedział, że kampania El-Sayeda jest „trumpistyczna", co miało być komplementem.

Nieukrywający swej lewicowości polityk z Michigan stara się jednocześnie o wyborców z przeciwnego obozu. Powtarzając, że amerykańscy prezydenci zbyt pochopnie decydują się na wojny, składa ukłon izolacjonistom w MAGA. Potrafi grać na patriotycznych nutach, mówiąc, że „Ameryka jest wyjątkowa", choć w inny sposób, niż to rozumieją neokonserwatyści powierzający jej rolę globalnego szeryfa. Na wiecach mówi o pestycydach, niezdrowej żywności i innych problemach bliskich uczestnikom związanego z Robertem F. Kennedym ruchu MAHA (Make America Healthy Again). Niezmiennym refrenem kampanii jest jednak przypominanie wyborcom o inflacji, drożyźnie i o tym, kto jest za to odpowiedzialny.

Wyniku wyborów w Michigan nie sposób przewidzieć. Czy El-Sayed wygra, niesiony widoczną w całym kraju falą niechęci do polityki Trumpa i Republikanów, która powinna odebrać im kontrolę przynajmniej nad Izbą Reprezentantów? Miliarderzy, sponsorzy Republikanów, zebrali w ostatnich miesiącach ogromne fundusze, przewyższające zasoby zgromadzone w kasie Demokratów. Daje to prawicy propagandową przewagę w kampanii, w której postać El-Sayeda zapewne odgrywać będzie pierwszoplanową rolę „obcego", ukrytego sympatyka islamistów.

Jeżeli El-Sayed zwycięży i oprócz niego wygra wielu pokrewnych mu ideologicznie kandydatów, będzie to sygnał, że amerykańskie wahadło rzeczywiście wychyla się w lewo.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 50b67a7159



Sąd nad Nord Stream

W Hamburgu rusza proces w sprawie wysadzenia gazociągu Nord Stream. Dlaczego będzie niezwykle kłopotliwy zarówno dla kanclerza Niemiec, jak i dla prezydenta Ukrainy, tłumaczy Bojan Pancevski, autor książki o kulisach tej operacji.

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Do eksplozji doszło 26 września 2022 r. w pobliżu Bornholmu. Oskarżonymi są Ukraińcy Serhij K. i Wołodymyr Z. Czego można się spodziewać po tym procesie?**

BOJAN PANCEVSKI: – Będzie bardzo niewygodny i dla Niemiec, i dla Ukrainy. Stawia on rząd Friedricha Merza pod ogromną presją. Z jednej strony Niemcy są największym w Europie dawcą pomocy wojskowej dla Ukrainy, a z drugiej ścigają i stawiają przed sądem Ukraińców, którzy zaatakowali gazociąg pozwalający bezpośrednio finansować wysiłek wojenny Rosji.

Co więcej, proces rozpoczyna się w najgorszym możliwym momencie dla Merza. Triumf Alternatywy dla Niemiec (AfD) w ostatnich wyborach landowych bardzo osłabił jego rząd. Ważną częścią agendy AfD jest przecież wstrzymanie pomocy dla Kijowa, zniesienie sankcji i ponowne uruchomienie Nord Stream. Ewentualne skazanie oskarżonych Ukraińców ogromnie wzmocniłoby propagandę AfD.

Proces będzie również kłopotliwy dla prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który oficjalnie zaprzecza udziałowi Kijowa w zamachu. Pytanie, jak zareaguje ukraińska opinia publiczna, gdy zobaczy na ławie oskarżonych ludzi uważanych w kraju za bohaterów, a prezydent nie kiwnie w tej sprawie palcem.

Jest też – niemniej kontrowersyjny – aspekt prawny. Dlaczego oskarżonym postawiono zarzut zbrodni wojennych?

Niemiecka prokuratura zrobiła to, aby uniemożliwić jednemu z oskarżonych, który jest ukraińskim wojskowym, uzyskanie immunitetu kombatanckiego. Gdyby zarzuty dotyczyły sabotażu, mógłby się o taki status ubiegać. A wtedy, jako żołnierz regularnych sił zbrojnych uczestniczących w wojnie, nie mógłby być sądzony przez sąd obcego państwa za legalne czyny bojowe.

Zarzut zbrodni wojennych rodzi ogromne kłopoty wizerunkowe.

Szczególnie że jednym z oskarżonych jest kapitan armii ukraińskiej i weteran bitwy o Kijów w 2022 r. Fakt, że to właśnie jemu, jako pierwszemu uczestnikowi tej wojny, niemiecka prokuratura postawiła taki zarzut, podczas gdy sprawcy rosyjskich zbrodni – masakry w Buczy i Irpieniu, nalotów na przedszkola i szpitale – pozostają nieukarani, czyni całą sprawę wątpliwą etycznie. Rodzi się pytanie, dlaczego zamiast ścigać rosyjskich zbrodniarzy, oskarżamy o zbrodnie ukraińskiego wojskowego, który brał udział ▶

© SWEDISH COAST GUARD HANDOUT/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 50b67a7159

▶ w zniszczeniu infrastruktury cywilnej, gdzie nikt nie zginął ani nie został ranny.

Obrońcy będą wnosić o uniewinnienie, ponieważ ich zdaniem rurociąg był uprawnionym celem wojskowym.

Tak, ale będą musieli dowieść, że gazociąg był uprawnionym celem ataku wojskowego, a jego właściciel Gazprom jest aktywnym uczestnikiem wojny. Drugi aspekt nie budzi kontrowersji. Gazprom finansuje własne prywatne oddziały, które biorą udział w walce, i wcale się z tym nie kryje. Kupuje też broń, nawet sprzęt dużego kalibru, np. systemy artylerii przeciwlotniczej.

Pierwsza kwestia jest bardziej złożona: kiedy ataki na obiekty cywilne stanowią zbrodnię? Dziś zarówno Rosja, jak i Ukraina masowo niszczą takie cele. Ukraińska koncepcja obronna w tym roku jest wymierzona w rosyjską infrastrukturę energetyczną. W tym sensie wiele argumentów przemawia za legalnością ataku na Nord Stream, choć nie wiemy, jak zinterpretują to niemieccy sędziowie. Jeśli uznają, że atak na infrastrukturę energetyczną w czasie wojny jest dopuszczalny, może to zostać zinterpretowane jako usprawiedliwienie dla takich ataków w przyszłości.

Czy Merz i Zełenski mogą wpływać na przebieg procesu?

Mogą. Pytanie, czy będą zmuszeni to zrobić. Przede wszystkim Wyższy Sąd Krajowy w Hamburgu, który rozpatrzy sprawę, ma wielowiekową tradycję sięgającą czasów Hanzy, szczyci się opinią niezawisłego i wolnego od nacisków politycznych. Elementem nacisku na sąd, który mógłby wpłynąć na wyrok, byłoby jednak wzięcie przez prezydenta Zełenskiego odpowiedzialności za zamach. Musiałby oficjalnie przyznać, że wydał taki rozkaz.

Nie unieważniłoby to zarzutów, nie uchroniłoby też oskarżonych przed wyrokiem, ale miałoby fundamentalne znaczenie dla wymiaru kary. Sędziowie – świadomi, że oskarżony działał na rozkaz państwa prowadzącego wojnę obronną, mającego pełne poparcie niemieckiego rządu i większości opinii publicznej – mieliby podstawy do nadzwyczajnego złagodzenia wyroku. Być może wówczas zamiast 16 lat więzienia oskarżeni mogliby dostać np. dwa lata, z czego rok jeden z nich już odsiedział.

I wtedy Niemcy mogłyby wyjść z tego z twarzą.

Właśnie. Z jednej strony społeczeństwo dostałoby dowód, że Niemcy są państwem prawa i nie można bez konsekwencji wysadzić rurociągu, za który niemieckie spółki zapłaciły miliardy euro. Ale z drugiej zatarliby wrażenie, że skazują na długoletnie więzienie Ukraińców, kiedy ci walczą o życie. Wszystko zależy od tego, czy Zełenski jest w stanie znieść presję ukraińskiej opinii publicznej, bo ta z pewnością będzie rosnąć, im bliżej końca procesu.

A Merz?

Paradoksalnie mógł zdusić całą sprawę w zarodku już dawno temu. Zgodnie z niemiecką konstytucją ma prawo nakazać ministrowi sprawiedliwości umorzenie śledztwa ze względu na interes państwa. Jednak ani on, ani jego poprzednik nie zdecydowali się na to, ponieważ wywołałoby to oskarżenia o wyciszanie sprawy i jeszcze bardziej wzmocniło skrajną prawicę. Dziś jest już za późno – machina sądowa ruszyła i niemiecki legalizm ma swoją nieuchronną logikę, nawet jeśli szkodzi ona interesom politycznym Berlina.

Historia zamachu na Nord Stream jest wprost filmowa.

Jeden z oskarżonych, Wołodymyr Z., został aresztowany w Chorwacji, gdzie pracował jako konsultant przy hollywoodzkim filmie o zamachu na Nord Stream, którego producentem jest Sean Penn. Jednak mimo tej sensacyjnej otoczki początki operacji odbiegały od wyobrażeń o tajnych akcjach, jakie znamy z filmów. Nie było odpraw w sztabie wywiadu, rozkazów na piśmie. Pakt zawiązała grupa wysokich rangą oficerów, weteranów ukraińskich służb specjalnych. Zdawali sobie sprawę z przewagi wroga, dlatego postanowili uderzyć w dojną krowę Władimira Putina, czyli dochody z eksportu węglowodorów. W toku nieoficjalnych rozmów wytypowali około tuzina celów infrastrukturalnych. Na czele znalazł się Nord Stream. Pomysł przedstawiono dowódcy wojsk specjalnych, a ten skierował go do naczelnego dowódcy gen. Walerija Załużnego, który dał zielone światło.

Tak zdecentralizowana struktura planowania jest typowa w Ukrainie?

Zależy od okoliczności. Po wybuchu wojny wykształcił się model, w którym wiele operacji powstawało oddolnie, a grupy cieszyły się dużą autonomią. Obok akcji, o których informowano najwyższe władze cywilne – jak operacja „Pajęczyna" wymierzona w rosyjskie lotnictwo strategiczne z czerwca 2025 r. – prowadzono działania półautonomiczne. Plan zamachu na Nord Stream trzymano w tajemnicy przed ukraińskimi władzami, głównie dlatego, że część wojskowych nie miała zaufania do prezydenckiej administracji. Uważali, że dojdzie do przecieku i cały plan spali na panewce.

W książce pisze pan, że organizatorzy zamachu działali jak start-up.

Na początku powiedzieli mi: „Jesteśmy czymś w rodzaju głębokiego państwa (deep state)". Odpowiedziałem, że bardziej przypominają mi dywersyjny start-up. Spodobało im się to określenie. Charakteryzowała ich swoboda organizacyjna i wolność od biurokracji. Kiedy nie mogli liczyć na zasoby państwa, improwizowali. W Ukrainie nie było np. wojskowych nurków wyszkolonych do pracy kilkadziesiąt metrów pod wodą. Do współpracy wciągnęli więc cywili z prywatnych szkół dla nurków działających na wybrzeżu Morza Czarnego. Budżet całej operacji wyniósł zaledwie 250 tys. dol., a wysadzili gazociąg wart 20 mld dol.!

Skąd pochodziły pieniądze na operację?

Większość dostarczyli ukraińscy biznesmeni, lokalni oligarchowie bądź politycy związani z czterogwiazdkowym generałem Sił Zbrojnych Ukrainy, jednym z głównych pomysłodawców zamachu, którego w książce nazywam po prostu „generałem". Państwo dostarczyło broń, materiały wybuchowe, sprzęt do nurkowania i fałszywe paszporty. Ten model – nazwijmy go „partnerstwem publiczno-prywatnym" – jest zresztą filarem ukraińskiego oporu. Cała armia w ogromnym stopniu opiera się na crowdfundingu i wsparciu biznesu.

W filmach kryminalnych sprawcy napadu zwykle wpadają w ręce policji, ponieważ zdradził ich drobny błąd. Co doprowadziło niemieckich śledczych na trop tego start-upu?

Żadna, nawet najlepiej przygotowana operacja nie jest idealna. W przypadku



Bojan Pancevski – ur. 1976 r., główny korespondent „Wall Street Journal" w Europie. Autor wielu reportaży śledczych. Jego ostatnia książka „Wysadzić Nord Stream. Sabotaż, który wstrząsnął światem" wyszła również w polskim przekładzie.

eprasa.pl 50b67a7159



Bohaterowie czy terroryści? Jeden z oskarżonych, Serhij K., po ekstradycji z Włoch, eskortowany przed gmachem Federalnego Sądu Sprawiedliwości w Karlsruhe, listopad 2025 r.

Nord Stream członkami ekipy, którzy umieścili ładunki wybuchowe na dnie Bałtyku, było trzech żołnierzy i czterech cywilów bez żadnego przeszkolenia w pracy wywiadowczej za granicą. Kluczowy błąd można by uznać za komiczny, gdyby tak słono za niego nie zapłacili. Kierowca busa, którym jechali do portu na Rugii, przekroczył prędkość. Fotoradar w sennym niemieckim miasteczku uwiecznił twarz kierowcy, pasażera, markę auta i numery rejestracyjne. Policja miała nagrania z portu, gdzie widać było ten sam samochód i ludzi wynajmujących jacht „Andromeda", który kilkukrotnie wypływał na Bałtyk w miejsca, gdzie przebiegały nitki gazociągu. A po podłożeniu ładunków załoga spieszyła się i nie wyczyściła jachtu. Niemieccy śledczy zabezpieczyli na nim odciski palców i ślady krwi z DNA jednego z nurków, który skaleczył się podczas sztormu.

Nurkowie, którzy podłożyli ładunki, jawią się jako postacie tragiczne. Zaryzykowali wszystko, wykonali operację, której nie podołałoby wielu wyszkolonych żołnierzy. Nie doczekali się ani medali, ani zwykłych podziękowań. Jak potoczyły się ich losy?

Większość wróciła do Ukrainy. Część służy w armii, inni wrócili do dawnego biznesu i prowadzą szkoły nurkowania. Rozmawiałem z niektórymi w ostatnich miesiącach – są rozgoryczeni i rozczarowani. Czują się porzuceni przez własne państwo. Dokonali niezwykłego wyczynu, do którego nikt nie chce się przyznać. Czują też uzasadniony strach. Ściga ich nie tylko niemiecka prokuratura – rosyjskie służby z pewnością znają ich tożsamość i będą chciały się zemścić.

A nie są to przecież komandosi z filmów, lecz zwykli ludzie z rodzinami i dziećmi.

Kiedy zbierałem materiały do książki, jeden z niemieckich śledczych powiedział mi, że przyjdzie czas, kiedy najbezpieczniejszym miejscem na świecie dla tych ludzi będzie niemiecka sala sądowa. Dziś się zastanawiam, czy nie miał racji. Z drugiej strony moi bohaterowie wierzą, że doczekają się uznania, na jakie zasłużyli. Może następca Zełenskiego wręczy im odznaczenia i podziękuje? Albo sam Zełenski ugnie się pod presją i za nimi ujmie?

Wróćmy do reakcji niemieckiego państwa na zamach. Niemcy są dumni ze swojej praworządności, ale w tej sprawie trzymanie się jej bez względu na okoliczności pozbawiło Berlin pola manewru.

Chce pan powiedzieć, że Niemcy powinny wziąć pod uwagę interes kraju i być jak Polska, która w 2025 r. nie zgodziła się na ekstradycję do Niemiec jednego z podejrzanych nurków i wypuściła go z aresztu?

W zasadzie tak.

Gdy kanclerz Olaf Scholz przyjechał do Warszawy w 2025 r. na spotkanie z premierem Donaldem Tuskiem, po cichu liczył, że nowy, proeuropejski polski rząd będzie respektować Europejski Nakaz Aresztowania i wyda podejrzanego Berlinowi. Odmowa, z jaką się spotkał, i publiczna wypowiedź Tuska, że takie działanie nie leży w interesie Polski, a jedynymi, którzy powinni się w tej sprawie wstydzić, są ci, którzy zdecydowali o budowie Nord Stream, były momentem twardego otrzeźwienia.

I nic to nie zmieniło.

Bo Niemcy są, jacy są, i nie zamierzają naginać zasad. Mimo że całe śledztwo i nadchodzący proces nie były na rękę poprzedniemu rządowi i nie są na rękę obecnemu gabinetowi, nikomu w Berlinie nie przyszło do głowy wywierać nacisków na prokuraturę, choć mieli prawne narzędzia, by to zrobić. Pewne rzeczy są dla Niemców niewyobrażalne. Z tego samego powodu nikt nie będzie wywierać presji na sąd w Hamburgu. Jeśli pyta pan, czy to dobrze, czy źle, to odpowiedź brzmi: nie wiem. Niemcy – zarówno klasa polityczna, jak i całe społeczeństwo – są wielkimi formalistami. Merz i Scholz to prawnicy. Kultura prawna przenika cały kraj. Nie można więc wymagać, żeby Niemcy nagle stali się kimś innym.

Jaka będzie przyszłość Nord Stream?

Dla jakiegokolwiek kanclerza z partii głównego nurtu powrót do rosyjskiego gazu przed zawarciem trwałego pokoju w Ukrainie i przed zniesieniem europejskich i amerykańskich sankcji na Rosję jest niemożliwy. Z kolei Putin robi wszystko, by temat reaktywacji rurociągów powrócił na stół negocjacyjny. W samych Niemczech tani rosyjski gaz wciąż stanowi wielką pokusę, szczególnie w dobie kryzysu energetycznego. AfD nie przestanie podnosić hasła ponownego uruchamiania Nord Stream. Aby jednak spełnić ten postulat, musieliby wejść do koalicji rządowej albo stworzyć swój gabinet, a to wydaje się na razie mało prawdopodobne. Na dziś gazociąg na dnie Bałtyku jest martwy, ale jego historia z całą pewnością nie jest zamknięta.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

© HMB MEDIA/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, PAP/EPA/RONALD WITTEK

eprasa.pl 50b67a7159

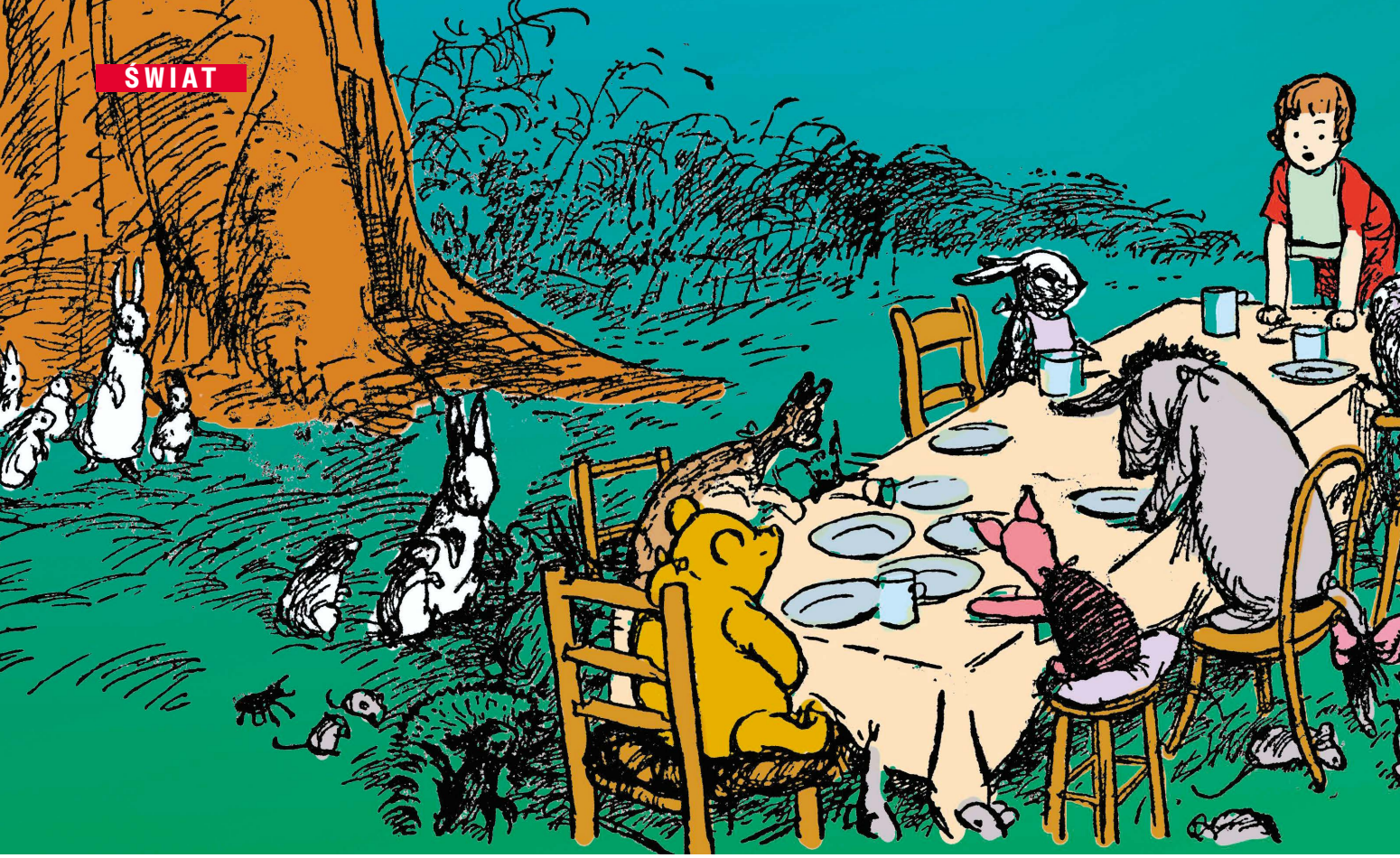

Miś o bardzo dużym rozumku

„Kubuś Puchatek”, który właśnie obchodzi setne urodziny, tylko udaje książkę dla dzieci. W rzeczywistości to traktat społeczny, który powinien budzić trwogę u współczesnych dyktatorów.

ŁUKASZ WÓJCIK

„Dzień spędzony z przyjacielem jest jak słoik pełen miodu” – powiedział kiedyś pewien mędrzec. Gdy więc pod koniec września Xi Jinping przyleciał do Waszyngtonu, Donald Trump powitał go osobiście na płycie lotniska, na co od dekad nie zdobył się żaden amerykański prezydent. Ale w końcu chodzi o najważniejszą relację bilateralną współczesnego świata, a ewidentnie Trump chciałby się zaprzyjaźnić.

Przy takich spotkaniach liczy się każdy drobiazg: ubiór, gesty, miny. Obserwatorzy zwrócili więc uwagę na samolot, którym przyleciał lider największej dziś potęgi przemysłowej świata (amerykański Boeing 747), oczywiście na pomarańczowy kolor twarzy i za duże rękawiczki gospodarza. Dużo zainteresowania przykuł też niepewny krok Xi oraz fakt, że w kluczowych momentach przytrzymywał się żony – o jego słabym zdrowiu krążą legendy.

Czy jednak ten chwiejny krok chińskiego przywódcy, jego relatywnie krótkie nogi, solidny brzuszek i przyklejony do twarzy uśmiech nie przypominają postury pewnej postaci, która bawi i wychowuje kolejne pokolenia dzieci na całym świecie? Tak przynajmniej twierdzą przedstawiciele chińskiej diaspory w USA, którzy oprotestowali całą wizytę chińskiego dyktatora. Poprzebierali się za ową postać, nosili plakaty porównujące ją z Xi pod płotem Białego Domu, gdy Chińczyk tam się stołował, pojawili się również pod oknami hotelu Waldorf Astoria, w którym Xi nocował.

Nie możemy tu napisać, o jaką postać chodzi, bo wszystkie egzemplarze POLITYKI w Chinach zostałyby natychmiast przemielone przez cenzurę. Tak bardzo najpotężniejsza dyktatura świata boi się o wizerunek swojego przywódcy – oficjalnie „dobrotliwego wujka” – którego takie porównanie mogłoby ośmieszyć. Ale z owego porównania zdecydowanie bardziej niezadowolony powinien być ten drugi – oryginał.

1 „Kubuś Puchatek” kończy właśnie 100 lat. 14 października 1926 r. w Londynie ukazała się pierwsza książka Alana Alexandra Milne’a o przygodach Misia o Małym Rozumku, ale wielkim sercu. Tylko w ciągu pierwszego roku sprzedało się ponad milion egzemplarzy. W 1928 r. Milne opublikował jeszcze drugą część: „Chatkę Puchatka”, która również okazała się hitem.

eprasa.pl 50b67a7159



Oryginalne ilustracje z pierwszego wydania „Kubusia Puchatka" z 1926 r.

W sumie historię Puchatka przetłumaczono na ponad 50 języków – na polski w 1938 r. przełożyła ją brawurowo Irena Tuwim. Sprzedało się, według niektórych szacunków, ponad 100 mln egzemplarzy globalnie. Potem, w latach 60., kolejne filmy o Kubusiu zaczął kręcić Disney. Od 2022 r. Puchatek jest już w domenie publicznej, więc hulaj dusza, piekła nie ma. Zaraz potem w kinach pojawił się tani horror „Kubuś Puchatek: krew i miód" – główny bohater występuje w pomarszczonej, gumowej masce niedźwiedzia i wraz z Prosiaczkiem – przemienionym w szaleńca z kłami – osaczają młode kobiety w bikini na basenie.

Oblicza się, że historie Milne'a w różnych odmianach przyniosły już ponad 50 mld dol. przychodu. Kto by się spodziewał, że na miodzie, sentymentalizmie i rozbrajającej prostocie można tak daleko zajechać.

A zaczęło się od niedźwiedzicy, którą do londyńskiego zoo sprowadzono z Winnipeg w Kanadzie – dlatego wszyscy mówili na nią Winnie. Mamy więc pierwszy człon Kubusia Puchatka, w angielskim oryginale „Winnie the Pooh". Drugi człon pochodzi od łabędzia, którego syn Milne'a Christopher – który później zostanie książkowym Krzysiem – spotykał podczas rodzinnych wakacji.

Obie książki Milne'a o Kubusiu są interpretowane właśnie jako dialog ojca-autora z synem Krzysiem, co w świecie realnym jednak nie poszło za dobrze. Ale popularna jest też inna perspektywa: Milne walczył w okopach pierwszej wojny światowej i Stumilowy Las był dla niego swego rodzaju ucieczką do świata idealnego, o czym pisze jego biografka Anita Wilson.

„W Stumilowym Lesie nie ma potrzeby stosowania prawa, ponieważ autorytet Krzysia opiera się na akceptacji i przyjaźni, a nie na przymusie – pisze Wilson. – Nie ma tam śmierci, a niebezpieczeństwo objawia się w najbardziej łagodnych formach. Pszczoły są jedynie uciążliwe, Słonie istnieją tylko w wyobraźni, a głód odczuwa się jedynie jako burczenie w brzuchu".

Zdaniem Wilson „Kubuś Puchatek" już w pierwszych latach po opublikowaniu stał się czymś w rodzaju „pomocy w sytuacji kryzysowej", również dla dorosłych. Książka Milne'a miała zastosowanie w biblioterapii – to opracowana jeszcze pod koniec XIX w. metoda terapeutyczna, wykorzystująca czytanie książek do wspierania dobrostanu psychicznego oraz procesu zdrowienia. „Kubuś Puchatek" był do wypożyczenia w bibliotekach szpitalnych, by m.in. łagodzić cierpienie chorych i rannych żołnierzy z czasów pierwszej wojny światowej.

2 W tym terapeutycznym ujęciu nie ma przypadku, bo każdy mieszkaniec Stumilowego Lasu ma jakiś problem. Kłapouchy jest przygnębiony albo ma depresję, Prosiaczka dręczą stany lękowe, Sowa cierpi na próżność i dysleksję, Królik ma manię kontroli itd. A jednak nikt nie jest wyśmiewany ani wykluczany. Przede wszystkim nikt nie jest zmuszany, by się zmienić. Każdy jest akceptowany taki, jaki jest. „Miłość bliźniego nie czeka, aż nasz bliźni stanie się sympatyczny, by się ku niemu zwrócić" – napisał brytyjski dziennikarz i krytyk literacki Gyles Brandreth, autor wydanej niedawno książki „Somewhere, a Boy and a Bear" (Gdzieś, chłopiec i niedźwiedź).

Dlatego wszelkie porównania ze współczesnymi dyktatorami są dla Puchatka po prostu uwłaczające. – *Oni nie są nawet zabawni, nie mówiąc już o tym, że próbują narzucić swoim poddanym, a niekiedy i sąsiadom, jak mają żyć* – wskazuje Gyles Brandreth. – *Puchatek to ich przeciwieństwo, może skrajnie naiwne, ale tym samym podbijające ich cynizm.*

Zdaniem Brandretha „Kubuś Puchatek" oferuje dwa skarby. Po pierwsze, język – dowcipny i nieco przekorny – który rozwija nie tylko wyobraźnię czytelnika, ale i jego zdolność rozumienia. Bo – jak mówi główny bohater – „myślenie nie jest łatwe, ale można się do niego przyzwyczaić". Po drugie zaś, książka Milne'a oferuje świat, w którym dziecko przeżywa przygody wolne od ingerencji dorosłych, lecz zawsze w towarzystwie przyjaciół.

Na tym wyjątkowym tle wyróżnia się Puchatek. Podczas gdy Sowa czy Królik ulegają współczesnym pułapkom intelektualnej pychy, lęku przed chaosem i sztywnego perfekcjonizmu, Puchatek funkcjonuje niejako w stanie łaski. Wolny od pychy czy potrzeby kontrolowania otoczenia polega na prostych darach i pozostaje głęboko zadowolony ze swego „powszedniego chleba", czyli w jego przypadku garnka miodu. A to tylko wstęp do całej galerii osobowości.

Tygrys nieustannie podskakuje, łaknąc uwagi i potwierdzenia własnej wartości. Na 90. urodziny książki francuski dziennik „Le Monde" porównał do niego kandydata w wyborach prezydenckich, niejakiego Emmanuela Macrona. I jak to się zestarzało! Tygrys przecież budzi sympatię, ale bywa męczący, ponieważ ciągle potrzebuje zapewnień, że jest ceniony i dostrzegany. Jego energia i urok często maskują ukryty lęk, że jeśli przestanie podskakiwać, może zostać niezauważony lub przestanie być kochany. Nieustanną pogoń za uwagą napędza zatem strach przed tym, że nie jest się wystarczająco dobrym lub że zostanie się zapomnianym.

3 Arcyciekawym przypadkiem jest oczywiście Kłapouchy, którego wiwisekcję opublikowało kilka lat temu całkiem poważne pismo „Canadian Medical Association Journal", którym się tu podeprzemy. We współczesnym ujęciu jego chroniczny smutek natychmiast stałby się „problemem wymagającym rozwiązania", uciążliwością społeczną lub po prostu przypadkiem klinicznym. Milne oferuje jednak pełne współczucia spojrzenie na ludzką słabość.

Kłapouchy musi być zresztą Polakiem. Pragnie bliskości przyjaciół i przynależności do grupy, lecz zakłada, że ta więź jest nietrwała. Przyjmuje uścisk dłoni, ale jednocześnie przygotowuje się na moment, w którym druga osoba go puści, przekonany, że to nie potrwa długo. Jego ponure ▶

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl 50b67a7159

▶ nastawienie nie jest tylko pesymizmem – to forma mechanizmu obronnego, sposób na uchronienie się przed rozczarowaniem wynikającym z pominięcia czy niezauważenia.

I w końcu sprawa z dzisiejszej perspektywy chyba najważniejsza, czyli posługa obecności, jak powiedzieliby katolicy. Gdy Kłapouchy tkwi wciąż pod chmurą swojej nieustającej rozpaczy, przyjaciele nigdy nie serwują mu protekcjonalnych pouczeń, powierzchownych rad z zakresu poppsychologii ani wymagających banałów w stylu „weź się w garść". Zamiast tego Puchatek i Prosiaczek regularnie odwiedzają jego polanę, odbudowują jego dom z patyków i cicho siadają obok. Próbują się wczuć w jego położenie, ale bez prób „naprawiania".

Czy to nie jest przepis na współżycie Polaków z Ukraińcami? Gdy naszych najbliższych sąsiadów kolejny reżim atakuje bombami, może trzeba odłożyć na bok spory, pomóc w odbudowie ukraińskich domów, razem popłakać nad ofiarami, a z żywymi pobyć trochę w milczeniu. Puchatek by tak zrobił. A na pewno zatrzymałby się na chwilę, by sprawdzić, dlaczego narastają między nami złe emocje.

4 To zatrzymanie wiąże się z tzw. paradoksem Puchatka, dyskutowanym często w świecie korpo. To sam początek książki. Krzyś schodzi po domowych schodach i ciągnie za sobą – do góry nogami – Puchatka, który uderza głową o kolejne stopnie i „czuje czasami, że mógłby to robić zupełnie inaczej, gdyby udało mu się przestać tuktać, choćby na jedną chwilę, i dobrze się nad tym zastanowić". A pracując w korpo, menedżerowie są często w takim pędzie, że się nie zatrzymują.

Chodzi więc o sytuację, w której kontynuujemy jakieś niekomfortowe lub nieefektywne działanie – nie dlatego, że jest najlepsze, ale dlatego, że tak właśnie robiliśmy od zawsze. I nie robimy tego, bo świadomie tak zdecydowaliśmy – po prostu nigdy nie zatrzymaliśmy się na tyle długo, by zadać sobie pytanie, czy istnieje lepszy sposób. Brakuje nam umiejętności i odwagi, aby zakwestionować zastany stan rzeczy, przełamać schemat. A jeśli się nie zatrzymamy, by dokonać oceny, będziemy latami „obijać się o kolejne stopnie", myląc tradycję z mądrością.

Warto powtarzać, że wciąż mówimy o książce dla dzieci. W tym jednak chyba tkwi jej największy geniusz – że chwyta



prawdy uniwersalne, które nie zestarzały się po 100 latach. A koronny dowód to tzw. efekt łasiczek, w oryginale znany jako *woozle effect*.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której dane twierdzenie jest cytowane tak często, że ludzie zaczynają uważać je za udowodnione, mimo że stojące za nim dowody są wątłe lub w ogóle nie istnieją. Albo inaczej – to przypadek opierania twierdzenia na innych, wielokrotnie powtarzanych twierdzeniach, których zaczepienie w rzeczywistości jest słabe albo żadne, ale ze względu na swą popularność sprawiają wrażenie racjonalnych.

Brzmi współcześnie? A Milne i Puchatek przerabiali to już sto lat temu. Patrz rozdział III, „w którym Puchatek z Prosiaczkiem tropią zwierzynę i o mało co nie łapią łasicy". Gdy Prosiaczek oznajmił już Krzysiowi, że jego dziadek nazywał się WSTĘP BRONISŁAW, poszedł na spacer – bo przecież nie miał niczego do roboty aż do piątku – i spotkał Puchatka. A ten krążył w śniegu dookoła zagajnika ze spuszczoną głową. Okazało się, że badał własne ślady, błędnie przyjmując, że zostawiła je łasica. Gdy zrobił kolejne okrążenie, były już dwie łasice, a potem, gdy chodzić z nim zaczął też Prosiaczek, pojawiły się też ślady lisa.

Jak to wciąż działa! Puchatkowi, Prosiaczkowi i nam wydaje się, że baza dowodowa rośnie, podczas gdy w rzeczywistości to te same, wątłe dowody krążą dookoła zagajnika, powielane w kolejnych cytowaniach. Przy czym w świecie mediów, a szczególnie tych (anty)społecznościowych, to krążenie odbywa się jeszcze szybciej. Niby nikt nie kłamie i nikt celowo nie zniekształca faktów.

Przykład bliski Puchatkowi. Przekonanie, że śniadanie to „najważniejszy posiłek dnia", od dziesięcioleci pojawia się w zaleceniach zdrowotnych, programach szkolnych i poradach dietetycznych. Jednak baza dowodowa jest znacznie uboższa, niż sugerowałaby pewność, z jaką głosi się to twierdzenie – są to głównie badania finansowane przez producentów płatków śniadaniowych, przy czym większość z nich wskazuje jedynie na korelacje, a nie związki przyczynowo-skutkowe. Twierdzenie o śniadaniu powtarzano jednak tak często i w tak wiarygodnych kontekstach, że podawanie go w wątpliwość może uchodzić za przejaw płaskoziemstwa i koronny przykład efektu łasicy/*woozle*.

Problem zaczyna się wtedy, gdy efekt łasicy wykorzystują poważne Puchatki w ramach swojej politycznej propagandy. Zaczynają powtarzać hasła o przestępczości imigrantów, o tym, że Balcerowicz musi odejść (i wszystko będzie dobrze) – generalnie chodzi o wszystkie liczby, które mają opisywać szerszą sytuację społeczną. Jeden raport przygotowany na polityczne zamówienie dostarcza konkretnej liczby, która jest następnie cytowana; w ciągu kilku lat zaczyna ona uchodzić za pewnik, na którego podstawie tworzy się prawo i planuje wydatki publiczne.

5 Puchatek niemal na pewno nie myślał o tym wszystkim, gdy robił kolejne okrążenie wokół zagajnika. Przekonują o tym również współcześni krytycy literatury dziecięcej, przestrzegając przed zbytnim intelektualizowaniem tej prostej książki o uczuciach – apelują wręcz o odrzucenie tej poppsychologii. Ale jest już za późno. Ten fenomen wymknął się spod kontroli i zagraża nie tylko stabilności Chińskiej Republiki Ludowej, lecz także tradycyjnej polskiej moralności.

W 2014 r. radni Tuszyna pod Łodzią sprzeciwili się nadaniu imienia Kubusia Puchatka miejskiemu parkowi zabaw, bo – jak zauważył jeden z protestujących – ten miś chodzi bez majtek. A w dodatku nie da się u niego zidentyfikować żadnych narządów płciowych, czyli nie tylko nudysta, ale jeszcze obojnak.

„Są tacy, co mają rozum, a są tacy, co go nie mają, i już" – powiedział 100 lat temu pewien mędrzec.

ŁUKASZ WÓJCIK

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl 50b67a7159



© SERGIO SOUZA/GETTY IMAGES

Fawela Paraisópolis w São Paulo. Przez lata oficjalnie nie istniała, choc żyły tu tysiące ludzi.

Jak rodzynki w mieście

Podziału na dzielnice biedne i bogate prędko nie zasypiemy. Można jednak sprawić, by mieszkańcy jednych i drugich mieli równy wpływ na politykę przestrzenną. Którędy do sprawiedliwego miasta?

MACIEJ J. NOWAK

Fawela Paraisópolis w São Paulo to jeden z najbardziej obrazowych przykładów potwierdzających konieczność dyskusji o sprawiedliwości przestrzennej. Teren ten ok. 100 lat temu przeznaczono na cele mieszkaniowe, ale nie został zagospodarowany przez prawowitych właścicieli. W latach 50. XX w. zaczęła się tam nieformalna kolonizacja. Z roku na rok liczba „dzikich" mieszkańców, zazwyczaj wiejskich migrantów, wzrastała.

Traf chciał, że po jakimś czasie wokół faweli zaczęła powstawać bardzo bogata dzielnica, co wpływało na wartość działek w Paraisópolis. Gdy ta znacznie wzrosła, przypomnieli sobie o nich prawni właściciele, żądając zwrotu posesji. Nie spowolniło to nielegalnego zasiedlania – w latach 70. żyło tam kilka tysięcy mieszkańców, a w latach 80. już kilkanaście tysięcy. Władze miejskie próbowały reagować. Niemniej przez długi czas głównym problemem była dla nich nie jakość życia nieformalnych mieszkańców, lecz co najmniej ograniczenie rozwoju faweli, przez którą chciały przeprowadzić drogę. Wprowadzano więc rygorystyczne plany przestrzenne (miejscowi nie zwracali na nie uwagi), kilka razy próbowano wysiedlić część dzikich lokatorów. ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ Brazylijski urbanista Roberto Rocco przywołuje jedną szczególnie obrazową sytuację – przez długie lata na oficjalnych mapach miejskich Paraisópolis nie było oznaczone jako teren mieszkaniowy. Czyli z jednej strony mieszkało tam tysiące ludzi, z drugiej udawano, że ich nie ma. W obecnej polityce miejskiej São Paulo podejście uległo zmianie. Paraisópolis jest już częścią miasta: biedną, z licznymi społecznymi problemami, ale zorganizowaną i uznawaną. Co ciekawe, przez te długie lata bardzo mocno rozwinęły się więzi społeczne między mieszkańcami.

Między ludem a biznesem

Ktoś może uznać, że problemy z São Paulo nie występują w innych częściach świata. Nic bardziej mylnego. W tej sugestywnej historii znajdziemy wszystko, co może pojawiać się w innych miastach. Z jednej strony mieszkańców pragnących poprawiać swoje warunki życia. Z drugiej – siły rynkowe prące do tego, by tereny miejskie wykorzystywać w sposób najbardziej dochodowy. I w końcu – trochę zagubione władze miejskie, które najchętniej by siłom rynkowym uległy, ale zbyt drastyczne rozwiązanie problemu byłoby również dla nich dosyć kłopotliwe.

Amerykańska badaczka urbanistyki Susan Fainstein podaje liczne przykłady dylematów dotyczących zachowania należytych standardów w podejściu do zróżnicowanych mieszkańców miast. Wybierzmy dwa. Pierwszy dotyczy budowy nowego stadionu Jankesów na początku XXI w. w Nowym Jorku. Klub bejsbolowy zgłosił takie zapotrzebowanie, a miasto bardzo chętnie na to przystało. Teoretycznie nowy obiekt sportowy to świetna sprawa. Tyle że miał powstać na terenie miejskiego parku, chętnie odwiedzanego przez biedniejszych mieszkańców Bronxu. Ci poczuli się pokrzywdzeni, zauważali też, że inwestycja będzie skutkować masową wycinką wielu drzew. Miasto zaoferowało im jeszcze większą powierzchnię rekreacyjną, ale podzieloną na kilka obszarów – i nie od razu. Ostatecznie Jankesi dostali stadion, ale Fainstein zastanawia się, do jakiego stopnia można poświęcać interesy mieszkańców kosztem komercyjnych inwestycji. Rzecz jasna nie ma tu prostego rozwiązania.

Podobny dylemat dotyczył londyńskich doków (London Docklands). W latach 60. i 70. był to coraz bardziej niszczejący teren poprzemysłowy. Od początku nie było pomysłu na poprawę sytuacji okolicznych mieszkańców. Za rządów zaś Margaret Thatcher zastosowano typowo rynkowe rozwiązanie i zaczęto budować duże centrum biznesowo-finansowe. Dzięki ulgom podatkowym i różnorakim zachętom efekt osiągnięto. Kompleks biurowy Canary Wharf należy do największych i najważniejszych w mieście. Nie do końca jednak w całym tym procesie rozważono interesy biedniejszej ludności.

Przypadki takie można mnożyć. Jakże wdzięcznym materiałem dla tropicieli niesprawiedliwości przestrzennej są np. Dubaj, Doha czy Abu Zabi. I nie chodzi o to, że władze danego miasta nie są w stanie zaproponować idealnego rozwiązania. Problemem jest to, że z ich punktu widzenia interesy części mieszkańców są zdecydowanie mniej istotne, co uniemożliwia równy dostęp do korzyści i obciążeń. Zresztą kształtowanie sprawiedliwości przestrzennej w mieście nie sprowadza się do jednej decyzji. To szerszy proces. Badacze wyróżniają np. wymiar dystrybucyjny i proceduralny. Ten pierwszy skoncentrowany jest bezpośrednio na wyrównywaniu „korzyści i obciążeń". Drugi dotyczy podejmowania decyzji z udziałem możliwie najszerszych grup mieszkańców.



Nowy Jork. Drużyna Jankesów dostała stadion, mieszkańcy Bronxu stracili park.

Przykłady? Z wymiarem dystrybucyjnym sprawiedliwości przestrzennej badacze wiążą choćby Medellín w Kolumbii. Miasto było od wielu lat podzielone na części bogatsze i biedniejsze. Mieszkańcy biedniejszych dzielnic mieli bardzo utrudniony dostęp do centrum miasta, komunikacji czy przestrzeni publicznych. Władze miejskie zauważyły ten problem i potraktowały go na poważnie. Na początku XXI w. zaczęły opracowywać specjalny plan rozwoju dla północno-wschodniej, zdecydowanie najbiedniejszej części miasta. Rozbudowano komunikację, zainwestowano w biblioteki (otoczone terenami zielonymi), szkoły, ale także budynki o wysokiej jakości architektonicznej. Zaczęto również praktykować budżet partycypacyjny. W konsekwencji jakość życia w wielu miejscach zdecydowanie się poprawiła. Co prawda nowa sytuacja zaczęła generować kolejne konflikty i problemy, ale zdecydowanie o mniejszej skali niż te wcześniejsze.

Może być lepiej, nie musi być drożej

Dla odmiany przykład proceduralnej sprawiedliwości przestrzennej to praktyki stosowane w Los Angeles w latach 90. Miasto chciało inwestować w rozwój kolei kosztem transportu autobusowego, co uderzyłoby w biedniejszych mieszkańców korzystających przede wszystkim z tego ostatniego środka komunikacji. Pasażerowie zaczęli się jednak organizować i protestować, a władze miejskie – co najbardziej istotne – nie zignorowały ich głosu. Zorganizowano specjalną grupę roboczą, w połowie składającą się z urzędników, w połowie – z przedstawicieli mieszkańców. Wypracowała ona liczne, satysfakcjonujące dla obu stron warunki: z jednej strony utrzymanie transportu autobusowego, ale z drugiej – wynegocjowanie stawek biletów, w tym okresowych.

Liczne nowe badania, odnoszące się już do stanu z lat 20. XXI w., pokazują jednak, że nawet mimo dobrych intencji sprawiedliwości przestrzennej łatwo nie da się uzyskać. Weźmy program zazieleniania. Władze Montrealu wpadły na pomysł, aby połączyć ten cel z aktywnością obywatelską. I zadeklarowały, że sfinansują zazielenianie miejskich alej, pod warunkiem że wystąpi o to zorganizowana lokalna społeczność, która obieca, że będzie opiekować się nowymi zielonymi terenami. Cóż mogło pójść nie tak? Okazało się, że z wnioskami występowali znacznie częściej przedstawiciele lepiej sytuowanych dzielnic. To oni szybciej organizowali się we wskazanych sprawach.

eprasa.pl 50b67a7159

W konsekwencji mechanizmy zawarte w programie nie okazały się wystarczająco skuteczne z perspektywy kryteriów sprawiedliwości przestrzennej.

W North Minneapolis w biednej poprzemysłowej dzielnicy postanowiono urządzić park, który byłby miejscem ciekawych wydarzeń kulturalnych i oferowałby zróżnicowane atrakcje sportowe i rekreacyjne. Ten rozmach przestraszył lokalnych mieszkańców, którzy słusznie wskazywali, że tak duża zmiana może wpłynąć na ceny okolicznych nieruchomości i doprowadzić do wysiedlania najbiedniejszych. Miasto po części przyjęło te argumenty, spowalniając proces tworzenia licznych atrakcji i możliwości parku, by skupić się na przygotowaniu terenów zielonych. Niemniej w tym kontekście pojawiło się pytanie: czy mieszkańcy biedniejszych dzielnic z założenia nie mogą sobie pozwalać na bardziej rozwinięte parki rekreacyjne, bo od razu generuje to dla nich kolejne ryzyko?

A jak jest w Polsce?

Większość polskich miast powinna być dalej zazieleniana. Bardzo łatwo przy tej okazji ulec pokusie, by skoncentrować się na dzielnicach centralnych, tych najczęściej odwiedzanych. Nie chodzi więc o to, żeby tylko zwiększać powierzchnię zieleni w mieście: trzeba dbać o równomierny dostęp do niej dla poszczególnych mieszkańców. Dotyczy to również standardów w nowych dzielnicach mieszkaniowych. Różnie też może wyglądać równość dostępu do handlu i usług zdrowotnych – w wielu miastach najlepiej pod tym względem wypadają dzielnice centralne. Oczywiście sytuacja jest pod tym względem mocno zróżnicowana: dana dzielnica może mieć np. lepszy dostęp do handlu, a gorszy do placówek zdrowotnych.

Wskazane nierówności powinny być ograniczane przez działania oparte na spokojnych, pogłębionych refleksjach. I z tym mamy pewien instytucjonalny problem. Reforma prawa planowania przestrzennego z 2023 r. teoretycznie wprowadziła nowe narzędzia – strategie rozwoju z pogłębionym wymiarem przestrzennym oraz prawnie wiążące plany ogólne. Problem polegał jednak na tym, że czasu na ich przygotowanie było mało, a wprowadzanie konkretnych zasad nie zostało obwarowane wsparciem finansowym (np. związanym z odszkodowaniami dla właścicieli nieruchomości za wprowadzane ograniczenia przestrzenne). W takiej sytuacji poszczególne przepisy przyjmowano bardzo często w konfliktowej, nerwowej atmosferze, w której zabrakło czasu na spokojne rozważania o sprawiedliwości przestrzennej.

A przecież dyskusja o sprawiedliwości przestrzennej wymaga szerszego spojrzenia, wykraczającego poza doraźność, by całościowo spojrzeć na kwestie rozwoju miast i ograniczania nierówności.

MACIEJ J. NOWAK
Autor, prof. dr hab., pracuje w Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym w Szczecinie. Jest przewodniczącym Zespołu Prawno-Urbanistycznego Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN.

O miastach w kontekście antropogenicznej zmiany klimatu pulsar będzie rozmawiać z ekspertami w Lublinie podczas kolejnej dyskusji w cyklu „Podróż po wiedzę". Spotkanie odbędzie się we wtorek 20 października o godz. 18 w Chatce Żaka (ul. Idziego Radziszewskiego 16). Wstęp wolny.

© GETTY IMAGES

REKLAMA

STUDIOWAĆ
TWORZYĆ
ŻYĆ

FORUM KULTURY STUDENCKIEJ

DOŁĄCZ DO SIECI, KTÓRA KSZTAŁTUJE KULTURĘ MŁODYCH!

9-10.11.2026 / LUBLIN
ACKiM UMCS CHATKA ŻAKA / CENTRUM KULTURY W LUBLINIE

ORGANIZATORZY
UMCS
CHATKA ŻAKA

WSPÓŁORGANIZATORZY
CENTRUM KULTURY W LUBLINIE
Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej

PARTNERZY
NARODOWE CENTRUM KULTURY
Zarząd Uczelniany Samorządu Studentów
STOLICA KULTURY 2029
PROJEKT ZREALIZOWANY DZIĘKI WSPARCIU MIASTA LUBLIN
Lublin MIASTO INSPIRACJI

PATRONATY HONOROWE
MARSZAŁEK SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ Małgorzata Kidawa-Błońska
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Patronat Marszałka Województwa Lubelskiego Jarosława Stawiarskiego
PATRONAT HONOROWY
PREZYDENT MIASTA LUBLIN KRZYSZTOF ŻUK
Patronat Przewodniczącej KRASP
PATRONAT HONOROWY JM REKTORA UMCS
UNIA METROPOLII POLSKICH
Polska Komisja Akredytacyjna
KONFERENCJA REKTORÓW NIEPUBLICZNYCH SZKÓŁ WYŻSZYCH
Krajowa Reprezentacja Doktorantów KRD
DFUP
eurodesk Polska

Współfinansowane ze środków Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

ZAREJESTRUJ SIĘ
kulturastudencka.umcs.pl

eprasa.pl 50b67a7159



Róża „Marian Turski”

Pachnące pomniki

Dlaczego Marian Turski został białą różą oraz jak krzyżowcy i pszczoła zmienili historię europejskich odmian, opowiada hodowca Łukasz Rojewski.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Mamy październik. Co dzieje się teraz z różami – to już dla nich koniec sezonu czy wciąż mają coś do roboty?**

ŁUKASZ ROJEWSKI: – Przypomina mi się piosenka „Jesienne róże” i jej herbaciane kwiaty. Jest w tym obrazie coś prawdziwego: jesienią róże potrafią wyglądać zupełnie inaczej niż latem. Kwiaty, które w ostrym słońcu bladły, przy chłodniejszych dniach nabierają głębszych odcieni. Czasem trudno uwierzyć, że to ta sama odmiana. Niektóre róże nadal pięknie kwitną, ale krótszy dzień i chłód są już dla nich sygnałem, by powoli przygotowywać się do zimy.

A „Marian Turski”, wyhodowany przez pana na 100-lecie urodzin naszego redakcyjnego kolegi i rosnący od czerwca przed muzeum POLIN, też sobie jesienią jakoś poradzi?

Wciąż kwitnie. Jednak temperatury spadające poniżej dziesięciu stopni stopniowo wyhamowują jego wzrost i tworzenie nowych kwiatów. I bardzo dobrze. Róża ma teraz ważną pracę do wykonania – musi dojrzeć przed zimą i zgromadzić w pędach zapasy, m.in. cukry. Pomagają one chronić komórki podczas mrozów. Można powiedzieć, że gdy my podziwiamy jej ostatnie kwiaty, ona po cichu szykuje się już na pierwszy śnieg.

Dlaczego tak nazwał pan tę różę?

Żyjemy w czasach, w których trudno odróżnić prawdę od kłamstwa, jest mnóstwo przekłamań, półprawd czy ćwierćprawd...

Marian Turski był żywym dowodem, że prawda jest jedna, a jego nawoływanie, aby nie być obojętnym, jest dziś szczególnie ważne. Poza tym to fascynująca postać. Wybrałem dla niego białą różę o dużych kwiatach, bo od dawna pojawia się ona w ważnych momentach życia przy narodzinach, ślubach i śmierci.

Gdy nadaje pan różom imiona konkretnych ludzi, najpierw jest człowiek czy róża?

Bezimienne siewki oznaczone numerami. Nazwy szukam dla kwiatu. Jeśli ma to być jakaś postać historyczna, to jest to ogromne wyzwanie, ponieważ mamy o nich jakieś wyobrażenia. Kościuszko był niewysoki, więc jego róża jest miniaturą, ale silną i wytrzymałą, o intensywnym kolorze krwi. Czasami pewne cechy są narzucone – „Warszawa w kwiatach” prosiła, by róża „Stefan Starzyński” była żółta, więc taka jest i ma charakterystyczny cukierniczy aromat.

Dostając nazwę człowieka, róża staje się pomnikiem, tyle że ten powinien trwać, a kwiat kojarzy się z czymś ulotnym.

Róże na pewno nie są ulotne i mogą być naprawdę długowieczne. W Hildesheim w Niemczech na ścianie apsydy katedry pnie się róża psia, *Rosa canina*, którą

eprasa.pl 50b67a7159

według legendy zasadził w 815 r. cesarz Ludwik Pobożny, syn Karola Wielkiego, a dokumenty potwierdzają jej obecność w tym miejscu od setek lat.

Czyli „Marian Turski" może nas przeżyć?

Może, chociaż zależy to od wielu czynników. Żeby odmiana trwała, musi być zdrowa. My, hodowcy, ciągle walczymy z czasem, bo patogeny nie śpią i w końcu potrafią przełamać odporność odmiany. Poza tym róża mimo upływu czasu i zmieniających się mód nadal musi się podobać i pachnieć. Woń „Mariana" jest ziemista, z nutą mirry o silnie drzewnym charakterze. Każdy może go powąchać przed muzeum Polin w Warszawie. Po pierwszym kwitnieniu ścina się go do połowy i mniej więcej po sześciu tygodniach znowu kwitnie.

W Europie róża zawsze była królową kwiatów?

Od dawna zastanawia mnie, dlaczego w tylu kulturach obrastała podobną symboliką. W świecie grecko-rzymskim łączono ją z Afrodytą i Wenus, boginiami miłości i pożądania. W ich wyobrażeniach pobrzmiewają wpływy ze Wschodu – fenickiej Astarte, a jeszcze wcześniej w Mezopotamii mamy Inannę i Isztar, boginie miłości i seksualności, ale zarazem wojny. Nie są to oczywiście te same boginie, jednak pewne wyobrażenia wędrowały między kulturami. I róża świetnie mieści się w tej dwuznaczności – jest piękna i pachnąca, ale ma kolce, twarde pędy i potrafi być niezwykle odporna, dlatego może symbolizować nie tylko miłość, lecz także odwagę czy męstwo.

Na Cyprze, wyspie Afrodyty, archeolodzy znaleźli liczącą prawie cztery tysiące lat manufakturę perfum. Być może już wtedy, wykorzystując maceрację płatków, wytwarzano tam olejek różany. Na pewno natomiast w czasach grecko-rzymskich różane pachnidła były głównym produktem eksportowym wyspy.

Rzymianie uwielbiali alby – białe albo bladoróżowe, bardzo wonne róże, kwitnące raz w roku. Jest nawet opowieść o hedoniście Epikurze, który zapytany przez ucznia, gdzie można znaleźć przyjemność, kazał mu pójść na cmentarz, gdzie kwitnie cudownie pachnąca alba. Potem Europa o różach zapomniała, bo chrześcijaństwo wyparło dużą część jej wcześniejszej symboliki. Po siedmiu stuleciach przypomniano sobie o niej, ale już w innej rzeczywistości.

W średniowieczu staje się jednocześnie kwiatem czystości i zmysłowej miłości, jak czytamy w pełnej alegorii *Roman de la Rose* z XIII w.

W połowie średniowiecza wróciła z triumfem do literatury i ikonografii, zaczęła też nabierać nowych znaczeń, symbolizując wszelkie odcienie miłości, również czystość i wierność, ale i siłę. Gdy krzyżowcy przywieźli z Bliskiego Wschodu czerwoną różę damasceńską, która została nazwana „francuską" (*galica*), trafiła ona do herbów i na chorągwie. Wojna dwóch róż to wojna między rodem Lancasterów, którzy mieli w herbie *galicę*, oraz rodem Yorków, szczycącym się znakiem pięknej alby.

Czy któraś z tych dawnych róż możemy jeszcze dzisiaj powąchać?

Oczywiście. Róża damasceńska wciąż istnieje i jest uprawiana m.in. w Bułgarii, to właśnie klasyczna różowa, silnie pachnąca róża, którą kojarzymy z tamtejszym olejkiem różanym.

Tylko dawne europejskie róże miały pewną wadę – kwitły raz i koniec?

Hodowcy poradzili sobie z tym w XVIII w., który był dla nich przełomowy. Najpierw niemiecki botanik Max Ernst Wichura z wyprawy do Japonii przywiózł *Rosa wichuraiana*, która dała europejskim różom elastyczne pędy i odporność na mrozy. Potem z Chin trafiły do nas *Rosa multiflora* oraz *Rosa chinensis* – tej pierwszej zawdzięczamy nowe formy, kolory i zapachy, a tej drugiej wielokrotne kwitnienia. Zaczęło się od wyspy Reunion na Oceanie Indyjskim, gdzie posiadłości kolonistów odgradzano różami sprowadzonymi z Francji, jak i tymi z Dalekiego Wschodu. Dzięki jakiejś pszczole wyrosła róża, która nie powinna zakwitnąć jesienią. Gdy Edouard Périchon zobaczył odmieńca, zebrał jego nasiona i wysłał do Paryża. Z pięciu wyhodowanych tam siewek dwie powtórzyły kwitnienie.



Łukasz Rojewski – hodowca nowych odmian róż i projektant ogrodów, założyciel i pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Różanego, członek Klubu Hodowców Światowej Federacji Towarzystw Różanych. Stworzył ok. 80 odmian, wśród nich wielokrotnie nagradzane na międzynarodowych konkursach.

Stało się to jeszcze kilkadziesiąt lat przed Mendlem, hodowcy najpierw zobaczyli efekt krzyżowania, a dopiero później nauka wyjaśniła im jego mechanizmy.

Ludzie dużo wcześniej obserwowali spontaniczne mutacje i jestem przekonany, że je wykorzystywali na długo przed pierwszymi udokumentowanymi przykładami. Jednak świadoma hodowla to dopiero przełom XVIII i XIX w. Modę na rozaria i nowoczesną hodowlę róż zapoczątkowała kolekcja tych kwiatów cesarzowej Józefiny w Château de Malmaison w podparyskim Rueil-Malmaison. Jej ogrodnik André Dupont zaczął krzyżować róże europejskie z chińskimi, ale dopiero po śmierci jego chlebodawczyni udało mu się wyhodować nową odmianę, która wielokrotnie kwitła. W 1843 r. Jean Béluze wyhodował „Souvenir de la Malmaison", która stała się jedną z najważniejszych róż burbońskich, będących krzyżówką odmian europejskich i azjatyckich.

A Anglicy, wielbiciele ogrodów, nie mieli żadnych różanych zasług?

W drugiej połowie XX w. wielką rolę odegrał David Austin, który wpadł na pomysł, żeby połączyć urodę i zapach starych róż z powtarzaniem kwitnienia róż nowoczesnych. Odniósł taki sukces, że inni hodowcy zaczęli tworzyć róże w podobnym stylu – wśród nich rodziny od pokoleń zajmujące się hodowlą róż, jak Meilland we Francji i Kordes w Niemczech.

A my mieliśmy przed panem jakichś hodowców?

Tak, choć nasza tradycja jest znacznie skromniejsza. Za pierwszą znaną polską odmianę uważa się „Księżniczkę Rozalię Czartoryską". W 1900 r. ogrodnik Ludwik Więckowski zauważył w Woli Justowskiej pod Krakowem, że na krzewie wspomnianej już „Souvenir de la Malmaison" jedna gałązka wydała biały ▶

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 50b67a7159

▶ kwiat. To była samoistna mutacja, którą rozmnożył, sprawdził, czy nowa cecha się utrzymuje, i nadał jej własną nazwę. Później mieliśmy Leopolda Grąbczewskiego, który stworzył między innymi „Warszawę" i „Mazowsze", czy Stanisława Żyłę, hodowcę „Chopina". Niestety ponad połowa z ok. 40 dawnych polskich odmian zaginęła w wyniku wojen. Dziś znamy je tylko z opisów.

Jak się wymyśla różę?

Przede wszystkim trzeba dobrać matkę i ojca. Pewne cechy potrafimy przewidzieć, bo znamy długie linie hodowlane, obserwujemy siewki i widzimy, jakie geny są przekazywane. Ale natura nadal potrafi zaskoczyć. Różę, która ma być matką, trzeba wykastrować, czyli usunąć jej płatki i pylniki, żeby nie zapyliła się własnym pyłkiem. Potem wziąć pyłek od wybranego ojca i nałożyć go palcem albo pędzelkiem. Gdy powstaje owoc, wydobywa się z niego nasiona, które muszą przez pewien czas przebywać w chłodzie, by zakiełkować. Po ich wysianiu zaczyna się najtrudniejsze – selekcja. Bo od zapylenia do decyzji, że róża wejdzie na rynek pod własną nazwą, mija 8–9 lat. Trzeba obserwować, jak zachowuje się w różnych glebach, temperaturach. Z ogromnej liczby siewek na końcu zostaje niewiele.

Mimo to wyhodowano już ponad 40 tys. odmian, coś jeszcze pozostało do wymyślenia?

Bardzo dużo. Nie ma chyba drugiej rośliny dającej tyle możliwości – kolor, układ płatków, regularność albo bałagan, wielkość kwiatów, pokrój krzewu. Mamy róże pięciopłatkowe i stulistne, pnące, krzaczaste, drobno- i wielkokwiatowe. A do tego dochodzi totalne wariactwo zapachowe.

No właśnie. Mówimy „pachnie różą", jakby róża miała jeden zapach.

Są kwiaty bezwonne, a z tych, co pachną, tylko jedna czwarta pachnie różą, inne mają nuty skoszonej trawy, jabłka, korzenne – gałki muszkatołowej, goździków, albo owocowe – mango, liczi, melona. Jest piżmo, są też zapachy, które możemy uznać za brzydkie, jak zapach starej szuflady. Intensywność zapachu wiąże się z porą dnia i fazą kwitnienia oraz kolorem, bo w tych jasnych częściej występują zapachy lżejsze, zielone, konwaliowe czy piżmowe, ciemniejsze potrafią pachnieć cięższej i bardziej wyraziście.

Czy tworząc nową odmianę, można zaprojektować zapach?

Jest to szczególnie trudne, bo geny za niego odpowiedzialne są często recesywne, więc natura robi swoje. Chociaż znalazłem dwie matki, które praktycznie zawsze dają pachnące potomstwo. Swoją drogą woń róż może być dość osobliwa. Na przykład mój „Gorsecik warszawski" ma różowe kwiaty przypominające mi ceramiczne płytki, które stosowano kiedyś w warszawskich łazienkach. Do tego pachnie proszkiem Polleny, którym w czasach PRL wszyscy szorowaliśmy łazienki. Ale to skojarzenie raczej dla ludzi 45 plus.

Młodsi najwyżej wyczują coś innego.

Zapach jest bardzo złożony, a interpretacja wrażeń następuje w mózgu, więc każdy może odbierać go trochę inaczej. W moim „Eliksirze szczęścia" perfumiarze opisali nutę różaną, hiacynt, ouzo i miks kwiatowy. Mało kto wyczuje wszystko osobno, raczej odbieramy zapach jako całość. Dlatego namawiam ludzi, żeby wąchali róże i próbowali szukać własnych skojarzeń. Węch można trenować. U zawodowych perfumiarzy obserwowano różnice w obszarach mózgu związanych z przetwarzaniem zapachów, a ich wielkość wiązała się z doświadczeniem zawodowym. To sugeruje, że wieloletni trening węchowy zmienia mózg. Na lepsze. Poza tym piękny zapach powoduje wyrzut endorfin i poczucie szczęścia. Jak patrzę na ludzi wąchających kwiaty, to zaczynają się uśmiechać, rysy ich twarzy się rozluźniają, a spojrzenie łagodnieje.

Piękny kwiat i niezwykły zapach wystarczą, żeby hodowca powiedział: mam świetną różę?

Nie. Dzisiaj wszystkie róże wychodzące spod mojej ręki przede wszystkim muszą być zdrowe i odpowiadać na zmieniające się warunki – okresowe susze, wysokie temperatury, dziwne jesienie, po których gwałtownie przychodzi zima. „Zdrowe" oznacza dla mnie także takie, przy których nie trzeba stosować chemii. To jest obecnie największe wyzwanie. Dziesięć lat spędziłem na hodowli róż zimotrwałych, takich, których w ogóle nie trzeba okrywać. Po czym klimat się ocieplił. Okazało się jednak, że geny, które wykorzystałem – m.in. pochodzące od alb – sprawiły, że część tych róż jest również bardzo odporna na suszę. Pracowałem nad jednym, a dostałem dodatkowo coś innego.

Skąd pan wie, że stworzył coś dobrego?

Wysyłam nowe odmiany na międzynarodowe konkursy. Trafiają tam pod numerami, bez nazw hodowców, i rosną nawet przez dwa lata. Komisje wielokrotnie oceniają siłę i długość kwitnienia, odporność, zachowanie płatków, zapach. Na finał przyjeżdża międzynarodowe jury, czasami perfumiarze. Być zauważonym wśród 200 odmian i wygrać jest bardzo trudno, a moje „Pachnidło" w ciągu dwóch lat zdobyło sześć złotych medali.

Ma pan już ok. 80 własnych odmian. Jest wśród nich róża doskonała?

Piękno jest względne, mody się zmieniają, a nasza praca nie polega tylko na zwiększaniu *glamour*. Moją ulubienicą jest „Tańcząca Rusałka". Zaczyna kremowo i wtedy pachnie, potem zmienia kolor na różowy, następnie pistacjowy, a na końcu brązowieje. Kwiaty utrzymują się na krzewie bardzo długo i pięknie się starzeją.

Pistacjowa róża brzmi trochę dziwnie.

Na Politechnice Łódzkiej zbadaliśmy jej płatki i okazało się, że pojawia się w nich chlorofil. Być może wiąże się to również z ich trwałością. I właśnie takich rzeczy szukamy: nowość w hodowli ma oznaczać nie tylko „ładniejsze", ale też odporniejsze.

Skąd ta obsesja na punkcie róż?

Jako młody chłopak mieszkałem we Francji, bo chciałem zostać mnichem. Trafiłem w okolice Lyonu, gdzie tradycja hodowli róż ma ok. 200 lat. W tamtejszych wioskach widać stare odmiany o grubych pniach, wyglądające niemal jak drzewa albo krzewy z kwiatami wielkimi jak dłonie. Podczas jednego ze spacerów zobaczyłem, jak przez niewysoki murek przelewa się mgiełka maleńkich różowych kwiatków, wielkości paznokcia. W pąku były idealnie, regularnie złożone, a po rozwinięciu – kompletny bałagan i chaos. Wyglądało to jak lekko różowa chmura. Zrobiło na mnie ogromne wrażenie: coś jednocześnie ulotnego, perfekcyjnie symetrycznego i chaotycznego. Jeszcze we Francji zrobiłem swoją pierwszą krzyżówkę.

Ale mnichem pan nie został.

Nie. Wyjechałem i nawet nie zdążyłem zebrać owoców z tej pierwszej krzyżówki.

Za to hodowanie róż wymaga cierpliwości. Czyli mnich w panu pozostał?

Z natury nie jestem cierpliwy. Tylko przy różach.

A kiedy po tych wszystkich latach pojawia się kwiat, którego wcześniej na świecie nie było – nie ma pan czasem poczucia, że to trochę zabawa w Boga?

Trochę tak. Stwarzam nowe. I to jest wielka radość.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 50b67a7159



ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Lek na lęk

Strach to dziś najważniejsza waluta polityki. O emocjach, populizmie i polityce ciągłej konfrontacji mówi prof. Helena Flam, socjolożka emocji.

MARCIN ZAREMBA: **– „Płynny lęk" – czy to określenie wymyślone przez Zygmunta Baumana dobrze opisuje nasze czasy?**

HELENA FLAM: – Mam wobec niego zastrzeżenie: w jego wizji strachu brakuje wojny. A przecież dziś w Polsce strach przed rosyjską inwazją jest bardzo silny, w Niemczech wraca falami, w całej Europie wojna przestała być czymś odległym. To nie znaczy, że wcześniej jej nie było. Mieliśmy zimną wojnę, kryzysy nuklearne, w 1982 r. Wielka Brytania starła się z Argentyną o dominację nad Falklandami, w latach 90. wybuchł konflikt na Bałkanach. Tymczasem tylko wyjątkowo socjolodzy zajmowali się wojną. Bauman, chociaż napisał „Nowoczesność i Zagładę", należał do pokolenia naukowców, które patrzyło na modernizację, pracę, klasy społeczne, mobilność, a nie na przemoc i społeczeństwo wobec wojny. Ale wojna wróciła jako doświadczenie europejskie – nawet jeśli nie wszędzie bezpośrednie.

Bauman pisał o „płynnym lęku" jako o niepokoju rozproszonym, trudnym do uchwycenia. Ale polityka potrzebuje wskazać winnego, zagrożenie, obiekt.

Polityka przekuwa to, co rozproszone, w wyraźny obraz. Lęk krąży w społeczeństwie, a politycy wskazują palcem: migranci. Bruksela, elity. I to jest moment, gdy uczucie, które nie miało twarzy, dostaje ją. A wtedy można iść do wyborów.

Gdyby miała pani wymienić jedną główną emocję naszych czasów, jaką by pani wskazała?

Raczej nie szukałabym jednego wspólnego mianownika. Jedni żyją lękiem klimatycznym, inni poczuciem degradacji społecznej, jeszcze inni strachem przed wojną albo bezrobociem. Ale jeśli miałabym wskazać emocję szczególnie ważną dla populizmu, powiedziałabym: upokorzenie. Albo jeszcze precyzyjniej: poczucie, że stało się porządnie w kolejce po godne życie, a nagle ktoś inny wepchnął się przed nas. To bardzo ważne: upokorzenie jest nie tylko prywatnym smutkiem. Ono domaga się uznania i rewanżu. Polityk populistyczny potrafi powiedzieć: widzę twoje poniżenie, pokażę ci, kto jest winien, i przywrócę ci poczucie godności. ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ Wyborcy, którzy kupili ten język, są dobrze opisani.

W Stanach Zjednoczonych analizowano elektorat Donalda Trumpa; to są ludzie, którzy ciężko pracowali, z przekonaniem, że należą im się szacunek i stabilność, a potem zobaczyli, że nowa kultura – feminizm, LGBT, poprawność polityczna – koncentrują uwagę i przywileje na kobietach, mniejszościach, wykluczonych. I zaczęli te grupy postrzegać jako tych, którzy ich wyprzedzili. Trump daje im moment katharsis. Kiedy kpi z elit, migrantów, osób z niepełnosprawnościami czy z kobiet, przez chwilę czują, że ich upokorzenie zostało nazwane i pomszczone. To oczywiście nie rozwiązuje żadnego problemu ekonomicznego, nie poprawia jakości kształcenia, opieki zdrowotnej ani warunków pracy. Ale daje afektywną ulgę: ktoś wreszcie powiedział na głos to, czego oni sami często wstydzili się powiedzieć.

Czyli to nie jest tylko gniew, ale także obietnica odzyskania godności?

Właśnie. Populizm nie działa wyłącznie dlatego, że straszy. Działa, bo mówi ludziom: wcale nie jesteście przegrani, zostaliście oszukani. Wasze poczucie krzywdy ma sens, wasza złość i zawiść są usprawiedliwione, wasza nostalgia jest dowodem przyzwoitości. To bardzo silna mieszanka. Człowiek, który czuje się odstawiony na bok, nagle słyszy, że jest prawdziwym członkiem narodu, jego rdzeniem, solą ziemi. To jest polityczne przywracanie godności, ale oparte na wykluczeniu innych. Populista mówi: twoje poniżenie nie jest prywatne. Ono jest częścią wielkiej historii narodu. Twoje oburzenie może zostać włączone do projektu odbudowy państwa, wspólnoty, dawnej wielkości. To jest most między pojedynczą duszą a wielkim projektem zbiorowym.

W tym sensie hasła o „powrocie wielkości" działają i dlatego, że są programem, i dlatego, że są obietnicą emocjonalną?

Tak. Hannah Arendt pisała o tym w kontekście Niemiec po pierwszej wojnie światowej. Ludziom upokorzonym Hitler oferował perspektywę ogromną: tysiąc lat, wielką „przestrzeń życiową", wzniosłe przeznaczenie. Dziś mechanizm jest podobny w strukturze. Prawdziwy Polak, prawdziwy Szwed, Złota Jutrzenka w Grecji, wielka Ameryka – to są różne języki tej samej obietnicy. Jednostkowe rozgoryczenie zostaje przetłumaczone na narodowy mit.

Czy polityka bez emocji w ogóle może istnieć?

Nie. Opowieść była taka: przywódcy są racjonalni, a masy irracjonalne, więc zadaniem polityków jest podsycać i kanalizować te emocje. To był mit elitarny. Politycy zawsze byli emocjonalni. Wystarczy spojrzeć na rywalizację wigów i torysów w Anglii od drugiej połowy XVII w.: piwo się lało, emocje były podsycane, głosy organizowane. A ci, którzy rozdawali piwo, też nie stali daleko od beczki. Racjonalny wyborca w czystej postaci to także mit. Ludzie kierują się własnymi interesami, prywatą, a interesy nie są zimnymi wzorami matematycznymi. Są zanurzone w lęku, nadziei, zawiści, dumie, poczuciu bezpieczeństwa. Politologia długo udawała, że da się to oddzielić: tu interes, tam emocja. Ale w życiu społecznym one są splecione. Ponadto media społecznościowe zmieniły strukturę emocji politycznych. Wzmocniły pewne zjawiska. Hejt, paranoja, teorie spiskowe, nienawiść wobec grup – to wszystko jest świetnie widoczne online.

Mamy też nowe zjawisko: amerykanizację polityki.

Model amerykański przesunął uwagę z partii jako całości na kandydata jako osobę: kluczową rolę odgrywają jego charakter, twarz, ciało, styl mówienia. Czasem wygrywa ten, kto lepiej płacze. Hillary Clinton, która podczas prawyborów w 2008 r. straciła głosy w Iowa, rozpłakała się, dzięki czemu uznano ją za bardziej ludzką, mniej chłodną i skalkulowaną, a to dało jej wygraną w New Hampshire. Barack Obama płakał po masakrze w szkole Sandy Hook w Newtown w 2012 r. W Polsce szerokim echem odbiło się przemówienie Szymona Hołowni, który płakał w 2020 r., mówiąc o Konstytucji RP. Dawniej, po drugiej wojnie, polityka polegała na sztuce opanowania emocji: proste plecy, poważna twarz, język instytucji. Taki był Charles de Gaulle, prezydent Republiki Francuskiej od 1959 r. Dziś coraz częściej liczy się umiejętność występów publicznych, co przypomina grę sceniczną.

Czyli język polityków populistycznych też jest częścią tej ekspresji?

Tak. W ich przypadku chaotyczna, rwąca się, powtarzająca się mowa jest odrzuceniem, buntem wręcz przeciwko językowi elit. Najlepszym przykładem jest nieokiełznany potok słów Donalda Trumpa i obrazy, którymi obrzuca poszczególne grupy i osoby. Właśnie dlatego dla jego wyborców brzmi jak swój. Polska miała prezydenta Lecha Wałęsę z jego słynnym „jestem za, a nawet przeciw" – zdaniem logicznie niemożliwym, a jednak zapamiętanym. Taki język omija wyrafinowane normy debaty i mówi bezpośrednio do emocjonalnego doświadczenia ludzi. Ma dawać rozpoznanie: on mówi tak, jak ja czasem myślę, tylko ja bym się wstydził to powiedzieć głośno.

Dlaczego strach przed migrantami działa nawet tam, gdzie kontakt z nimi jest niewielki?

Bo nie chodzi wyłącznie o migrantów. W 1964 r. w Niemczech milionowego gastarbeitera – był Portugalczykiem – powitano kwiatami i motorem jako prezentem. Robotnicy z zewnątrz byli gospodarce niezbędni. Potem przyszedł kryzys paliwowy lat 70., a z nim bezrobocie i lęk przed utratą statusu. Partie skrajne zaczęły wtedy głosić hasła skierowane przeciw imigrantom. Partie głównego nurtu zaczęły reagować na konkurencję, a media powtarzały ten język. To był długi proces. Migrant stał się wygodną figurą, bo można było na niego przenieść lęki, z którymi polityka nie umiała się uporać: o pracę, szkoły, szpitale, mieszkania, przyszłość dzieci. W Polsce i w innych krajach regionu dochodzi coś jeszcze: państwa, które przez dekady wysyłały emigrantów, nagle stały się atrakcyjnym celem dla imigrantów. To bywa trudne, nawet gdy liczby tych ostatnich są niewielkie.

Czy politycy rozpoznają istniejący lęk, czy sami go produkują?

Granica jest bardzo cienka. Są lęki realne: przed bezrobociem, degradacją, utratą kontroli nad życiem. Badania pokazują, że osoby obawiające się bezrobocia częściej mają postawy antyimigranckie. Ale polityka te lęki uruchamia i przekierowuje. Jestem tu marksistką z akcentami weberowskimi. O ile filozof Karol Marks pisał o klasach, o tyle socjolog Max Weber – o klasach i statusie. W momentach kryzysu ekonomicznego politycy bardzo często nie mówią o klasach, podatkach, świadczeniach państwowych, tylko o różnicach statusowych – między nami a nimi, migrantami, większością a mniejszościami. Kozioł ofiarny się zmienił. To już nie zawsze Żyd, Cygan, „rozwiązły" artysta. Dziś bardzo często jest nim migrant. To pozwala nie mówić o tym, że państwo nie ma pieniędzy na szkoły, szpitale, opiekę. Nie trzeba pytać, dlaczego wielkie fortuny są nisko opodatkowane. Wystarczy powiedzieć: zabierają wam obcy.

Jak grupa ludzi staje się „zagrożeniem emocjonalnym"?

Przez język i obraz. Trzeba ich oderwać od konkretu – od człowieka, który pracuje, ma rodzinę, choruje, boi się, śmieje – i zamienić w symbol. W historii Europy mamy ogromny zasób takich

eprasa.pl 50b67a7159

symboli: obcy jako choroba, brud, dzikość, pasożyt, zagrożenie dla kobiet, dzieci, narodu. W kampaniach politycznych to działa bardzo skutecznie. Wystarczy plakat, metafora, jedno słowo. Weźmy stojące na czerwono-białej fladze Szwajcarii trzy białe owce, z których jedna wykopuje czarną owcę. Ten plakat Szwajcarskiej Partii Ludowej z hasłem „Zapewnij bezpieczeństwo" opublikowany przed wyborami parlamentarnymi w październiku 2007 r. mówił więcej i dobitniej niż dziesięć stron programu politycznego.



Helena Flam
po wyjeździe z Polski w 1969 r. studiowała na Uniwersytecie w Lund w Szwecji. Na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku skończyła socjologię, tam też się doktoryzowała. Obecnie jest emerytowaną profesorką socjologii w Lipsku. To jedna z najwybitniejszych badaczek emocji.

Wróćmy jeszcze do historii. Francuski badacz Jean Delumeau pisał o strachu jako jednej z podstawowych sił organizujących kulturę Zachodu w epoce nowożytnej. Czy każda epoka ma swój dominujący strach?

Tak, ale zawsze trzeba pytać: gdzie, dla kogo, w jakiej sytuacji? Strach jest usytuowany. Inny jest strach inwestora przed ryzykiem, inny strach dziecka przed śmiercią rodzeństwa w epoce epidemii, inny strach robotnika przed utratą pracy, inny strach kobiety przed przemocą domową. Wybitny niemiecki socjolog Thomas Luckmann powiedział mi, gdy chciałam badać mozaikę strachów w socjalizmie, że podstawą wszystkich strachów jest lęk przed śmiercią. I rzeczywiście: przez stulecia śmierć była obecna w domu i na ulicy. Dziecko widziało śmierć rodzeństwa, dorośli żyli z epidemią, głodem, przednówkiem. Dziś śmierć została zmedykalizowana, odsunięta, ukryta w szpitalach. Oburzamy się, gdy lekarz nie potrafi szybko postawić diagnozy i wdrożyć właściwej terapii. To pokazuje, jak bardzo zmienił się wachlarz strachów. Co nie znaczy, że jesteśmy spokojniejsi. Raczej lękamy się i boimy inaczej.

XX-wieczna nowoczesność obiecywała wyzwolenie od strachu?

W pewnym sensie tak: antybiotyki, szczepienia, szpitale, biurokracja, państwo opiekuńcze – to wszystko realnie odsunęło od nas wiele dawnych lęków. Ale po drugiej wojnie światowej nastąpiła też ucieczka w racjonalność. Nauka udowadniała: jesteśmy racjonalni. Prawo, administracja, zarządzanie twierdziły to samo. Mówienie o emocjach było podejrzane, bo emocje kojarzyły się z faszyzmem, nazizmem, masową mobilizacją. Lepiej było udawać, że instytucje są chłodne i rozsądne. Tyle że emocje nie zniknęły. Zostały zamiecione pod dywan. Nawet żałoba musiała być opanowana: łzy mogły płynąć, ale trzeba było zachować stoicką godność. Dopiero później przyszła większa indywidualizacja i przyzwolenie na ekspresję.

Kiedy ten powojenny mit racjonalności zaczął pękać?

W latach 70., które przyniosły kryzys paliwowy, stagflację, bezrobocie. Organizacje, które po wojnie porządkowały społeczeństwa – partie, związki zawodowe, instytucje państwa – zaczęły tracić zdolność przywiązywania ludzi do siebie. Partie polityczne przestawały być obiektami entuzjazmu. W tej sytuacji emocje znalazły nowych gospodarzy: ruchy społeczne i terapie, a później media społeczne i populistów. Do tego doszedł język psychologiczny, terapeutyczny kapitalizm, który legitymizuje mówienie o emocjach.

Czy demokratyczna polityka emocji jest możliwa? Taka, która nie opiera się na strachu, lecz na zaufaniu, solidarności i nadziei?

Były takie próby. Szwedzki model państwa dobrobytu przez pewien czas, zwłaszcza w latach 70., był obiektem podziwu. Sama go doświadczyłam jako emigrantka i dobrze o nim myślałam. To była obietnica bardzo konkretna: bezpieczeństwo, przewidywalność, świadczenia ze strony państwa, poczucie, że państwo nie zostawi człowieka samego sobie. Ale nawet taki model może się zbiurokratyzować, może stworzyć oligarchię władzy. Dlatego demokracja potrzebuje żywego społeczeństwa obywatelskiego, mechanizmów oddolnej mobilizacji, instytucji, które chronią spontaniczność i forsują potrzebne reformy. Sama dobra wola rządzących nie wystarczy. Państwo opiekuńcze bez obywatelskiej energii może szybko stać się odgórnie sterowane, zbiurokratyzowane i martwe.

To brzmi jak powrót do socjaldemokracji.

Tylko nie wiem, czy dawny język socjaldemokracji jeszcze działa. Hasła o likwidowaniu różnic klasowych, redystrybucji dóbr czy solidarności klasowej dla wielu ludzi brzmią jak wyjęte z muzeum. Nie dlatego, że problemy zniknęły. Przeciwnie: nierówności są ogromne, państwa mają coraz słabszą bazę podatkową, infrastruktura się starzeje, szkoły i szpitale cierpią. Ale trzeba znaleźć język, który nie będzie brzmiał jak referat z historii ruchu robotniczego. Może zamiast mówić o równości klasowej, lepiej powiedzieć o wygodzie, komforcie w życiu codziennym. Dla wszystkich.

To hasło pomoże liberalnej demokracji odzyskać zdolność mobilizacji?

Tego nie wiem, w każdym razie nie wystarczy dziś powtarzać: Europa, globalizacja, racjonalny program. To przemawia do ludzi, którzy już podróżują, czują się częścią świata, mają kapitał kulturowy. Inni potrzebują wizji życia, która jest bliska i dotykalna. Dawny język likwidowania różnic klasowych czy redystrybucji często już nie działa. Może trzeba mówić o komforcie – materialnym i emocjonalnym. O mieście, w którym dobrze działa komunikacja, jest czysto, są ławki, można usiąść, porozmawiać, spotkać innych ludzi, czuć się bezpiecznie. O państwie, w którym nie trzeba żyć w panice, że choroba, starość rodziców albo utrata pracy natychmiast zniszczą rodzinny budżet. Komfort dla wszystkich – to brzmi mniej ideologicznie, a dotyka codziennego życia. I może właśnie dlatego może być politycznie skuteczne.

Na koniec osobisty obraz: wraca pani do Warszawy jako emigrantka Marca '68 i mówi pani o komforcie, patrząc na to miasto.

Jestem pod wielkim pozytywnym wrażeniem. Tramwaje jeżdżą, ulice są czyste, pojawiła się zieleń, woda, ławki, miejsca, gdzie można posiedzieć. To są pozornie drobiazgi, ale one tworzą życie społeczne. Ławka oznacza okazję do rozmowy – dla starszych osób, rodzin, przypadkowych znajomych. Kawiarnie i winiarnie są też miejscami spotkań. Widać, co można osiągnąć, jeśli polityka miejska myśli o komforcie. I to nie jest błaha kategoria. Komfort to nie luksus dla bogatych, tylko brak codziennego upokorzenia: że autobus nie przyjechał, lekarz jest niedostępny, ulica jest wroga, a państwo nie odpowiada na potrzeby obywateli. Może właśnie tak demokracja powinna mówić o sobie: nie wielkimi abstrakcjami, ale obietnicą życia, w którym ludzie mogą oddychać, pracować, spotykać się i nie czuć się porzuceni. Komfort może być lekarstwem na strach, upokorzenie i nienawiść – jeśli jest wspólny, a nie prywatnie kupowany za wysokim murem.

ROZMAWIAŁ MARCIN ZAREMBA

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 50b67a7159



Jupiter i nimfa Kallisto, rycina René Gaillarda, 1777 r., z Łazienek Królewskich w Warszawie

Harce herbowych

Seksualne obyczaje szlachty, czyli intymna historia polskiego dworu.

MATEUSZ WYŻGA

W przedrozbiorowej Rzeczpospolitej seks nie był tematem tabu. Większość dojrzałych płciowo osób wchodziła w pierwsze związki małżeńskie dość wcześnie; w świetle prawa mogli je zawierać już 12-letnie dziewczyny i starsi o dwa–trzy lata chłopcy. W praktyce tak wczesny ożenek odnosił się przede wszystkim do rodzin elit szlacheckich, mieszczańskich czy chłopskich, w których było co dzielić i większa była obawa o mezalians czy przedślubną ciążę. Seksualny savoir-vivre większości herbowych przodków nie był zbyt wyrafinowany, raczej bliski ludowym instynktom.

Chłopstwo i najuboższa szlachta luster może nie mieli, ale widzieli swe twarze w lustrze wody. Dariusz Główka tak charakteryzuje wyposażenie domu przeciętnej rodziny szlacheckiej z ziemi zakroczymskiej: miednice, gotowalnie, balie, kociołki do prania, wanny, żelazka do prasowania, magle. Bywały też mydło, ręczniki, grzebienie, brzytwa czy nocnik. Bożena Popiołek przybliża starania zamożnych szlachcianek o utrwalenie młodości i podkreślenie urody przez fryzury (od XVIII w. też peruki), odpowiedni strój, biżuterię. Na policzki kładziono puder (bielidło),

eprasa.pl 50b67a7159

róż (barwiczkę), brwi mocno czerniono węglem. Dla kontrastu naklejano muszkę, czarny płatek z materiału. Jan S. Bystroń opisywał, że ta na wardze zwała się całuską, a na nosie śmiałą. Wcierano w przeguby dłoni perfumy. Była i pomada.

U uboższych szlachcianek i chłopek ponadto cała plejada ziół w przydomowej apteczce, jak lipowy kwiat, mięta czy rumianek. Czego szlachcianka nie dostała w swym otoczeniu, nabyła w mieście u aptekarza lub z ogrodu klasztornego: zagraniczne korzenie i kadzidła, maści, pastylki, nalewki. W sumie jednak w dawnej, bliskiej ludu Polsce nie ceniono nazbyt kosmetyków, malowania twarzy czy farbowania włosów (siwiźnie w jakiejś mierze wychodziło naprzeciw nakładanie na głowę ozdobnych czepków czy chusteczek).

Pikantny język

Strój był dla szlachty społecznym orężem i wyrazem prestiżu. Moda męska szła z Orientu, z pól bitewnych, widziana podczas wypraw zagranicznych, pielgrzymek i poselstw. Do tego tatarskie kurtki, moskiewskie futra czy szwedzkie buty. Tylko turbanu sarmatom brakowało. Wojsko Jana III Sobieskiego pod Wiedniem musiało dla odróżnienia się od Turków oplatać ramiona słomianymi warkoczami. Ale Mariusz Markiewicz wskazuje, że szlachcianki polskie czerpały raczej z mody zachodniej. Najpierw były to wpływy włoskie wysmuklające sylwetkę. Potem poszerzane w duchu hiszpańskim metalowymi obręczami spódnice, a po szwedzkim potopie napłynęła moda francuska. W kulturze rokoka rozpięte suknie nakładało się na wyrafinowane halki. Uproszczenie stroju i ciemne suknie przyszły dopiero pod koniec epoki staropolskiej.

Polkom nie brakowało ognia, jak zauważa Alojzy Szajkowski w książce „Staropolska miłość". Jeden z obscenicznych wierszy z epoki brzmiał: „Bądź młodszą, gładszą, wleź w lepsze ubranie/ Umiej się udać, to mi na cię wstanie". Zaś poeta Jan Kochanowski pisał: „Usta twoje koralowe (...) piersi jawne". Marzena Liedke podaje przykład magnatki Barbary Sanguszkowej, która radziła swej córce, by mężczyźnie nie tylko okazywała uczucie, ale też „cielesność, przymilenia, pochlebstwa"; w przeciwnym razie „zwykło (...) do niewierności ku żonie prowadzić", partner zaczyna szukać przygód miłosnych poza łożnicą, zagląda do domów nierządnych (i przynosi stamtąd infekcje).

Postulowanym celem życia kobiety zamężnej było macierzyństwo. Mężczyzna miał zawiadywać domem i majątkiem. Pod tą powierzchnią patriarchatu w staropolskiej rodzinie kryło się wiele zjawisk odstających od oczekiwanego standardu. Ksiądz Ignacy Krasicki w utworze „Myszeidos" pisał: „My rządzim światem, a nami kobiety". Każdy mężczyzna u progu swego życia w jakiś sposób doświadczył matriarchatu. To matka pierwsza zaszczepiała w nim kulturę rodzimą. Pamięć o matce, kult patronek kościołów parafialnych, szerzący się kult Matki Boskiej Częstochowskiej powinien być brany pod uwagę w analizowaniu staropolskiego patriarchalizmu. Nie zmienia to faktu, że istniała przemoc fizyczna i psychiczna, nawet gwałt ze strony tyranizującego rodzinę męża, mającego prawo do cielesnego karania żony.

Kiedy rodzina nie dawała zgody mężczyźnie na ożenek z wybranką serca, mogło nastąpić jej porwanie (nieraz za jej zgodą) i duchowny był przymuszony, chociażby z pistoletem przy głowie, udzielić ślubu. W ten sposób czternastoletnia Elżbieta Modrzejowska, córka pułkownika husarii poległego w bitwie pod Wiedniem, nocą potajemnie i boso uciekła od matki, dając się porwać Aleksandrowi Łaszczowi, żołnierzowi. Szybko zawarli związek małżeński i w szczęściu spędzili razem ćwierć wieku.

Mieszkańcy dawnej Polski kochali się w małżeńskiej łożnicy, w zbożu, stogu siana, pośród łąk, w stodole albo oborze, na stryszku, w karocy, a i na śniegu. Inwencji nie brakowało. Miłość pachniała dojrzewającym zbożem, ziołami i polnymi kwiatami. Do seksu za dnia kobieta nie ściągała nawet sukni, a nocą koszuli. Grą wstępną na ogół nie zawracano sobie głowy, jeżeli już, to było to szczypanie, drapanie, masowanie czy łechtanie dłońmi albo ustami. Za jurnych uchodzili niscy, rumiani bruneci i kobiety o grubych i twardych włosach, z meszkiem nad ustami. Stosunek najczęściej odbywał się w pozycji leżącej, a partnerzy byli do siebie zwróceni twarzami.

Małżeńskie łoże dla umilenia seksu było okadzane, stawiano przy nim kwiaty. Uwagę zwraca magia antykoncepcyjna (bo trudno mówić o jakichś skutecznych sposobach) – np. wkładanie w kołdrę kawałka trumny. Niekiedy łykano specjalne ziółka – jedne miały zabezpieczyć przed niechcianą ciążą, inne wzmóc pożądanie. Sęk w tym, że mogło się skończyć śmiercią z przedawkowania i na współmałżonka padało podejrzenie o otrucie.

Zbigniew Kuchowicz w opracowaniu „Miłość staropolska" (które pojawiło się zaledwie kilka lat po głośnej książce Michaliny Wisłockiej „Sztuka kochania") zauważa, że język staropolski znał mnóstwo określeń na intymne części ciała kobiety (łono to pierścień, kądziołka, bandurka, bóbr, cisia, grzywa, kiep, muszeczka, a piersi to drażniątka albo cycunie) i mężczyzny (penis to chwost, bindas, dudek, ptaszek, pałka, żyła) albo skojarzeń: myszka-kotek, zamek-klucz. Podobnie z kopulacją – sprawa cielesna, koszenie łączki, pojenie konia, zapuszczenie kota do mięsa, golenie się, szturm, jak i pójście do pościeli.

O seksie mówiło się dużo, chociaż w pewnym zawoalowaniu, językiem pikantnych przysłów i przyśpiewek. Jedna ze szlachcianek bez krępacji wspominała w pamiętniku: „Pieścił mnie jak pierwszego dnia, gorliwie spełniał swoje powinności małżeńskie, a ja się nie wzbraniałam, bo lubiłam się śmiać i byłam łatwa, a on mi się podobał". Znany ze swych erotyków Jan Andrzej Morsztyn pisał: „Śmiejesz się, gdy cię heblują na ławie". Podkreślano inicjatywę małżonek w stosunkach intymnych.

Karczemne obyczaje

Tomasz Wiślicz ustalił w pracy „Upodobanie: Małżeństwo i związki nieformalne na wsi polskiej XVII–XVIII wieku", że to, o czym pisze pewien szlachcic – „Pokochawszy się ślub wziąłem" – chłopi nazywali upodobaniem i rozumieli jako dożywotnią przyjaźń. W małżeństwie doceniano wierną przyjaźń między partnerami. Religia katolicka rozumiała małżeństwo jako miejsce gaszenia cielesnego ognia, a niewypełnianie małżeńskiego obowiązku spotykało się z krytyką. Nawet w poradnikach gospodarczych były instrukcje *ars amandi*. Jakub Haur zalecał: „Ta zabawa ma mieć swój osobliwy czas, z rana, na czczo i z wieczora kilka godzin po obiedzie". Radził również: „Po skutecznej z Wenerą zabawie trzeba sobie zawsze uczynić uspokojenie: poleżeć sobie cicho, a najdłużej niewiastom".

Polscy herbowi uprawiali seks najczęściej pozbawiony intymności. Dworki szeroko rozrodzonej szlachty zagrodowej bardziej przypominały chałupy plebejów. Spało się w jednej izbie, gdzie dodatkowo zimą były trzymane zwierzęta gospodarskie. Mniej liczni mieli wydzieloną sypialnię i baldachim nad łożem, który ▶

© MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE W WARSZAWIE

eprasa.pl 50b67a7159

▶ nie tylko zatrzymywał ciepło, ale też tłumił dźwięki i chronił przy tym przed ciekawskimi spojrzeniami.

Zalecano wstrzymywanie się od uprawiania seksu w okresie ciążowym, co rzutowało na intymną sferę życia małżonków, gdy kobiety tak często były przy nadziei. Agnieszka Słaby wskazuje, że problemy ginekologiczne związane z macierzyństwem, zakażenia dróg rodnych mogły nie tylko utrudniać współżycie cielesne, lecz także zajście w kolejną ciążę albo jej donoszenie. Stąd rytualne oczyszczenie nakazujące wstrzemięźliwość cielesną i pozostanie w domu sześć tygodni od porodu.

Homoseksualność męska była traktowana jak sodomia, żeńskiej zdaje się społeczeństwo nie dostrzegało. Młode szlachcianki były wychowywane surowo, w dyscyplinie, w obawie przed zajściem w przedmałżeńską ciążę. Ich seksualność rozwijała się po ślubie, czerpiąc niejako z przedślubnych doświadczeń męża. Trudno jednak uznać to za powszechne pośród drobnej szlachty. Wszyscy przesiadywali w tych samych wiejskich karczmach, chłopi z drobnymi szlachciankami również mogli zahulać. W karczemnym tańcu, jak zauważa Tomasz Wiślicz, chciało się jak najwięcej dotknąć drugiego ciała. Odmawiającym tańca szlachciankom ten i ów chlusnął winem w dekolt. Pełne energii tańce chłopskie lubił oglądać król Stanisław August. Młódź plebejska pierwsze doświadczenia seksualne zyskiwała po łąkach i stodołach, podczas pasionki, a pasterze wyrastali na prawdziwych guru w sprawach seksu.

Ludowe instynkty

Prosta seksualność ludowa szła swym torem, bliska natury i wierna następującym po sobie sezonom roku rolniczego. Wzmożona liczba zapłodnień przypadała na przełomie wiosny i lata, kiedy było cieplej. To zapewniało większą intymność. W wyniku wiosennych uniesień większość naszych przodków przychodziła na świat w okresie Bożego Narodzenia.

Nie było nad Wisłą średniowiecznej tradycji miłosnej rycerstwa opiewanej przez trubadurów. Erotyka polska cechowała się witalnością, prostotą i namiętnością. Seksualność była połączeniem czułości i gwałtowności. Nowości przyniosły dopiero bardziej liberalne – czy wręcz libertyńskie – XVIII stulecie i napływająca ludność francuska. Renesansowa swoboda przeszła w barokowe dysonanse kultury. Na ścianach sypialni pojawiały się obok świętych obrazów antyczne, odważne sceny. Swoje robiła pornograficzna fraszka ludowa.

Oświecenie przyniosło liberalizację pożycia, większe możliwości szlachcianek i uwzględnianie ich wolnej woli przy zamążpójściu. Nie grzeszył cnotliwością kler. Tomasz Markiewicz ustalił na podstawie wizytacji dekanatu Skała z 1618 r., że blisko połowa duchownych nie zachowała czystości seksualnej, a ok. 70 proc. oskarżonych z tego tytułu żyło w konkubinacie, niekiedy jawnie. Rodziły się z takich związków dzieci. Wydawali też duchowni swe konkubiny za mąż albo oddalali od siebie pod naciskiem przełożonych. Wiadomo, że potomstwo duchownych, podobnie jak dzieci nieślubne szlachty, mogło być wspierane przez biologicznych ojców, którzy dawali je do ochronki, a potem szukali dla nich posady, np. w służbie dworskiej, znajdowali im wieś do wydzierżawienia.

Seks małżeński nie dotyczył całej szlachty. Marian Wolski ocenia, że nawet trzecia część rodu Trzecieskich nie założyła rodziny. Spore problemy z zawarciem małżeństwa miały osoby najuboższe, pozostając w konkubinatach. Piotr Guzowski ustalił, że przeciętny szlachcic przy pierwszym ożenku miał 18–27 lat, chociaż zdarzali się też starsi. Kobiety były młodsze o 7–8 lat. Średnio małżeństwo staropolskie nie trwało dłużej niż 10–15 lat rozrywane przez śmierć jednego z partnerów, co też mogło wpływać na mniejsze znużenie monogamią. Z tego wynikały powtórne i kolejne małżeństwa owdowiałych osób, co dla młodych a ubogich mogło być szansą awansu.

Wysoka śmiertelność noworodków i dzieci doprowadzała do niemal bezustannych ciąż. Szacuje się, że 5–10 proc. matek umierało podczas porodu lub podczas połogu, a połowa dzieci żyła nie dłużej niż pięć lat. Chałupa czy dwór to zarazem porodówka i dom pogrzebowy, początek i koniec człowieka staropolskiego. Najtrudniej rozpoznać, na ile wysoka umieralność niemowląt wpływała na pomijanie antykoncepcji czy wstrzemięźliwość seksualną, a jednocześnie faworyzowała ludowe obyczaje erotyczne i ostry seks, będący wyznacznikiem czasów, które z dzisiejszego punktu widzenia naznaczone były znaczną przemocą fizyczną. W rodzinach plebejów i drobnej szlachty nieposiadającej poddanych rodzące się dzieci z czasem stawały się siłą roboczą.

Ubogie szlachcianki opuszczały dom rodzinny po dziesiątym roku życia i podejmowały zatrudnienie w służbie domowej u chłopów, mieszczan bądź zamożniejszej szlachty. Wchodziły w sfery seksu, zarówno z własnej woli, jak i przymuszane. Nie mając środków na założenie rodziny, żyły w konkubinatach i rodziły nieślubne dzieci. Niekiedy nie wiedziały nawet, jakiego stanu społecznego był ojciec dziecka. O takiej szlacheckiej gołocie stoi w mazurskiej pieśni: „Żółtogorący żupan od święta/ Co w nim mój pradziad pasał cielęta".

Chodząca po służbach, osierociała szlachcianka Marianna Ołowska wspominała, że pierwszą ciążę „dopuściłam z parobkiem (...) tego nie wiem, jeżeli był szlachcic". Po paru latach miała dziecko z kolejnym parobkiem: „Powiadano, że był szlachcic, ale nie wiem, czy zapewne". Niemowlęta zmarły, a Marianna dalej się tułała. Ludwika Prokopowiczowna z wołyńskiego zaścianku Lubanicz była podejrzewana o dzieciobójstwo. Jej partner uciekł, a odnalezione zwłoki dziecka „matka Ludwiki miedzy drogami zakopała i psy wykopali, które kosteczki (...) wrony poroznosiły".

Bo też seksualny savoir-vivre większości naszych herbowych przodków był bliski prostym, ludowym instynktom, tak jak i szlachta w swojej masie była w znacznym stopniu pokrewna obyczajowo i kulturowo plebejom.

MATEUSZ WYŻGA

Autor jest profesorem UKEN w Krakowie, jego książka „Polska sarmacka. Historia zwykłych ludzi" w 2026 r. zdobyła I nagrodę w konkursie Książka Historyczna Roku im. Karola Modzelewskiego organizowanym przez Polskie Towarzystwo Historyczne.

Cały tekst w Pomocniku Historycznym „Dzieje polskiej szlachty".



KUP TERAZ

Więcej o codziennym życiu herbowych znajdziesz w Pomocniku Historycznym **„DZIEJE POLSKIEJ SZLACHTY"**. Dostępny w punktach sprzedaży prasy od **14 października** i na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 50b67a7159

Na każdy temat z każdej strony

Czas rodziców



Ula Malko

Krzysztof Horwat

tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl 50b67a7159



galeria

Duchy Islandii 5/6

Björk, Echolalia, Wędrujący Festiwal, Bielsko-Biała, do 25 października

Otwarcie wystawy odbyło się w atmosferze sensacji, bo w Bielsku-Białej – aktualnej Polskiej Stolicy Kultury – pojawiła się Björk, czyli sama autorka. Ktoś ją widział, jak jadła pierogi, ktoś inny – na spacerze w lesie. Ostatecznie na wernisażu się nie pojawiła, za to wystąpiła jako didżejka na imprezie zorganizowanej na miejskim targowisku PSS „Społem". Słynna wokalistka od dawna oddaje się zresztą różnym zajęciom, mniej lub bardziej oddalającym ją od klasycznych koncertów estradowych. Tak jest i tym razem. „Echolalia" to trzy autonomiczne, choć połączone wspólnym wątkiem projekty artystyczne, zaprezentowane w trzech bardzo różnych (stara kamienica, elegancka willa, modernistyczny pawilon handlowy) punktach miasta. Pierwszy z nich to rozbudowany teledysk będący nieco onirycznym, a nieco majestatycznym rytuałem pożegnania zmarłej matki. Projekt drugi budził chyba największe zainteresowanie. Nie tylko dlatego, że właśnie w Bielsku-Białej miała miejsce jego światowa premiera. Cały zamysł oparty został bowiem na obrazach... młodej polskiej malarki Natalii Kleszczewskiej, na które Björk przypadkiem trafiła na Instagramie, a następnie – uzgadniając to z artystką – animowała, zamieniając w hipnotyczne, wsparte śpiewem wizje. Można też obejrzeć na miejscu oryginalne obrazy, które inspirowały islandzką wokalistkę. Dla mnie najciekawszy jest projekt trzeci – skomplikowana przestrzenna instalacja wizualno-dźwiękowa, która w absolutnie niezwykły sposób pozwala doświadczyć relacji między tym, co zbiorowe (chór), a indywidualne (poszczególne głosy). „Echolalia" dostarcza nam zestaw charakterystycznych dla Björk przerysowanych motywów estetycznych nawiązujących do mitologii, tajemniczych rytuałów, natury, snów, fantastycznych wizji. W sferze treści (nieznający angielskiego mogą zapoznać się z literackimi tłumaczeniami) uwaga artystki krąży wokół refleksji o życiu i śmierci, przemijaniu, pamięci, ale też relacji międzyludzkich i związków między indywidualizmem a przynależnością do grupy.

PIOTR SARZYŃSKI

scena

Miłość ponad stany 4/6

Kościuszko, muzyka Grzegorz Rdzak, libretto, teksty piosenek i reż. Konrad Imiela, Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu

Kolejny po „1989" musical zainspirowany hitowym broadwayowskim „Hamiltonem", z którym zresztą dzieli bohaterów: Tadeusz Kościuszko, m.in. jako twórca fortyfikacji West Point, poznał ojców amerykańskiej niepodległości. Ten epizod – z, a jakże, rapowaną piosenką – jest częścią biograficznego spektaklu „Kościuszko". Jego teza? Marzeniem tytułowego bohatera (dobry **Rafał Kozok**) były rodzina i gospodarstwo, ale „nie miał szczęścia do ojców" swoich wybranek, w tym wielkiej miłości Ludwiki Sosnowskiej (**Ewa Szlempo-Kruszyńska**), którzy odrzucali jego oświadczyny, więc w ramach odreagowania został bohaterem walki o wolność po obu stronach oceanu. Polską część tej walki, z królem Poniatowskim,



W musicalu Konrada Imieli pierwsze skrzypce gra miłość

Konstytucją 3 maja, powstaniem kościuszkowskim, Targowicą i rozbiorami niedawno pokazał też Jan Klata w Teatrze Narodowym w widowiskowych „Termopilach polskich". I tam, i w Capitolu kontekstem jest obecne zagrożenie ze strony Rosji, jednak Klata podstawiał współczesnej Polsce historyczne lustro bez wydawania łatwych wyroków, a Konrad Imiela tworzy spektakl edukacyjny, momentami w sposób łopatologiczny, z przewodnim hasłem: „Wolność! Równość! Miłość ponad wszystkie stany!" oraz m.in. alternatywnym, optymistycznym hymnem Polski, który w wykonaniu Emose Uhunmwangho (świetna jako wygadany Grippy, czarny ordynans i przyjaciel Kościuszki) z chórem klaszczących do rytmu sportowców przybiera formę... kościelnego gospel.

ANETA KYZIOŁ

© DOMINIK KORUSIEWICZ, ŁUKASZ GIZA, UIP, KINO ŚWIAT, GEOFFREY SHORT/NETFLIX

eprasa.pl 50b67a7159

film

Cyfrowa apokalipsa 4/6

The Social Reckoning. W sieci konsekwencji, reż. Aaron Sorkin, prod. USA, 112 min, już w kinach

Czy znacie okoliczności zmiany nazwy marki koncernu Facebook na Meta przez Marka Zuckerberga? Z tego filmu dowiecie się jeszcze wielu innych ciekawych rzeczy o ciemnej stronie mediów społecznościowych. Fabuła oparta na autentycznej historii Frances Haugen, sygnalistki i menedżerki produktu w zespole ds. integralności obywatelskiej Facebooka (**Mikey Madison**), poświęcona jest śledztwu, które Jeff Horwitz, dziennikarz „The Wall Street Journal" (**Jeremy Allen White**), prowadził w związku z nasilającą się w internecie dezinformacją polityczną, mową nienawiści i wieloma innymi patologiami. Takimi jak handel ludźmi, promowanie przemocy etnicznej czy rozpowszechnianie teorii spiskowych będących źródłem radykalizacji sympatyków QAnon. Haugen, która wielokrotnie widziała, jak działa mechanizm zamiatania pod dywan niewygodnych faktów wewnątrz Facebooka, dostarczyła Horwitzowi twarde dowody dotyczące blokowania przepływu informacji i tego, jak Zuckerberg (**Jeremy Strong**) przedkłada astronomiczne zyski nad bezpieczeństwo użytkowników sieci. Trzeba docenić, że w czasach dyktatury big techów i prezydentury Donalda Trumpa powstają tak zaangażowane dramaty społeczno-polityczne, których intencją jest ratowanie upadającej demokracji. Czas pokaże, czy publicystyczne widowisko Aarona Sorkina zapisze się w historii kina w równie spektakularny sposób co „Wszyscy ludzie prezydenta" czy „Erin Brockovich".



JANUSZ WRÓBLEWSKI



film

Halloween na farmie 5/6

Baranek Shaun i kudłata bestia, reż. Steve Cox, Matthew Walker, prod. Wielka Brytania, 81 min, w kinach od 16 października

Brytyjskie studio Aardman Animations od ponad 30 lat z powodzeniem produkuje filmy i seriale, które – co wcale nie tak częste – można bez wahania nazwać rozrywką familijną. Idealnie dopasowane do potrzeb zarówno najmłodszych, jak i nieco starszych widzów. Bezpretensjonalne i slapstickowe, a jednocześnie mocno osadzone we współczesnej kulturze i z łagodną uszczypliwością portretujące życie na angielskiej prowincji. Nowy film o baranku Shaunie, który ekranową karierę rozpoczął w jednym z epizodów serii „Wallace i Gromit", to przygoda w jesiennych barwach i halloweenowych klimatach. Urocza i błyskotliwa parodia klasycznych horrorów i wpisanych w nie schematów – od potwora terroryzującego miasteczko (tytułowa kudłata bestia to Farmer, który nieumiejętnie korzystał ze środka na porost włosów) po szalonego naukowca, którym z braku innej opcji zostaje Shaun. Ikonografia kina grozy służy tu wyłącznie zabawie, inteligentny humor nigdy nie jest ani zbyt skomplikowany dla dzieci, ani zbyt infantylny dla dorosłych – i w ogóle „Baranek Shaun" ma nieco staroświecki wdzięk filmów sprzed epoki cyfrowej, podkreślany zresztą przez utrzymaną w stylistyce retro scenografię. Widać włożony w realizację tej poklatkowej animacji wysiłek, pasję i miłość, co w czasach zalewu generowanej przez AI tandety jest rzeczą bezcenną.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial

Nie odrzucaj mnie 5/6

Na wschód od Edenu, twórczyni serii: Zoe Kazan, 7 odc., Netflix

Ciekawe, że serial „Na wschód od Edenu" stworzyła Zoe Kazan, wnuczka Elii Kazana, reżysera słynnej hollywoodzkiej ekranizacji z 1955 r. z Jamesem Deanem (w latach 80. na podstawie powieści Johna Steinbecka powstał też serial z Jane Seymour). Zoe brakowało w wersji dziadka bardziej złożonego portretu Cathy i rzeczywiście, w jej wersji dostajemy magnetyczną Cathy w wykonaniu Florence Pugh, która przyćmiewa resztę aktorów (może poza Mikiem Faistem w roli Charlesa). Niektóre wątki, jak ten rodziny Hamiltonów, zostały skrócone, inne rozwinięte, dowiadujemy się choćby, dlaczego Cathy stała się potworem. Widzimy też ją w momencie rozpadu, kiedy przeszłość do niej wraca i ją niszczy. Na serialowym pierwszym planie jest warstwa psychologiczna – zło rodzi się z odrzucenia i poczucia krzywdy, a dzieci i rodzice powtarzają schematy: ojciec Adama i Charlesa Trasków faworyzował Adama i odrzucał Charlesa, Adam podobnie postępuje z Aronem i Calebem. Czy ciąży na braciach klątwa Kaina i Abla? Najważniejsze, mówią twórcy, to dać człowiekowi wybór, nie skreślać go. Rodzinnym psychologiem Trasków jest Lee (Hoon Lee) i jego postać jest bardzo współczesna, rozumie, że człowiek nie jest ani całkiem dobry, ani zły, albo że zakochujemy się w naszych wyobrażeniach, a nie w konkretnej osobie. Ta współczesna psychologia nie zgrzyta, adaptacje są zawsze rodzajem rozmowy z książkowym oryginałem i ta jest dialogiem bardzo udanym.



Florence Pugh jako magnetyczna Cathy przyćmiewa resztę aktorów

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 50b67a7159



Na łez padole 5/6

Michał Witkowski, **Substancja**, Znak Literanova, Kraków 2026, s. 400



Gdyby miał powstać serial „1770", to scenariusz jest już właściwie gotowy. W tym roczniku Michał Witkowski osadził wydarzenia w swojej nowej powieści. Jesteśmy na dworze w Krystynopolu. Potoccy są jeszcze dość zamożni, pracuje dla nich cała okolica. Ale ród musi przetrwać, a potomek jest niezbyt wyglądny. Stanisław Szczęsny nie grzeszy intelektem, łatwo go przekonać do swoich racji, „tak że wygrywał ten, który mówił z nim jako ostatni. Słowem – idealny król dla Rzeczpospolitej". Arystokracja jest do cna zepsuta, ale pod gorsetem dobrze widać, że odgrywa teatrzyk, dbając o pozory statusu i wielkości. Anna Potocka pilnuje moralności, skazując na tortury każdego, kto narusza jej zasady, jej małżonek rozmyśla głównie o polityce. Są to zresztą czasy, gdy wszyscy filozofują, bo filozofia (a raczej popfilozofia) robi się modna. Silne jest w kraju poczucie schyłkowości, choć do wyższych sfer to nie dociera. Magnaci bawią się, knują, a substancji (bogactwa) ubywa… Gdy Poniatowski wzywał do oświecenia, w Krystynopolu na przekór „wdarły się obniżenie i zaciemnienie". Takie bale na „Titanicu" zawsze źle się dla Rzeczpospolitej kończyły. Można spojrzeć przez to zwierciadło (byle nie krzywe, jak zastrzega autor) na dzisiejszą rzeczywistość. Ale i wyśmienicie się bawić przy lekturze. Styl Witkowskiego jest iście barokowy, do powieści wkradają się elementy dramatu, bohaterowie – prawdziwi czy fikcyjni – zostali odmalowani pieczołowicie. Pojawiały się ostatnio zarzuty, że polscy autorzy nadużywają inwersji, żeby przypodobać się czytelnikom. Witkowski stosuje ją gęsto, ale nie cynicznie, nie dla substancji.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Unikanie ocen 4/6

Grażyna Kulczyk, **Budując. Autobiografia**, współpraca Paweł Goźliński, Znak Literanova, Kraków 2026, s. 400

Przy lekturze autobiografii zawsze rodzi się pytanie: jaki wizerunek samego siebie chce nam, czytelnikom, pozostawić bohater książki? Tu otrzymujemy wzruszający portret osoby o niełatwym, acz pełnym ciepła dzieciństwie, która – pokonując kolejne przeszkody – kończy studia prawnicze i pracą oraz wytrwałością dochodzi do życiowych sukcesów. Osoby prawej, wrażliwej, uporządkowanej, empatycznej, konsekwentnej w działaniu, bezgranicznie zaangażowanej w to, co robi. Kolekcjonerki, która wbrew przeciwnościom losu stworzyła imponujące muzeum w szwajcarskiej wsi Susch. Mającej ciekawe przemyślenia na temat życia i sztuki. A wszystko to spisane niezwykle sprawnie. Grażynę Kulczyk znam na tyle, że z wiernością tak zarysowanego konterfektu zasadniczo zgodzić się mogę i rozumiem, że o swoich wadach pisać nie musi. Jednak niezwykle brak mi tu opowieści o małżeństwie z Janem Kulczykiem. Są rozdziały o romantycznych początkach ich znajomości i krótkie passusy o rozstaniu i o śmierci byłego męża. Nie ma prawie nic o 33 latach małżeństwa, o ludziach, których spotykali i z którymi się przyjaźnili (lub wadzili), o relacjach ze światem polityki, kultury, nauki czy sportu (a było ich co niemiara). Autorka bardzo stara się unikać ocen, szczególnie krytycznych, co rozumiem, ale jako czytelnik czuję się lekko rozczarowany.

PIOTR SARZYŃSKI



Kryminał braci Marx 5/6

Thomas Pynchon, **Lewy bilet**, przeł. Piotr Siemion, ArtRage, Warszawa 2026, s. 528

Pynchonowi najwyraźniej było mało igrania ze schematami powieści detektywistycznej, bo – po „Wadzie ukrytej" i „W sieci" – sięgnął po nie raz jeszcze. Akcję osadził we wczesnych latach 30. XX w., choć spuściznę klasyków traktuje bez litości – czarny kryminał ma tu odcień błazenady, trochę jakby bracia Marx kręcili własną wersję powieści Chandlera, choć jednocześnie Pynchon jest sobą i co chwila czytelników nieprzyjemnie szturcha, przypominając, że jego książkę powinno się czytać także jako ostrzeżenie przed powtórką z historii. Hicks McTaggart, dawny łamistrajk, dziś prywatny detektyw, dostaje zlecenie odnalezienia zaginionej córki magnata nabiałowego („Ala Capone'a serów twardych"). Śledztwo rzuca go z kipiącego energią Milwaukee, gdzie wszyscy czekają na zniesienie prohibicji, do Węgier, a na jego drodze staną szpiedzy, rosnący w siłę faszyści, terroryści, którzy wręczają (niedoszłej) ofierze bombę zapakowaną jak świąteczny prezent, oraz golem Zdeněk, który wcale nie jest tu najdziwniejszą postacią. „Lewy bilet" to lektura nieustannie zaskakująca. Pynchon myli tropy, wybija z rytmu, zmusza do porzucenia czytelniczych przyzwyczajeń, a przede wszystkim rysuje wyraźne analogie między przeszłością – mocno podkoloryzowaną na potrzeby fabuły – a teraźniejszością. Potęga korporacji, rosnące poparcie dla skrajnej prawicy, układy władzy z finansowymi magnatami, przemoc wymierzona w imigrantów i robotników: pynchonowska Ameryka i Europa, choć zabawne, są także przerażające. Przesłanie „Lewego biletu" łatwo zgubić w natłoku wydarzeń, wątków i barwnych postaci, lecz czytać go warto choćby dla czystej, anarchicznej rozrywki, którą podkręca świetny przekład Piotra Siemiona.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM, TABATHA FIREMAN/DAVE BENETT/GETTY IMAGES, , HBO MAX, GALERIA WIRYDARZ, MP (6)

eprasa.pl 50b67a7159

festiwal

Prawda jest pomiędzy

23. Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej Interpretacje, Katowice, 17–26 października



W centrum katowickiego festiwalu, od tej edycji organizowanego przez Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego, znajduje się młoda reżyseria (metrykalnie do 35. roku życia), atrakcją są zarówno same spektakle, jak i to, że oceniają je starsi koledzy i koleżanki biorących udział w konkursie twórczyń i twórców. O główną nagrodę, Laur Konrada, powalczą: „Lalka" w reż. Mikity Iłyńczyka z warszawskiego Teatru Dramatycznego, „Nieustraszona miłość Eve Adams" w reż. Olgi Ciężkowskiej z krakowskiego Starego Teatru, „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy" w reż. Kamila Białaszka z poznańskiego Teatru Polskiego, „Nowy wspaniały świat" w reż. Anny Obszańskiej z Wrocławskiego Teatru Pantomimy, „Prowadź swój pług przez kości umarłych" w reż. Ewy Platt ze stołecznego Teatru Narodowego oraz „Wszyscy jesteśmy Belén" w reż. Katarzyny Minkowskiej z olsztyńskiego Teatru im. Jaracza. Łączy je to, że wymykają się królującej dziś jednoznaczności i polaryzacji („znaczenia nie są ogłaszane, lecz negocjowane") i wpisują w słowa patrona festiwalu, Konrada Swinarskiego: „Ja nie uważam, że bohater jest tubą autora lub tubą idei utworu. Uważam natomiast, że prawda jest pomiędzy, a więc także i w interpretacji widza". W programie również spektakle mistrzowskie („Krzyżacy" w reż. Jana Klaty z Olsztyna i „Wycinka" w reż. Krystiana Lupy z wrocławskiego Teatru Polskiego w Podziemiu), produkcje Teatru Śląskiego, Teatru Telewizji i debaty. AK

Szczegóły: **festiwal-interpretacje.pl**



muzyka

Układ nagrody 5/6

Fontaines D.C., **Dopamine Chamber**, XL



Może to opinia niepopularna, ale oparta na faktach: przy piątej płycie Fontaines D.C. są niemniej solidnym zespołem niż U2 – ich starsi koledzy z Dublina – w tym samym punkcie kariery. Rockowy skład pod wodzą Griana Chattena nie nagrał dotąd słabej płyty, choć ostatnio gra mniej ryzykownie niż na początku kariery. Na „Romance" odwołał się do wzorców britpopowych, przeskakując z klubów do wielkich hal (w listopadzie wystąpi w łódzkiej Atlas Arenie), ale nie stracił talentu do pisania piosenek w sposób atrakcyjny i zajmujący. „Dopamine Chamber", odnoszące się w tytule do przebodźcowania cyfrowego świata, przynosi całą serię potencjalnych hitów. Tyle że stylistycznie dość przewidywalnych, z oczywistymi nawiązaniami do gwiazd lat 80. („Mimesis" nie byłoby bez New Order, „Demolition" – bez The Cure) i z pierwszym gwiazdorskim duetem, z popularną Hiszpanką Rosalía, w brzmiącym jak zakurzony klasyk „Where Is Gone?". Jest mniej gitar, ale U2, dziś świętujący 50 lat, na tym etapie bywali bardziej zaskakujący. Może w obrębie postpunkowej konwencji mieli wtedy więcej do zrobienia, a może po prostu dziś przewidywalność efektu jest ważniejsza niż ryzyko? W każdym razie Fontaines D.C., choć bywali w lepszej formie, ciągle skutecznie pobudzają układ nagrody rockowej widowni.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap

Fonomo Music & Film Festival, Bydgoszcz, 15–18 października

To już 15. edycja Fonomo, ale dobry moment, żeby się tą imprezą zainteresować. W tym roku choćby dla koncertów ekspresyjnej formacji Amirtha Kidambi's Elder Ones oraz znakomitego tria Moin. Poza muzyką projekcje filmów i wystawa prac graficznych znanego z Kristen i Lotto Łukasza Rychlickiego. A muzykę i film połączy wręczenie Mikołajowi Trzasce Nagrody Filmowej Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego im. Poli Negri. BCH

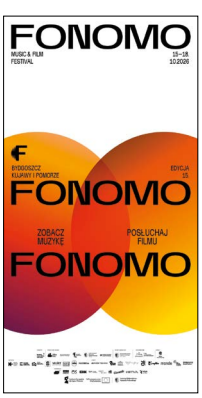



Dorwać Jiro, 6 odc., HBO Max

Animowany serial, którego akcja toczy się w niedalekiej przyszłości, gdy ostatnią prawdziwą wartością jest jedzenie, a szefowie kuchni mogą wszystko – choćby zdekapitować klienta za nieprzestrzeganie etykiety przy stole. Tytułowy bohater, mistrz sushi, zostaje wciągnięty w bezpardonową rywalizację dwóch restauracji walczących o dominację w Los Angeles. Dowcipne i krwawe widowisko na podstawie komiksu, którego współtwórcą był Anthony Bourdain – scenarzystom serialu udało się ocalić jego sarkastyczny humor. JD

Rafał Eret, **Nieustające wakacje**, Galeria Wirydarz, Lublin, do 30 listopada

Artysta osobliwy, odludek z Lubartowa, który swą pierwszą w życiu indywidualną wystawę miał dopiero po czterdziestce. Jego obrazy pokazywane tym razem to malarskie reminiscencje odchodzącego lata, pokryte delikatnym pyłem metafizyki, w których zachwyt miesza się z zadumą i nieuchwytnym niepokojem. Klarowne, a jednocześnie umykające prostym interpretacjom. Czysta i osobista poezja spod pędzla. P.SA



eprasa.pl 50b67a7159



Agata Kulesza (ur. 1971 r.) – aktorka, po ukończeniu warszawskiej PWST (dyplom 1994 r.) związana z Teatrem Dramatycznym i Ateneum. Grała w serialach, m.in. „Bracia i siostry", „Złotopolscy", „Daleko od noszy", „Rodzinka.pl", „Ołowiane dzieci". Popularność zyskała też, zwyciężając w ósmej edycji „Tańca z gwiazdami". W jej karierze filmowej przełomowa okazała się tytułowa rola w „Róży" Wojciecha Smarzowskiego. Zagrała m.in. w „Idzie" i „Zimnej wojnie", „Zielonej granicy", „Simonie Kossak", „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy", „Domu dobrym", „Weselu".

Gram silne ofiary

Plastik jest atrakcyjny wizualnie, ale nudny. O ileż ciekawsze są poorane twarze, które mają wypisaną jakąś historię, niż nieskazitelne piękno – mówi Agata Kulesza, grająca główną rolę w filmie „Czas, który nie nadszedł" oraz pani Meliton z „Lalki".

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Znamy się długo, stąd bezpośredni ton rozmowy. Ale czy tobie znany jest efekt Kuleszy?**

AGATA KULESZA: – Na konferencji prasowej „Lalki" Maciek Kawalski użył tego sformułowania, nawiązując do efektu Kuleszowa. Radziecki reżyser Lew Kuleszow zorientował się, że jak zmontuje obok siebie ujęcia okruszków i smutnego aktora, to widz pomyśli, że ten człowiek jest głodny. Natomiast wniosek Kawalskiego był taki, że kiedy ja się pojawiam w kadrze, rośnie temperatura i dzięki mojej energii film zaczyna pędzić.

Staje się lepszy.

Bardzo miły komplement. Nie każdy pamięta z powieści Prusa graną przez mnie panią Meliton. W książce to postać mało istotna, a w scenariuszu została skonstruowana tak, jakby to ona pociągała za sznurki i kierowała Wokulskim. Obejrzawszy jedną z pierwszych wersji filmu, sama się uśmiechałam do siebie, że z takim dystansem ją zagrałam. W recenzjach, które czytałam, też zostało to zauważone, co mnie ucieszyło.

Jak się kradnie sceny innym aktorom?

Nie nazwałabym siebie złodziejką scen. Nie można wejść na plan i przyćmić wszystkich. To nie miałoby sensu. Dobra scena powstaje dzięki wzajemnej akceptacji, kiedy aktorzy ze sobą współpracują i nawet głupich pomysłów nie wstydzą się sprawdzać przed sobą.

Na mieście krążył taki dowcip, że aktorów nie pyta się, czy grają w „Lalce", tylko w której. Miałaś wybór?

© ŁUKASZ BĄK

eprasa.pl 50b67a7159

Nie miałam. Któregoś dnia zadzwoniła agentka. Jest taka nieduża rola z Marcinem – zagaduje. W kostiumie? Tak, będziesz jeździła dorożką. Biorę! Kocham filmy kostiumowe, a nie mam zbyt dużego doświadczenia w tym gatunku. Jako aktorka raczej jestem przypisana do współcześnie cierpiących kobiet. Więc to było trochę jak spełnienie marzeń małej dziewczynki. Nagle dadzą ci sukienkę, parasolkę, rękawiczki, wsiądziesz do bryczki...

Trwa plebiscyt w sprawie, która „Lalka" lepsza. Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

Nie moją rolą jest recenzowanie, ale muszę przyznać, że jako wariacja „Lalki" serial bardzo mi się podobał. Obejrzałam z wielką przyjemnością koleżanki i kolegów, którzy tam wspaniale grają, i pomyślałam sobie, że młodzi widzowie może spróbują się teraz skonfrontować z powieścią. Wrócą do Prusa. Natomiast zastanawianie się, co lepsze, nie ma sensu, ponieważ moim zdaniem tego w ogóle nie da się porównać.

Ekranizacje jednak dzielą i budzą skrajne emocje.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Odebrałam netflixowy serial jako opowieść o różnych rodzajach przemocy: ekonomicznej, psychicznej, fizycznej, klasowej. Zdałam sobie sprawę, że rzeczywistość tak się zmieniła, że dawniej ta przemoc nie byłaby wyraźna, ponieważ mieliśmy z nią do czynienia ciągle. Przyjmowaliśmy ją w zasadzie bez żadnej refleksji. Nawet miłość Wokulskiego do Izabeli dużo osób uznaje teraz za stalkowanie – on ją osacza, a nie ma do tego prawa. Pochylamy się nad Izabelą, że taka nieszczęśliwa, bo nie ma możliwości, aby siebie wyrazić, a jednocześnie ona kocha świat arystokracji, który daje jej poczucie bezpieczeństwa. Chce się wyrwać, z drugiej strony trwa w nim. Może nowe „Lalki" powstają po to, żeby młode pokolenie zobaczyło rozpoznawalne twarze w tych rolach i dzięki temu łatwiej konfrontowało się ze współczesnością?

Nie wiem, czy słusznie, ale pani Meliton, romantyczna cyniczka, skojarzyła mi się z Elżbietą Kossak, którą zagrałaś w „Simonie Kossak".

Elżbieta Kossak była osobą twardszą, bardziej chłodną. Okazywanie emocji uważała za prostackie, nie wypadało tego robić w jej kręgach, tak została wychowana. Pani Meliton – jak ją z kolei Prus przedstawia – była nauczycielką, miała złamane serce przez kogoś z wyższej sfery, cierpiała na depresję. Śmieszne jest to, że ona wierzy, że kobieta musi być niezależna, że powinna sama dawać sobie radę, a zarabia i swoją niezależność zdobywa jako swatka. Traktuje kobiety w sposób instrumentalny, wikła je w świat, którego nie akceptuje. Trochę jakby brała odwet za swoją niespełnioną miłość. Jednocześnie jest bardzo dowcipna. Ustaliliśmy z reżyserem, że Wokulski ją lubi, prawdopodobnie mają wspólne poczucie humoru i to stanowi podstawę ich fajnej relacji.

Nie jest tak, że wolisz grać silne osobowości, bo sama nią jesteś?

No właśnie nie wiem, czy ja wolę. Chyba tak jestem obsadzana i tak ludzie mnie postrzegają. Z jednej strony widać moją wrażliwość, z drugiej siłę. Jestem krucha, ale nie poddaję się, i to mnie często łączy z moimi bohaterkami. Ktoś kiedyś powiedział, że gram silne ofiary, i coś w tym jest. Sama uważam się za ambiwertyka, czyli ekstrawertyczną introwertyczkę. Niełatwo się dokopać do mojej intymnej strony, a generalnie wszystkim się wydaje, że bez problemu wszystko z siebie wyrzucam, jestem otwarta i nie czuje się we mnie skrępowania. I te moje postaci chyba takie są, dosyć blisko mnie.

To się zaczęło od „Idy", gdzie zbudowałaś niesamowicie silną, wyrazistą postać stalinowskiej prokuratorki?

Wcześniej była Róża w filmie Smarzowskiego, też ofiara historii, na swój sposób waleczna. A więc to wszystko ewoluuje, nawet jeśli gram kobiety pozornie podobne: chłodne, zimne, cyniczne, czasami bezczelne, ale mające w środku swój wewnętrzny świat, do którego nie chcą nikogo dopuścić. Co nie znaczy, że są to moje ulubione role.

Ciekawi mnie, czy uważasz, że wybór aktorki do danej roli to kwestia zgodności osobowości z charakterem postaci, czy aktorka musi się dopasować do roli i umieć schować swoje ego?

Jestem sprawna rzemieślniczo, dużo gram, potrafię być elastyczna. Niestety, prawda jest też taka, że nawet gdyby mnie przefarbować, nie zagram eterycznej blondynki tak dobrze, jak zagrałaby eteryczna blondynka. W szkole teatralnej mówi się, że trzeba umieć zagrać przeciwko warunkom. Z mojej praktyki wynika, że angażują cię wyłącznie po warunkach. Dzięki temu szybciej osiąga się pewne rzeczy. Oczywiście chętnie nad eteryczną blondynką bym popracowała, ale nikt nie ma czasu, żeby tego ze mną szukać. Wyjątkiem jest teatr.

Często powtarzasz, że w życiu bywasz dosyć leniwa, w pracy niezwykle pracowita.

Nigdy nie oddaję walkowerem roli i zawsze będę brała czynny udział w tworzeniu, w kreowaniu. Nie interesuje mnie przychodzenie na plan tylko po to, żeby wysłuchać, co reżyser ma do powiedzenia i posłusznie wykonywać jego polecenia. Lubię być w dialogu z twórcami, staram się nie ograniczać tylko do swojej roli, próbuję patrzeć szerzej, jakiego rodzaju kolor mam dołożyć w ogólnym pejzażu. Myślę, że dosyć łatwo się ze mną pracuje, bo się temu oddaję.

Zagrałaś również w „Zimnej wojnie" Pawlikowskiego. Miałaś żal do reżysera, że nie znalazł dla ciebie choćby małego epizodu w „Ojczyźnie"?

Nie, absolutnie nie. Uwielbiam „Ojczyznę" i cieszę się bardzo, że mogłam ten film obejrzeć jako widz. Bardzo mnie poruszył. Sandra Hüller to wybitna artystka i myślę, że nie można było lepiej wybrać. Do roli córki Tomasza Manna potrzebna była rodowita Niemka władająca językiem. Śmialiśmy się z Pawłem, że na tamtym rynku Sandra Hüller jeździ Buickiem, a ja Wartburgiem.

Sądzisz, że ludzie kochają kino, bo ciężko jest im się pogodzić z upływem czasu? Dzielisz się takim spostrzeżeniem w swojej najnowszej produkcji „Czas, który nie nadszedł".

Nie tylko kino zatrzymuje czas. Sztuka w ogóle tak działa. Kontemplując malarstwo, literaturę, muzykę, na chwilę wyskakujemy ze swojego życia i oddajemy się jakiemuś równoległemu istnieniu, przeżywamy coś nowego. Potem wracamy. Czasami to budzi zachwyt. Pozwala zobaczyć pod innym kątem samego siebie, skonfrontować się ze swoimi marzeniami, lękami.

Jak tobie idzie godzenie się z upływem czasu?

Różnie. Czasami jestem zdziwiona, bo zapominam, ile mam lat. Wydaje mi się, że jestem dziewczyną, którą zawsze byłam. Później spotykam kogoś znajomego i panikuję: Matko Święta, ten siwy człowiek to mój kolega ze szkoły? Niemożliwe. Myślę wtedy: idź do lustra i spójrz, jak ty wyglądasz. No starzejemy się. Widzę swoje zmarszczki, słyszę, jak się czasami powtarzam. Pewne cechy się wyolbrzymiają, niektóre tracą urok. Trzeba się pilnować, by młodzieńczy wdzięk nie zamienił się w żałosną parodię bycia wiecznym heavymetalowcem. ▶

eprasa.pl 50b67a7159



Agata Kulesza jako pani Meliton z Marcinem Dorocińskim w roli Wokulskiego w kinowej wersji „Lalki”

▶ Kiedy sobie zdałaś sprawę, że nie jesteś już młoda?

W gruncie rzeczy cały czas mi się wydaje, że jestem młoda, mimo że zaczyna mnie boleć bark, jakąś zadyszkę złapię albo dokuczają mi stawy. Widzę jednak po uczeniu się tekstu, że kiedyś szło mi lepiej. Przeczytałam i od razu umiałam. Teraz muszę poświęcić na to więcej czasu. Wszystko się deformuje i degraduje, ale też myślę, że można o siebie zadbać. Patrząc na swoje zdjęcia, dziwię się, jak się posunęłam, a po trzech latach zachwycę się tym, jak na nich świetnie wyglądałam. Więc może warto zacząć myśleć tą starszą Agatą. Nie narzekać, co się dzieje obecnie, tylko pomyśleć, że Agata za trzy lata będzie zadowolona z tej Agaty teraz. A za sześć lat będzie jeszcze bardziej do niej tęsknić. Z drugiej strony wszyscy wiemy, jak to się skończy. Walki ze śmiercią nie wygramy.

Przeraża cię to?

Nie, przypomina mi tylko, jak ważne jest tu i teraz. Psucie sobie jakości życia przesadnym zamartwianiem się nie ma sensu. Jesteśmy naprawdę krótką chwilę na ziemi i fajnie jest cieszyć się mniejszymi rzeczami, a już na pewno nie warto poświęcać tyle uwagi naszemu opakowaniu. To nie to samo, co mamy w środku. Wiadomo, że są teraz duże możliwości, by poprawiać urodę, ale to wszystko wydaje mi się bardzo złudne i dające krótkotrwałe zadowolenie.

Wiele kobiet to jednak robi.

Jestem aktorką, moja twarz się zmienia. W niektórych rolach wyglądam okropnie, pamiętam, jak jakaś dziennikarka zadała mi pytanie, jak to jest, że jestem taka odważna i pokazuję się na ekranie w złym stanie. Wkurzyłam się – czy ona nie wie, jak rano wygląda, nie przegląda się w lustrze? W filmie można zrobić ze mnie ładną osobę i bardzo brzydką. Siła mojego aktorstwa tkwi m.in. w tym, że ja się tego nie boję. Jeżeli mam być stara, to będę. Nie mam przyklejonych rzęs, nie paraduję w kapeluszu, nie staram się wyglądać na coraz młodszą czy piękniejszą. Jestem normalną kobietą, którą można spotkać w sklepie, w metrze, na ulicy, więc ludzie mają poczucie, że jestem jedną z nich, i łatwiej się ze mną identyfikują.

Co myślisz o kobietach, które chcą udowodnić, że młodość można zatrzymać na długo?

Nie uogólniajmy. Są ludzie z deficytami. Jeśli dzięki operacji plastycznej deficyt zniknie, to chyba dobrze? U mnie samoakceptacja mniej jest związana z wyglądem zewnętrznym. Pewnie, że chciałabym świetnie wyglądać, ale bardziej interesuje mnie, czy wciąż mam żywy umysł, czy mi się chce, czy często się śmieję, czy posiadam wewnętrzny spokój.

„Czas, który nie nadszedł” to dystopia, w której obowiązuje kult młodości. Aby zachować idealny wygląd, należy przyjąć kurację antygeriatryczną, która zatrzymuje proces starzenia. Twoja postać się przeciwko temu buntuje, woli zachować naturalny wygląd. To oczywiście metafora świata z jego tyranią piękna narzucaną przez show-biznes i biotechnologię. Jak się w tym odnajdujesz?

Jak się czuję w rzeczywistości, gdzie trwa nieustający konkurs na awatary? Jeżeli ktoś przyzwyczaił się do swojego wizerunku, który ma wykreowany w mediach społecznościowych, i nie potrafi zaakceptować prawdy o sobie, to ma problem. Mam coś takiego, że najbardziej wzrusza mnie zwyczajność. Ładnie to wyraził Myśliwski, mówiąc, że on w książkach przedstawia świat ludzi prostych, bo to jest dla niego najciekawsze. Skromność przyjmowania życia. Z tego samego powodu ogromne wrażenie zrobiła na mnie powieść „Stoner” Johna Williamsa, wspaniała historia o tym, że ludzie są istotni nie dlatego, że są symbolami czegoś, ale dlatego, że są ludźmi. Każdy jest człowiekiem i w samotności płacze, smarka, jest mu źle. Nie namawiam, żeby to okazywać całemu światu, tylko nie udawajmy, że jesteśmy idealni. Kiedy biorę jakąś rolę, najpierw szukam słabości mojej postaci, bo z nią widzowie się utożsamiają. Plastik jest atrakcyjny wizualnie, przyciągający estetycznie, ale nudny. O ileż ciekawsze są poorane twarze, które mają wypisaną jakąś historię, niż nieskazitelne piękno,

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 50b67a7159

na którym nie widać, które mięśnie są bardziej rozwinięte: te od śmiechu czy te od płaczu.

Które ty masz bardziej rozwinięte?

Wszystkie. Dużo wydarzeń z życia mam zapisanych na twarzy. Ale nie będziemy o tym rozmawiać.

Co ci sprawia w aktorstwie największą przyjemność?

To kwestia wyobraźni i tego, jak się od dziecka bawiłam. Stwarzałam sobie różne światy, no i aktorstwo pozwala mi prowadzić równolegle kilka żyć. Oprócz tego, że przeżywam swoje, to jeszcze mogę wskoczyć w cudze buty. Być może w tym przejawia się moja pazerność na życie. Dlatego też lubię czytać.

Zastanawiasz się, kim byś była, gdybyś się nie dostała do szkoły teatralnej?

Nie mam pojęcia, co bym robiła, może zostałabym nauczycielką niemieckiego? Na pewno pracowałabym z ludźmi, nie mogłabym być pisarką, bo potrzebuję stałego kontaktu z drugim człowiekiem, inspirowania się. Niektórzy się śmieją, że jak kogoś poznam, to zasypuję tę osobę serią pytań: kim są babcia, dziadek, skąd przyjechali, uwielbiam te wszystkie sagi i rodzinne opowieści. Swoją drogą bardzo też lubię nic nie robić, chociaż niektórzy podejrzewają mnie o pracoholizm.

Często pojawia się zarzut, że polskie kino nie oferuje, zwłaszcza kobietom w twoim wieku, jakichś zaskakująco fajnych propozycji. Czy zdarzyło ci się odrzucić scenariusz ze względu na uproszczony charakter postaci kobiecej?

Tak, oczywiście. Nie bardzo przepadam za naszymi komediami romantycznymi. To w ogóle nie jest mój środek wyrazu. Zdarza się, że coś wydaje mi się za wulgarne albo za prostackie i wtedy nie chcę brać w tym udziału. Natomiast jeżeli mnie pytasz, czy dopada mnie ageizm, to muszę powiedzieć, że mając 55 lat, wciąż znajduję się w małym procencie aktorów w Polsce, którzy mogą wybierać role. Bardzo to doceniam. A co do polskiego kina, zachwyca mnie liczba młodych filmowców, ich odwaga. Dokonująca się zmiana warty jest budująca.

À propos śmiałości, czy to prawda, że dopiero w „Czasie, który nie nadszedł" po raz pierwszy rozebrałaś się w filmie?

Tak. *(śmiech)* Zawsze byłam wstydliwa i z reguły nawet jak miałam jakieś sytuacje, że trzeba było coś więcej pokazać – jak w „Róży" – to siedziałam naga do pasa, a kamera filmowała mnie z tyłu. A w „Czasie" reżyserka Julka Rogowska jakoś mnie namówiła. Skoro robimy film o ciele – nie było wyjścia. Miałam bezpieczeństwo w postaci partnera Dobromira Dymeckiego, dobre warunki na planie, żeby się przełamać, więc bardzo się cieszę.

Nie żałujesz, że za późno?

Mówi się, że ciało aktora to jego narzędzie, ale widocznie nie czułam potrzeby, żeby przełamywać aż tak ogromną barierę wstydu.

Co byś w takim razie poradziła młodym dziewczynom, które marzą o aktorstwie, ale jeszcze nie zastanawiały się, czy warto stawiać granice w tym zawodzie?

W aktorstwie nie ma jednego schematu. Pamiętam, że w szkole teatralnej mówiono, że jak do trzydziestki nie zrobisz kariery, to zmieniaj zawód. Sama jestem przykładem, że to nieprawda. Mądrze jest traktować aktorstwo poważnie, a jednocześnie lekko. Zgadzam się z Janem Peszkiem, który powiedział, że aktorstwo hula tylko na rozluźnieniu. Wyobraźnia najwięcej podpowiada, kiedy jest nieskrępowana. Trzeba uwierzyć, że to, co ma być moje, będzie. Patrzeć z uwagą na ludzi, rozwijać się, iść za pasją i nie ulegać stereotypom.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

POLITYKA + blik

Pakiet Premium
w cenie Standard

z Płatnościami powtarzalnymi BLIK

pierwszy rok za
299 zł
399 zł

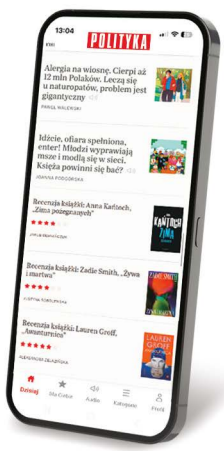

Teksty tygodnika, newsy, analizy

Blogi, Podkasty, Aplikacja

Płatność powtarzalna BLIK

Subskrybuj Polityka.pl

polityka.pl/blik

Oferta ograniczona czasowo

eprasa.pl 50b67a7159

Zapomnij! Zapomnij!



eprasa.pl 50b67a7159

Oczekiwana powieść Olgi Tokarczuk „Świata jest za dużo” to panoramiczny fresk, miejscami zbyt statyczny, miejscami porywający, który jest pochwałą zapominania. Tylko tak – przekonuje noblistka – możemy tworzyć nowy świat.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Kiedy świata jest za dużo, potrzebna jest fikcja. Ona może nam opowiedzieć przeszłość. I tej jesieni dostajemy jednocześnie kilka narracji historycznych, które konfrontują nas z przeszłością. A najbardziej oczekiwaną jest oczywiście powieść „Świata jest za dużo” Olgi Tokarczuk. Wielki projekt, pierwszy taki po „Księgach Jakubowych”, który opowiada o Dolnym Śląsku, o ziemiach zachodnich tuż po drugiej wojnie światowej, przesiedleńcach ze Wschodu, o zburzonym Breslau i rodzącym się Wrocławiu, o Wałbrzychu, ludziach, zwierzętach, roślinach, grzybach i przedmiotach, a także o pewnym Maszynopisie, czyli „Mesjaszu” Schulza, który przetrwał wojnę.

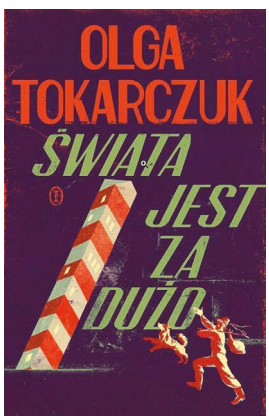

Dużo tego? Bardzo. Ale Dolny Śląsk zasługiwał na swoją opowieść. W literaturze powracał w ostatnich latach, ale głównie w powieściach gatunkowych, choćby u Marka Krajewskiego. Tokarczuk pokazuje, że to miejsce, „niepolska Polska”, w przeciwieństwie do „polskiej Polski”, centrali, ma przeszłość płynną, mglistą, opartą na przemilczeniach.

Odtwarzanie historycznych okoliczności wcale nie było dla pisarki najważniejsze – fikcja rządzi się swoimi prawami. Opowiada o miejscu, które przypomina wieżę Babel: mieszance języków, tożsamości, historii. W tym tyglu ludzie porzucają przeszłość, dawne imiona, przybierają nową tożsamość. Jedni, jak Nikodem Jakimski (dawniej Walerian Kozowicz), dziennikarz, odnajdują się, inni, jak Wanda Lewicz – Żydówka, która przeszła obóz koncentracyjny i zarabiała jako wróżka – muszą stąd wyjechać, bojąc się, że pogrom kielecki może się powtórzyć.

Ta wieża Babel to świat okrucieństwa i rozpuszczonej przemocy podlanej bimbrem – gwałt czai się na każdym kroku, dotyka choćby Ninę Lewandowską, której pomaga nie człowiek, lecz zwierzę. To świat, w którym zbrodniarką staje się też Elke, Niemka, która chciała wyjechać z dzieckiem z Polski. Przyjaciel ze Lwowa może nagle okazać się ubekiem, który ma już zupełnie inną tożsamość. Jednak powieść Tokarczuk nie skupia się na ludzkich historiach, narracja obejmuje też drzewa, gęsi, mrówki, a zrujnowany Wrocław, o którym się mówi, że nie warto go odbudowywać, okazuje się miastem pokrzyw. Waldenburg zaś, czyli teraz Wałbrzych, jest małym, niezniszczonym rajem: „rozciągnięty w dolinach, zapętlony między szczytami gór, rozwijał swoje wszelakie możliwości; był starym miastem o pięknym rynku i pomniejszych ryneczkach, od których odchodziły brukowane ulice”. Miejsca też są bohaterami tej opowieści.

Tokarczuk tworzy panoramiczny fresk, który w przeciwieństwie do przedstawianego czasu dynamicznych zmian okazuje się dość statyczny, opisowy. I to jest pewnie trudność tej lektury, która ma momenty porywające, ale miejscami przytłacza liczbą postaci, historii opowiedzianych w skrócie (ledwie zbliżymy się do jakiejś bohaterki, choćby do Wandy, to postać znika), fragmentaryczną konstrukcją sprawiającą wrażenie osobnych historii. I trudno zrozumieć ich kolejność, choćby dlaczego poruszająca opowieść o podróży do nowego świata, czyli historia Sołomiji (późniejszej Salomei) i jej rodziny, znalazła się dopiero na pięćsetnej stronie? Można mieć wrażenie, że ta powieść z czasem dopiero nabiera życia. A pewne jej fragmenty wydają się jeszcze przynależeć bardziej do „Ksiąg Jakubowych”, również stylistycznie.

Zwłaszcza na początku możemy mieć wrażenie statyczności: oglądamy obrazy: zburzony Wrocław, kamienica z dziurą po bombie, targowiska, ale i podziemia, piwnice, korytarze podziemne, szczątki innego miasta. Jak gdyby kamera prowadziła nas przez kolejne przestrzenie i zaglądała do mrówek i tulipanów, drzew, pokrzyw, zatrzymywała się na przedmiotach. „Kim byłby człowiek, gdyby nie jego rzeczy? – pyta Tokarczuk. – Bez jego czułych gestów wobec materii, bez arcyludzkiej idei kolekcjonowania, bez tych dziwnych przywiązań do filiżanek i talerzyków pomimo ich porażającej kruchości? Kim byłby? Dzikim stworzeniem, nagą małpą na stepach czasu, cieniem co nie zostawia śladów”.

Jesteśmy w miejscu, w którym wszystkiego brakuje. Ci, którzy tu trafili, nie mają czasem nic oprócz pierzyny i właśnie te przedmioty – dosztukowane, zdobyte, a przede wszystkim zastane, poniemieckie – zaczynają mieć drugie życie. Niemiecka śniadaniówka służy dziewczynce w szkole, teczka z napisem NSDAP nadaje się do przechowywania „Maszynopisu”, czyli ocalonego „Mesjasza” przewiezionego z Drohobycza. Życie tego legendarnego zaginionego rękopisu zasługuje na powieść, zresztą wielu autorów dopisywało jego możliwe losy. I ten ukłon w stronę Schulza jest tu bardzo ciekawy (zresztą w jednej z wersji losu przewidzianych przez szklaną kulę Schulz przeżył i dostał Nobla). Takich nawiązań jest więcej: opis bel i faktur materiałów u Kornbluta przypomina „Sklepy cynamonowe”, a sam Bruno Schulz pojawia się tylko jako „autor Maszynopisu”.

Jak opowiedzieć tak wielowątkową historię? W książkach Tokarczuk istotne jest, kto do nas mówi. I tutaj mamy mnogiego narratora, jakieś „my”, które ▶

© ŁUKASZ GIZA, WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 50b67a7159

▶ jeszcze się nie narodziło, pochodzące z przyszłości. Autorka wprowadza współczesny punkt widzenia, który zresztą się materializuje – jedna z bohaterek nagle widzi tych, którzy są obok i patrzą, to „my" z przyszłości, które próbuje zrozumieć tamten świat. Zdaniem Tokarczuk to jest „czuły narrator", który obejmuje ten świat współczującym okiem i zauważa nie tylko ludzi, ale też kaktusy pękające na mrozie, psy, lisy, które przeglądają się w magicznej kuli, a także grzyb na ścianie i grzybnię w podziemiach.

Ten mnogi narrator jest jedną z odpowiedzi na tytułową diagnozę, że świata jest za dużo. Patrzmy z wielu punktów widzenia. Tokarczuk tworzy wyobrażenie „Mesjasza", w którym właśnie taka była narracja. „Maszynopis" jest elementem spajającym tę całą rozgałęzioną historię – Wanda nosi go jak talizman, Jakimski czyta go na okrągło, żyje w tym tekście. A jego dopisane przez Tokarczuk losy są zaskakujące. I jest to jeden z ciekawszych wątków tej powieści – dotyczący też liter, które są żywymi istotami. Można zajrzeć do środka słów, pokroić słowo na warstwy. Mnogi narrator u Tokarczuk relacjonuje to, co było w „Maszynopisie" – pisanie językiem Schulza nie jest możliwe i nie sprawdziłoby się.

Autor „Maszynopisu" stworzył „opowiadacza mnogiego", o nierozpoznanej płci i wieku. Nieskończona liczba punktów widzenia przypomina miliony rozwieszonych prześcieradeł, a każde jest prawdziwą wersją świata. Czytamy u Tokarczuk, że „świata nie da się opisać w realistyczny sposób, nie da się go opowiedzieć. Realizm jest jednym z wielkich błędów myślenia". Czy jednak wielość punktów widzenia nie sprawia, że trudno nam się zbliżyć do którejkolwiek postaci? Poznajemy w telegraficznym skrócie jej dalsze losy (niektóre mają kilka wersji, z których jedna się spełnia). Przy niektórych postaciach nasza uwaga zostaje na dłużej – i to jest najpierw Wanda i jej kula (historię kuli poznajemy osobno), a potem cała przesiedleńcza epopeja Sołomiji i jej rodziny, i syna Franka, o którego los zaczynamy się martwić. Podróż z krowami, zgubienie pociągu, zajmowanie domu i szukanie kolejnego, bo nie można żyć bez swoich ludzi. To Sołomija odnajduje w jednym z domów brakującą sprzączkę i stąd rodzi się „prawo sprzączki", mały traktat o powinowactwach, które łączą czasem przypadkowych ludzi:

„Ci, co mają takie same sny.
Ci, co mają wspólne interesy (choćby przez chwilę).
Ci, co szli tą samą drogą, ale się zgubili.
Ci, co mieszkali w tym samym hotelu i domu. (...)
Ci, co nosili to samo ubranie.
Ci, co (chcący lub niechcący) zamienili się miejscami.
Ci, co stali w tej samej kolejce.
Ci, co zostali poczęci w tym samym momencie.
Ci, co mieszkają w dorzeczu tych samych rzek.
Ci, co naprawiają, z tymi, co popsuli.
Ci, co przyjechali, z tymi, co odjechali.
Ci, co napisali, z tymi, co czytają.
Ci, co upiekli, z tymi, co jedzą.
Są jednym".

Prawo sprzączki sprawdza się właśnie w tym momencie historycznym na Dolnym Śląsku, ale też jest to powinowactwo piszących i czytających. Pojawia się też u Tokarczuk nowa bogini – obok Inanny czy świętej Kummernis – w jej panteonie: Apofenia „patronka zbiegów okoliczności, sekretnych relacji i dziwnych powiązań między zdarzeniami w czasie". Apofenia też jest odpowiedzią na nadmiar świata – pokazuje, jak wszystko może się łączyć, zahaczać i zazębiać, losy i opowieści.

Najważniejsze, żeby czyjś los został opowiedziany. „Przeznaczeniu podlegają tylko ludzie nieopowiedziani. Kiedy zostaniemy opowiedziani, nasza egzystencja wkracza w inny wymiar. (...) Opowiedzenie i zapisanie czyjegoś życia uwalnia zatem tego kogoś od wiecznej męki w kole wcieleń". Tak głosi „Maszynopis", ale ta myśl wyrasta z całego imaginarium Tokarczuk, bo czasem to, co wymyślone, okazywało się prawdziwe, pisarka też wielokrotnie mówiła, że jej bohaterowie czasem domagają się, żeby opowiedzieć ich historię. W tym fragmencie również dowartościowane jest każde spisywanie losów – nawet najbardziej prywatne. Okazuje się, że świata jest za dużo, ale historii wcale nie. Nawet najbardziej amatorskie opowiadanie czyjegoś życia okazuje się czynnością równą modlitwie.

Najważniejsza odpowiedź na nadmiar świata brzmi u Tokarczuk: nauczyć się zapominać. „Zapomnieć! Zapomnieć! Puścić sprawy w niebyt, anihilować jednym aktem woli, rozpuścić, zatrzasnąć, niechże znikną". Wiemy, że dla psychiki ludzkiej to zapominanie jest zbawienne. I konieczne – są osoby, które po przejściu największych traum wyrzucają je z głowy, pamiętają obóz koncentracyjny jako miejsce, gdzie nie było tak źle. Czasami ten mechanizm obronny pozwala przeżyć i iść dalej. Czytamy: „Uczy się dzieci, jak pamiętać, a nie uczy, jak zapominać. Ludzie cierpią z powodu przeszłych wydarzeń. Trzeba umieć zapominać swój ból. Zapominanie jest błogosławieństwem". Tylko cały czas widzimy, jak wracają traumy, jak hasła z przeszłości powodują przemoc, powrót dawnych upiorów. Tak, chcielibyśmy sobie wyobrazić politykę, która koncentruje się przede wszystkim na przyszłości i odrywa się od przeszłości. Ale upiory nie opuszczają nas. Natomiast historia Dolnego Śląska to jest historia nowego początku, który chciał być opowiedziany.

Powieść Tokarczuk jest wymagająca, konstrukcja konstelacyjna sprawia, że nie zawsze wiemy, dlaczego teraz czytamy właśnie o tym, ale dla czytelników jej prozy będzie tu sporo ciekawych powrotów. Do „Domu dziennego, domu nocnego", który był właśnie domem z poprzednimi mieszkańcami. Nawet do „Prawieku" – Wałbrzych i Dolina Kłodzka są jak Prawiek. Zresztą, jak pisała Anna Bikont, była to przestrzeń schronienia dla ocalałych Żydów, którzy myśleli nawet o własnej autonomii.

Znajdziemy powroty do kabały, fragmenty dotyczące rabina podpalacza, Barucha Barocco, odsyłają do „Ksiąg Jakubowych" i wielu lektur, do których odwoływała się tamta powieść. Tam dostaliśmy obraz schyłku epoki, tutaj widzimy początek – ludzie z nowymi nazwiskami budują swoje życie w opuszczonym miejscu. Wśród prezentów, jakie dostajemy, jest też gra w sny poszczególnych bohaterów (czy umiemy je dopasować – i nie jest łatwo). Ale też passus o przyjemności pisania („był to taniec o nieprzewidzianym przebiegu, nigdy nie wiadomo było, gdzie zaprowadzi nas szaleństwo palców"), ten taniec na klawiszach przypomina „obłędne poruszenia karakonowych nóżek" i brzmi jak odpowiedź na zakusy AI – szaleństwo pisania jest ludzkie i z niego rodzi się literatura.

Największym wygranym w tej powieści jest Bruno Schulz, nauczyciel rysunku z Drohobycza, cała cudowność, jaką stwarzał w języku, a która nie daje spokoju czytelnikom i pisarzom. I jest dowodem na to, jak literatura żyje w literaturze.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 50b67a7159

NAJGORSZE RZECZY DZIEJĄ SIĘ ŚLEPĄ, CZARNĄ NOCĄ...

NOWA KSIĄŻKA
PRZEMYSŁAWA PIOTROWSKIEGO,
MISTRZA POLSKIEGO
KRYMINAŁU!

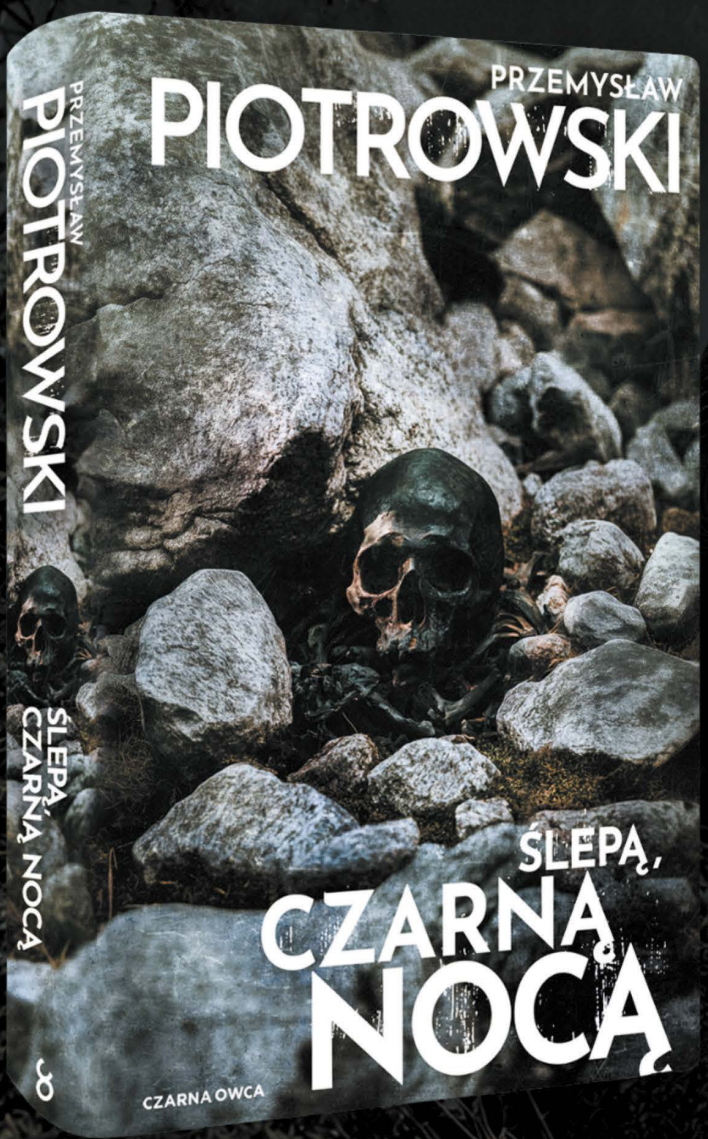

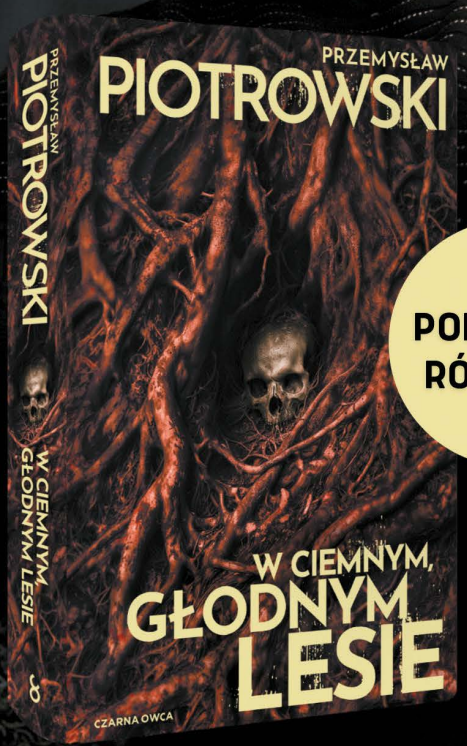

POLECAMY RÓWNIEŻ!

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA



Czy leci z nimi pilot?

Warner Bros. Discovery z TVN na pokładzie ma już oficjalnie nowego właściciela. Czym dla kina, streamingu i telewizji będzie megakorporacja Skydance Davida Ellisona?

ANETA KYZIOŁ

Największa transakcja ostatnich lat w branży domknięta. Warner Bros. i Paramount, dwa wielkie studia filmowe z ponadstuletnią historią i adekwatnymi do niej katalogami filmów, serwisy streamingowe na czele z HBO Max i Paramount+ (u nas SkyShowtime) oraz kilkadziesiąt stacji telewizyjnych (m.in. z grupy TVN), w tym kanały informacyjne: CNN, CBS News oraz nasz TVN24 – wszystko to od 6 października działa pod jedną nazwą: Skydance Corporation i pod władzą jednego człowieka, 43-letniego Davida Ellisona. Jak podsumował „New York Times", będzie on miał teraz pod swoimi rozkazami Batmana, Harry'ego Pottera, Kapitana Kirka, Wonder Woman, Ethana Hunta, Mavericka i SpongeBoba Kanciastoportego.

Jeszcze ważniejszą kwestią jest to, czy pod rozkazami będą także dziennikarze stacji i portali newsowych, które przejął Ellison. Ich nowy szef ma bowiem wielkie ambicje, które realizuje od lat z finansową pomocą ojca, Larry'ego, współzałożyciela i głównego udziałowca giganta z branży technologicznej Oracle Corporation, jednego z najbogatszych ludzi na Ziemi, z majątkiem szacowanym na 200 mld dol., oraz przyjaciela prezydenta Trumpa, z którym łączą rodzinę Ellisonów rozmaite zależności.

W mailu do pracowników nowej megakorporacji z okazji dopięcia transakcji David Ellison napisał: „To tak naprawdę

eprasa.pl 50b67a7159

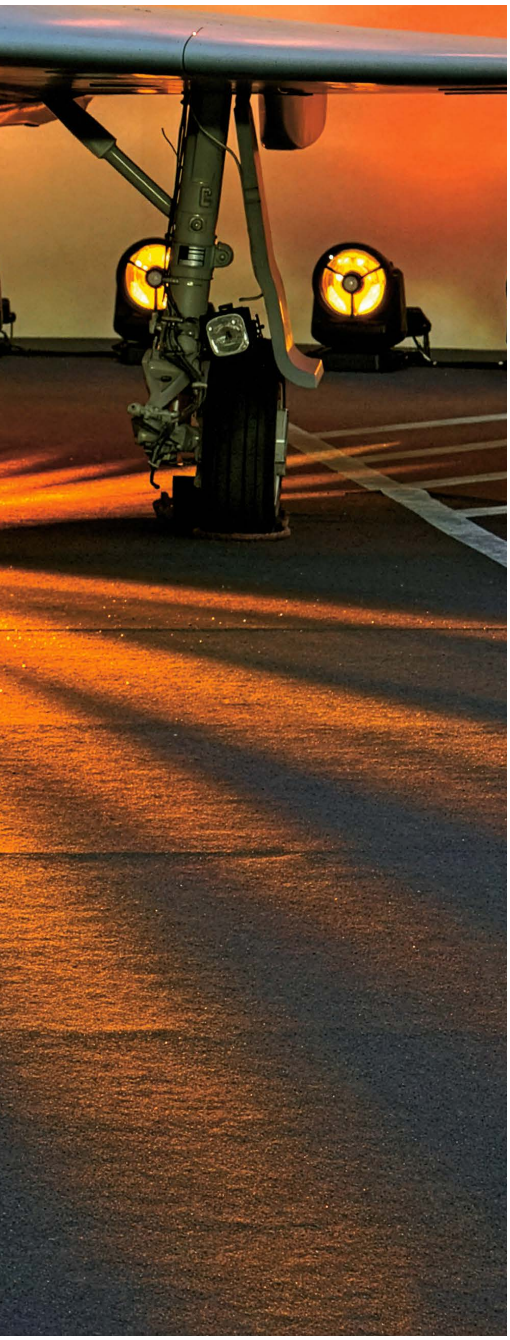

© ALBERTO PEZZALI/AP

dopiero początek. Jestem przekonany, że w nadchodzących latach wspólnie zbudujemy coś wyjątkowego. Ruszajmy!". Co to będzie za podróż?

Nepo baby z ambicjami

Urodzony w Kalifornii młody Ellison ma dwie pasje: kino i odziedziczone po ojcu lotnictwo. W tym pierwszym zaczynał od aktorstwa, ale po pierwszych porażkach przeniósł się na drugą stronę kamery i w 2006 r., wyposażony w książeczkę czekową ojca, założył Skydance Media, firmę produkcyjną. Jej nazwa – Taniec na Niebie – to nawiązanie do tego, co od początku wychodziło mu dużo lepiej niż aktorstwo: ma licencje na pilotowanie różnych typów samolotów i śmigłowce.

Skydance Media rozwijała się powoli, blokowana przez silną konkurencję. Szansą na zmianę sytuacji okazała się prezydentura zaprzyjaźnionego Donalda Trumpa. I to już był lot. Najpierw Ellisonowie sfinalizowali zakup Paramount Global, a kilka miesięcy później złożyli ofertę przejęcia Warner Bros. Discovery. Gdy okazało się, że zarząd WBD skłania się do przyjęcia propozycji Netflixa, zagrozili wrogim wykupem akcji, a potem przelicytowali konkurenta. Ostatecznie WBD zostało kupione za 111 mld dol., z których 40,4 mld pochodziło z kieszeni Larry'ego Ellisona, a 24 mld z Publicznego Funduszu Inwestycyjnego Arabii Saudyjskiej, Qatar Investment Authority i L'imad Holding z Abu Zabi – nabyły one akcje bez prawa głosu. Początkowo w grze był jeszcze jeden fundusz, Affinity Partners, z zięciem Donalda Trumpa Jaredem Kushnerem na pokładzie (media pisały o gigantycznym konflikcie interesów), ten jednak ostatecznie w transakcji nie wziął udziału. David Ellison będzie sprawował kontrolę nad nową firmą poprzez 77,5 proc. udziałów swojej rodziny w akcjach z prawem głosu spółki.

Przyszły potentat medialny zorganizował w kwietniu ubiegłego roku uroczystą kolację „na cześć Białego Domu Trumpa" i towarzyszył prezydentowi podczas gal UFC. Z kolei administracja Trumpa powierzyła rodzinie Ellisonów kontrolę nad amerykańską spółką zależną TikToka. Ta zaś odwdzięczyła się tym, że zaraz po zakupie Paramountu Ellison zrobił „porządek" w należącej do grupy stacji CBS News, uznawanej przez Trumpa za wrogą. Paramount Skydance wypłaciła Trumpowi 16 mln dol., kończąc spór sądowy po tym, jak prezydent uznał, że w programie „60 Minutes" stacji w sposób stronniczy zmontowano wywiad z jego kontrkandydatką w wyborach Kamalą Harris. Ugodę tłumaczono m.in. kosztami i nieprzewidywalnością dalszego procesu. Przede wszystkim zaś Ellison zakupił portal The Free Press i mianował jego współzałożycielkę Bari Weiss, znaną z krytyki liberalnych mediów, redaktorką naczelną CBS News. W wyniku jej działań program „60 Minutes" został zdemolowany, odeszło wielu reporterów.

Pomysł, aby to właśnie David Ellison przejął władzę nad kolejnym liberalnym, szanowanym medium, tym razem o zasięgu ponadamerykańskim, jakim jest CNN, spotkał się więc z protestami. Tym bardziej że CNN to od dawna główny cel ataków Donalda Trumpa, który w ramach zemsty za nieprzychylne wobec jego polityki materiały niedawno cofnął jej dziennikarzom akredytacje pozwalające na udział w konferencjach w Białym Domu, przywróciła je dopiero decyzja sądu.

Szantażowana branża

W opublikowanym w sierpniu w „New York Timesie" tekście David Ellison przekonywał, że obawy krytyków połączenia Paramountu i Warnera są przesadzone, a jego intencje czyste. Przedstawiał się jako wyborca kandydatów obu partii, mający poglądy w pewnych kwestiach konserwatywne, w innych liberalne, „jak większość Amerykanów". Obiecywał, że pod jego zarządem oba studia filmowe będą produkować pełną parą, na ekran duży i mały, dla siebie i dla innych podmiotów: 30 filmów kinowych rocznie, 170 seriali, że przeznaczy ponad 30 mld dol. rocznie na treści. Co zaś do mediów informacyjnych: „Wielkie organizacje informacyjne, takie jak CNN i CBS News, są po to, by przekazywać informacje w sposób obiektywny i bezstronny. Wymaga to redakcji, które odzwierciedlają cały świat, a nie tylko jedną jego stronę. Wymaga to również niezależności. Nasi dziennikarze będą nadal kierować się faktami i służyć wszystkim ludziom, a nie jakiejś partii czy sprawie". Ostatecznie zaś zdecydować mają odbiorcy i wolny rynek.

Jednocześnie Ellison nie wahał się użyć szantażu, grożąc w razie zablokowania fuzji przeniesieniem – wzorem firm technologicznych – siedziby Paramount Skydance z Kalifornii do innego, bardziej przyjaznego stanu. Dla Kalifornii i dla samego Los Angeles oznaczałoby to utratę wielu miejsc pracy – nie tylko w branży kreatywnej – oraz zysków z podatków.

Sama branża kreatywna podzieliła się w ocenie transakcji: obok krytyków podkreślających zagrożenie dla rynkowej konkurencji takiego dealu, są ▶

eprasa.pl 50b67a7159

▶ i tacy, którzy zwracają uwagę, że bez tego połączenia obie firmy są zbyt słabe, by przetrwać na rynku, na którym walkę o uwagę, czas i portfele widzów trzeba toczyć z wielkimi korporacjami technologicznymi, jakimi są Netflix, Prime Video, Apple TV, ale też YouTube i media społecznościowe. Zwolnienia – argumentują – i tak by były, a dzięki temu połączeniu mogą być mniejsze. Zaś widmo sprzedaży studiów filmowych i streamingu Netflixowi było postrzegane jako zagrożenie dla branży kinowej.

Transakcję, która zdążyła zebrać zgody od regulatorów rynku medialnego w USA, Unii Europejskiej i na świecie, zaskarżyła – jako zagrażający wolnorynkowej konkurencji monopol – koalicja 12 stanowych prokuratorów generalnych pod wodzą kalifornijskiego, do pozwu przyłączyła się Gildia Scenarzystów Amerykańskich. Ostatecznie po krótkim procesie i kilku rundach negocjacji strony zawarły pod koniec września ugodę. Zobowiązuje ona połączoną spółkę m.in. do niesprzedawania siedzib studiów w Kalifornii przez co najmniej pięć lat, do inwestowania co najmniej 300 mln dol. rocznie w produkcję filmową w USA, wprowadzenia do dystrybucji kinowej co najmniej 30 filmów rocznie w ciągu pierwszych dwóch lat oraz co najmniej 32 w kolejnych latach. Spółka zapowiedziała, że zainwestuje ponad miliard dolarów w amerykańską produkcję filmową i szkolenia pracowników.

Niezależny przekaz?

W sprawie niezależności mediów informacyjnych Skydance zobowiązało się do powołania w ciągu sześciu miesięcy od startu spółki rady złożonej z pięciorga dziennikarzy o różnorodnych poglądach, którzy ustanowią „przewodnie zasady redakcyjne i dziennikarskie" dla CNN i CBS News. Jak w praktyce miałby wyglądać taki nadzór i czym skutkowałoby dla zarządu Skydance nierespektowanie zasad, zwłaszcza że radę zatwierdzać ma ten sam zarząd? Nie wiadomo, ale amerykańscy dziennikarze przypominają, że do powołania podobnych rad zobowiązywał się Rupert Murdoch, gdy kupował kolejne media do swojej kolekcji, po czym zawsze znajdował kruczki prawne, by rady stawały się wygodną fikcją, a on mógł bezkarnie sterować ręcznie redakcjami.

Jaka będzie przyszłość CNN? Ellison ogłosił władze nowej spółki. Sam jako prezes i CEO koncernu będzie odpowiedzialny za wizję kreatywną i długoterminową strategię. Współszefem, zarządzającym na co dzień filmowo-serialowo-medialnym molochem Skydance Corporation, został Ynon Kreiz, do niedawna szefujący koncernowi Mattel (od m.in. lalki Barbie; WBD i Mattel wspólnie wyprodukowały hitowy film „Barbie" Grety Gerwig). Pion filmowy przejmie ekipa z Paramount Skydance, streaming z kolei dotychczasowy szef HBO Max Casey Bloys. Za telewizje będzie odpowiadał George Cheeks z Paramountu.

W CNN szefem pozostanie Mark Thompson, który zarządza stacją od trzech lat. W mailu do pracowników zaznaczył, że „szczegóły dotyczące sposobu, w jaki CNN będzie działać w nowej firmie, nie zostały jeszcze sfinalizowane", ale uspokajał nastroje: „Po pierwsze, jestem przekonany, że począwszy od Davida Ellisona, kierownictwo Paramount Skydance naprawdę wierzy w to, że wiadomości obok rozrywki stanowią kluczową szansę strategiczną dla naszej nowej firmy. Zapoznali się z naszą strategią cyfrową i są nią równie podekscytowani jak my". Po drugie: „Jestem głęboko przekonany, że rozumieją i w pełni popierają zasadę i praktykę niezależnego przekazu, za którym zawsze opowiadała się CNN".

Nie pierwsze rodeo TVN

Casus CNN jest pilnie obserwowany nad Wisłą. Reporterzy bez Granic apelowali o zbadanie transakcji zakupu WBD pod kątem niezależności redakcyjnej TVN24. Towarzystwo Dziennikarskie – o powołanie niezależnej rady w stacji, na wzór tych dla CNN i CBS News.

Grupa TVN, podobnie jak CNN, jest dochodowa – w ubiegłym roku osiągnęła rekordowe 2,65 mld zł przychodów, o 6,3 proc. więcej niż rok wcześniej, oraz 658 mln zł zysku netto. Same wpływy reklamowe sięgnęły 1,94 mld zł, a właściciel otrzymał 750 mln zł dywidendy. To miałby być argument za tym, żeby nie przeprowadzać rewolucji. Zwłaszcza że nowa megakorporacja potrzebuje pieniędzy. Ma dług szacowany na 80 mld dol., powstała w dużej mierze na kredyt i już trwają audyty – nowy szef obiecał akcjonariuszom 6 mld dol. oszczędności.

Zmiana linii programowej TVN24, drastyczne przesunięcie stacji w prawo byłoby ryzykowne z ekonomicznego punktu widzenia – utrata części widzów oznaczałaby także mniejsze zyski z reklam. Tymczasem polska prawica triumfuje i snuje dalekosiężne wizje, na których końcu jest założenie propagandowego kagańca na TVN24 przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi.

W internecie krąży mem z Ziobrą i Obajtkiem jako nowym kierownictwem TVN i uciekającymi dziennikarzami. Jest wygenerowany przez AI filmik z Michałem Rachoniem tańczącym w studiu „Faktów", jest Daniel Obajtek wręczający wypowiedzenie Monice Olejnik i Piotrowi Kraśce. I są komentarze w stylu: „Na Wiertniczej panika. Wielkie wietrzenie magazynów się szykuje".

Jednak na przeszkodzie realizacji marzeń prawicy może stanąć nie tylko rachunek ekonomiczny, ale też amerykańska polityka. Donald Trump dołuje w sondażach zaufania, ciągnąc za sobą Partię Republikańską, a Demokraci mogą w listopadzie odbić obie izby parlamentu. Pozycja Trumpa stałaby się wtedy bardzo trudna. Jego kadencja kończy się z początkiem 2029 r., kto będzie następnym prezydentem?

Poglądy Davida Ellisona, jak wielu biznesmenów, zmieniają się wraz z sondażami politycznymi. W 2024 r. przekazał prawie 930 tys. dol. na kampanię prezydencką Joe Bidena. W kolejnym roku zmienił stronę. Skydance finansowany jest przez jego ojca, który jako właściciel Oracle robi biznesy m.in. z rządami, nie tylko amerykańskim. Jest tu duże pole do konfliktu interesów, zwłaszcza gdy chodzi o stacje informacyjne.

W grudniu 2024 r., gdy Warner sondował opcję zbycia TVN, polski rząd wpisał grupę na listę firm strategicznych, których nie można sprzedać bez zgody państwa. Teraz się okazuje, że problemem może być zarówno sprzedaż, jak i zatrzymanie TVN przez Skydance.

W samym TVN nastroje są spokojne – to nie jest ich pierwsze rodeo. Poprzednie fuzje, z 2018 i 2022 r., nauczyły ich, że dla Amerykanów ważna jest ekonomia i że zmiany zachodzą powoli, a po drodze może się wydarzyć wiele nieprzewidzianych rzeczy. Na razie, mówią, zmieniły im się tylko wyświetlacze w komputerach – logo WBD zastąpiło nowe: Skydance.

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 50b67a7159





Skolim i Kubańczyk byli atrakcją wydarzenia zorganizowanego przez Karola Nawrockiego pod koniec sierpnia w Juracie

Wyjście z bloku

Karol Nawrocki chętnie pokazuje się z raperami. Oni z nim zresztą też. Krytyczny wobec polityki gatunek zaczął wyrażać sympatię do jej przedstawicieli. Ale czy za chwilę się nie odwróci?

MICHAŁ KLIMKO, MICHAŁ TOMASIK

Pod koniec sierpnia Karol Nawrocki zaprosił młodzież do Juraty. Dwudniowa impreza miała być „miejscem spotkania głowy państwa z młodym pokoleniem", ale Kancelaria Prezydenta przewidziała, że nie samą wymianą myśli z ministrami i szefem BBN młodzież żyje, warto więc zadbać o poziom dopaminy uczestników. Dlatego na plaży i scenie można było spotkać wiele osób znanych z telewizji, a jednym z wykonawców był Kubańczyk.

Nie był największą gwiazdą (na scenie występował również Skolim), sam też nie należy do czołowych polskich raperów (bliżej mu do youtubera) i prawdopodobnie jego występ przeszedłby bez większego echa, gdyby nie przemowa, którą raczył zgromadzonych. „Uważam, że robimy bardzo historyczną rzecz. Że w końcu mamy prezydenta, który wychodzi do młodych, który rozmawia z nami, który słucha o naszych potrzebach. Bo jakby nie było, my za jakiś czas, ci młodzi, będziemy decydować o tym, jak to państwo wygląda" – perorował ze sceny.

Słowa Kubańczyka prowokują pytanie, co i kiedy się zmieniło, że najbardziej krytyczny wobec polityki gatunek zaczął wyrażać zainteresowanie, a nawet sympatię do jej przedstawicieli. W przypadku prezydenta odpowiedź nasuwa się sama: aktywność Karola Nawrockiego – od kebaba po siłownię – zatacza viralowe kręgi w portalach społecznościowych, a rap do tak pojmowanej autentyczności pasuje jak ulał.

Dzwoni RP

Z innym raperem Nawrocki przeciął się – jak mawia młodzież – przy okazji obchodów rocznicy zaprzysiężenia go na urząd głowy państwa. Przed Pałacem Prezydenckim usłyszeliśmy utwór „Nie pytaj o nią" w wykonaniu rapera Eldo. Panowie poznali się w Instytucie Pamięci Narodowej, dokładnie w windzie. „Karol Nawrocki jest człowiekiem z dużego osiedla, dużej metropolii w Polsce. Duże osiedla dużych metropolii w Polsce słuchały rapu. To jest naturalne, że te dwa światy musiały się prędzej czy później spotkać" – tłumaczył Eldo w jednym z wywiadów.

Najprościej o motywacji do zaangażowania się w prezydencką imprezę mówił w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim: „Jak dla mnie, nie dzwoni prezydent Karol Nawrocki, tylko dzwoni Rzeczpospolita. Jeżeliby dzwonił prezes Rady Ministrów, to jest to zupełnie inna sytuacja. Ja na konwencji partyjnej nie wystąpię dla nikogo – nigdy". Podkreślił, że za tą „Rzeczpospolitą", czyli Nawrockim, stoi prawie 11 mln głosów, a to ogromny mandat.

W Kanale Zero – miejscu spotkań prawicy, ale też przecinania się świata internetu i polityki – inny raper, Kizo, przytoczył historię, jak Karol Nawrocki, ówczesny dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, zaprosił go przez wspólnego znajomego na wystawę. Wtedy miała się narodzić znajomość, której owoce obserwowaliśmy publicznie kilkukrotnie. Podczas głośnego wywiadu Krzysztofa ▶

© GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KPRP, INSTAGRAM.COM/KUBANCZYK.OFFICIAL

eprasa.pl 50b67a7159

▶ Stanowskiego z Kubą Wojewódzkim i Piotrem Kędzierskim szef Kanału Zero wyznał, że pewnego dnia zadzwonił do niego Nawrocki z pytaniem, co tam słychać u Kizo. Według Stanowskiego prezydent miał się poznać z Kizo w drodze na mecz Lechii Gdańsk. Kilka miesięcy później dwóch Gdańszczan – raper i prezydent – wstawiło wspólne zdjęcie z treningu w Pałacu Prezydenckim.

U wielkiego brata

Bratając się z rapowym światkiem, prezydent Nawrocki wchodzi w buty swojego większego brata. W medialnym blasku raperów (i raperek) lubi się też ogrzewać Donald Trump. W ciepłych słowach wypowiadali się o nim m.in. 50 Cent, Snoop Dogg, Ice T czy Lil Wayne – by wymienić tylko tych najpopularniejszych. W Białym Domu Trump gościł też Kanye'a Westa czy Nicki Minaj, która nazwała się „największą fanką" prezydenta, dodając, że „po prostu go kocha". Choć nie brakuje też otwarcie potępiających go rapowych głosów.

– *Stany Zjednoczone od końca lat 80. uznają rap za dobro narodowe, co też łączy się z jego obecnością w mainstreamie, a co za tym idzie: i gospodarce. Nieważne, kto zasiadał w ostatnich dwóch dekadach w Białym Domu, zawsze byli tam raperzy. Czy to był Barack Obama, który regularnie dzieli się swoimi ulubionymi utworami, wśród których dominuje rap, czy Donald Trump, który ostatniego dnia pierwszej prezydentury ułaskawia Lil Wayne'a i Kodaka Blacka* – mówi Filip Kalinowski, dziennikarz muzyczny i autor książek. Ci ostatni to oczywiście gwiazdy rapu.

– *Ci raperzy niekoniecznie muszą mieć konkretne polityczne przekonania, jednej i drugiej stronie chodzi przede wszystkim o zasięgi* – dodaje Kalinowski. – *Cały czas mam wrażenie, że w Polsce nie wybrzmiała ta kulturotwórcza rola rapu jako gatunku, w kontakcie z którym wychowały się w zasadzie wszystkie roczniki od połowy lat 70. do dzisiaj. Nawrocki jest jednym z pierwszych polityków, który to zauważył.*

To podejście dobrze pasuje do rapowej historii o sukcesie jednostki wbrew systemowi, która jest jednym z najważniejszych mitów polskiego rapu. „To jest prezydent, wiesz, o co chodzi. To jest legendarne, nie?" – odpowiadał raper Żabson, o dwa pokolenia młodszy od Eldo, na pytanie, czy sam wystąpiłby u prezydenta Nawrockiego. Tu uścisk dłoni z prezydentem jest osiągnięciem odhaczonym w drodze na szczyt niczym w grze wideo.

Kiwka z prezydentem

– *W Polsce nie ma tradycji politycznie zaangażowanego rapu. W jego ponad 30-letniej historii mieliśmy raczej pojedyncze przypadki* – zauważa Kalinowski. – *Co ciekawe, Trials X, czyli jeden z pierwszych warszawskich zespołów rapowych, na swojej debiutanckiej demówce w 1991 r. był bardzo polityczny, zaangażowany. Mieli np. kawałek o tym, jak Marek Kotański próbował założyć w Laskach ośrodek dla matek i dzieci zarażonych wirusem HIV. Ale to wynikało z tego, jak ważny w tamtym momencie był dla nich amerykański, zaangażowany politycznie zespół Public Enemy.*



Eldo. Raper wystąpił podczas rocznicy zaprzysiężenia Nawrockiego na urząd prezydenta.

Zdaniem Filipa Kalinowskiego to pokazuje, jak wiele antysystemowych postaw, które prezentował polski rap w latach 90., było nie tyle świadomą polityczną deklaracją, ile po prostu wyrazem buntu młodych ludzi, których omijała większość ekonomicznych, politycznych i społecznych zmian. Jak tłumaczy, symboliczna może być zmiana na poziomie zaimków: pionierzy polskiego rapu chętnie wypowiadali się w liczbie mnogiej („To my, niechciani, nielubiani, przez swoich szanowani", jak rapowała Molesta), dla dzisiejszych twórców istnieje głównie ja.

Może dlatego wśród raperów najbardziej otwarcie zabierających głos w tematach światopoglądowych przeważają starsi twórcy. U nich też można zaobserwować ciekawą ewolucję poglądów. „Prawie całe życie byłem apolityczny i unikałem śledzenia poczynań władzy. Jednak to, co się teraz dzieje, jest dla mnie smutne i żenujące. (...) Nigdy nie sądziłem, że w tym kraju, który intronizuje Jezusa Chrystusa na króla Polski, będzie się rodził nacjonalizm, że usłyszę z ekranu telewizora i mediów społecznościowych antysemickie i ksenofobiczne hasła" – deklarował w 2018 r. w rozmowie z POLITYKĄ Vienio, jeden z liderów ulicznej Molesty. Dziś również kulinarny influencer, a jako raper komentator chętnie zapraszany do liberalnych mediów, obok Łony, Sokoła czy Fisza.

Ten ostatni w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" ostro krytykował Nawrockiego: „To taki sfotoszopowany dresiarz. Jeżeli kiedykolwiek czułem się zagrożony w swoim życiu, to właśnie przez takie osoby. Nieraz próbowały mi połamać nos". Podobnie donGURALesko, otwarty krytyk poprzedniej władzy i obecnego prezydenta. „Jak włączysz sobie nowego prezydenta w telewizorze i wyciszysz dźwięk, to obrazek bardziej pasuje do Tadżykistanu czy Uzbekistanu. Przesuwa nas to na Wschód" – mówił po wyborze Nawrockiego w rozmowie z magazynem „Freshmag".

Zaskakującą, choć konsekwentną, drogę przeszedł Peja, jeden z muzycznych idoli prezydenta. „Nie wiem, czy byłby z tego Rysiek Peja zadowolony, że mówię także o nim jako o kimś, kto dostarcza mi dawkę muzycznych emocji" – asekurował się Nawrocki w rozmowie z Żurnalistą. Być może słusznie, bo legendarny poznański raper, dwie dekady temu „reprezentujący biedę", do dziś pozostaje głosem wykluczonych, jednocześnie odpornym na populistyczne zagrywki władzy. W czasie protestów przeciwko zakazowi aborcji za rządów PiS atakował ekipę rządzącą, a przed ostatnimi wyborami prezydenckimi zwracał uwagę, że jako „chłopak z ludu" miał okazję poznać ludzi pokroju Nawrockiego, ale takich jak Trzaskowski – już nie.

Jednocześnie Peja otwarcie potępia działania Izraela w Strefie Gazy – zablokował m.in. dostęp do swojej muzyki na jego terytorium. W rozmowie z Bogdanem Rymanowskim wyznał, że wystosował list do prezydenta z prośbą o spotkanie poświęcone militarnej współpracy z Izraelem. Doszło do niego 23 października 2025 r.; wedle relacji Pei trwało około dwóch godzin i poza Izraelem dotyczyło wizyty prezydenta w USA czy początków działalności politycznej. Co więcej, Poznaniak miał otrzymywać kolejne

eprasa.pl 50b67a7159

zaproszenia na państwowe imprezy. Podczas obchodów Czerwca '56 udało się mu nawet wymienić z prezydentem „kiwkę" (przywitanie, skinienie głową).

– *W rapie bardzo dużo rzeczy realizuje się między słowami. To taka forma wypowiedzi, w której czasami naście wersów zupełnych „głupot" nie wyklucza, żeby w jednym czy dwóch padło nagle coś bardzo ważnego* – dodaje Filip Kalinowski. – *Jak u Łajzola z warszawskiej grupy JWP/BC, który swoją zwrotkę u Asthmy rozpoczyna słowami: „Nie pie...ol się w tańcu", a kończy: „Chwała Ukrainie!". Co, patrząc na środowisko odbiorców rapu, jest bardzo mocną, dywersyjną wręcz deklaracją.*

Strajkujemy z raperami

Polski rap – tak jak społeczeństwo – budzi się z ideologicznego letargu najczęściej w momentach politycznego wzmożenia. Jednym z takich wydarzeń był strajk kobiet, kiedy media społecznościowe czołowych polskich raperów rozświetliły grafiki z piorunem i ośmioma gwiazdkami – od Taco Hemingwaya, Bedoesa i Quebonafide, przez Palucha, PRO8L3M i Żabsona, po Sokoła, Peję czy Tedego. „Strajkujemy z kobietami, chcą kontroli nad ciałem/ Tu, gdzie władzę ma karzeł, który ma kota, nie babę" – rapował Szpaku w kawałku o wymownym tytule „Ośmiogwiazdkowy S*urwiel". A wpis przypominający o prawie człowieka do wolności pojawił się nawet na profilu radykalnie ulicznego Hemp Gru.

Bedoes od początku kariery porusza trudne tematy. Przed kilkoma laty jeden z autorów niniejszego tekstu pisał o raperze: „Został zresztą jednym z ambasadorów akcji »Otwórzmy się na świat« – inicjatywy »Vogue Polska« i Anji Rubik wspierającej osoby LGBT". Bedoes rapował o przemocy w rodzinnym domu, bydgoskich blokach, wierze i tolerancji, a ostatnio znalazł się na ustach i ekranach za sprawą rekordowej zbiórki na fundację Cancer Fighters. Z jedną z podopiecznych nagrał „Diss na raka", a influencer Łatwogang rozpoczął transmisję, którą panowie poprowadzili wspólnie. Zebrano blisko 300 mln zł, a stream oglądała cała Polska.

Takie chwile ogólnonarodowej – i ogólnorapowej – zgody to jednak wyjątki. Poza nimi każdy dba o swój ogródek, w którym od czasu do czasu zakwita polityczne ziarno. Mata, po dosadnych atakach na PiS i TVP Jacka Kurskiego („J...bać Telewizję Polską. Jacek Kurski, ch...j ci w dziąsło, bo chciałbym w spokoju dorosnąć" – rapował w utworze „Patoreakcja"), na ostatniej płycie rozdaje razy po równo – jak gdyby przygotowywał sobie już grunt pod kampanię przed wyborami prezydenckimi, w których zamierza wystartować w 2040 r. „Kiedyś pocisnąłem Jacka, teraz nie pocisnę Leszka, bo teraz pora na Tuska/ Koalicja Obywatelska was wy...cha tak, jak was wy...chał PiS/ Co ja gadam? Jestem w tym tak samo jak wy" – rapuje w kawałku „Będę prezydentem :)". I wylicza: „Trzech posłów poniżej trzydziestki w sejmie – o ch...j chodzi? Jak oni nie są za starzy, my nie jesteśmy za młodzi/ Co wy możecie wiedzieć o problemach pokoleniowych generacji Z i Alfa/ Oprócz tego, że telefony są złe i trzeba je zabrać?".



Quebonafide. Jak sam twierdzi, ma teraz „fazę powrotu do konserwatywnych wartości".

O rządach ekipy Tuska podobne zdanie może mieć Quebonafide (35-latek, obecnie na muzycznej emeryturze), który już w 2013 r. rapował: „Boga nie ma, prosta sprawa/ Bo gdyby był, nie stworzyłby Tuska i »Kac Wawa«". Od tego czasu przeszedł długą drogę, by finalnie zatoczyć koło. „Mam teraz fazę powrotu do konserwatywnych wartości, z których wychodziłem, bo u mnie w domu, szczególnie tata, był ich orędownikiem. I mam poczucie, że jest w tym jakiś sens. (...) Mam bardzo duże rozczarowanie skrajnym liberalizmem, pomimo tego, że przez chwilę byłem w to zapatrzony. Bardzo często prowadzi do egoizmu, a egoizm z kolei prowadzi do jakiejś totalnej destrukcji, krachu" – opowiadał o swoich aktualnych poglądach w Kanale Zero. Zastrzegając, że nie uważa, by osoby znane powinny wykorzystywać swój głos, żeby „obwieszczać, że rób to czy tamto".

Podatki z Leosią

Podobne zdanie zdaje się podzielać wielu młodszych twórców – być może również z obawy przed tym, że próba wypowiedzi na poważniejsze tematy mogłaby odsłonić, że w istocie niewiele mają do powiedzenia. Jak w podchwyconej przez internautów wypowiedzi Young Leosi podczas charytatywnego streamu Łatwoganga, która zaczęła snuć fantazję na temat świata, w którym bogacze tacy jak Elon Musk dzielą się częścią swojej fortuny ze społeczeństwem – co szybko stało się memem o odkrywaniu przez młodą raperkę podatku progresywnego (podchwyciła go m.in. partia Razem).

– *Raperzy są jak wszyscy obywatele. Jedni rozumieją mechanizmy działania państwa lepiej, inni gorzej. Ponadto rap nie jest też łatwym medium do prowadzenia uczonych dysput. Nie musi tego jednak robić, żeby wyrażać jakąś prawdę o świecie społecznym. Zakładając, że w pewien sposób wszyscy uprawiamy politykę, że wszyscy wyznajemy jakąś ideologię, to bez wątpienia raperzy wypowiadają się na tematy społeczne* – mówi prof. Cezary Błaszczyk, prawnik z Uniwersytetu Warszawskiego, analizujący związki między polskim hip-hopem a prawem i polityką.

Jak dodaje, polityczność rapu jest najbardziej powierzchowna, gdy nawiązuje do konkretnych doktryn czy aktorów polityki. – *Gdy jednak opowiada o zjawiskach, problemach czy ideach, może być głęboki. Często głębi dodaje mu interpretacja, ale nie jest to defektem; piosenka, jak każdy komunikat, jest interpretowana przez odbiorców, nie ma jednego znaczenia, nad którym panowałby autor tekstu. Żywotność państwa, poczucie sprawiedliwości i efektywność prawa zależą od choćby szczątkowego wyznawania przez ludzi wspólnych wartości. Nośnikiem tychże jest właśnie kultura. Wydaje mi się, że hip-hop przypomina słuchaczom o sprawczości. Czasem dotyczącej wyłącznie ich życia prywatnego, a czasem publicznego* – mówi profesor.

Nic więc szokującego, skandalicznego czy nowego w mariażu polityków z rapem i raperów z polityką. Ćwierć wieku temu Peja podsumował swoją twórczość klasyczną dziś linijką: „Jakie życie taki rap, w nim zawarte jest wszystko/ Jestem z tych MC's, co pieprzą, jak człowiekowi ciężko". Jakie życie taki rap. Jacy raperzy, tacy politykierzy.

MICHAŁ KLIMKO, MICHAŁ TOMASIK

© MIKOŁAJ BUJAK/KPRP, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 50b67a7159



Zaklinaczka martwych języków

Książka Anne Carson „Słodko-gorzki eros" wpadła mi w ręce dziesięć lat temu. Zaintrygowało mnie pierwsze zdanie, a właściwie dwa: „To Safona pierwsza nazwała erosa słodko-gorzkim. Nikt, kto był zakochany, nie będzie się z nią spierał". Nie zamierzałam się spierać. Zabrałam książkę na wakacje do Skala Eresou, miejsca narodzin Safony na wyspie Lesbos, i przeczytałam na plaży pośród opalających się kobiet. Ugodziła mnie mocno, znienacka, jak Eros z przedpiśmiennych czasów, kiedy był jeszcze potężną, dziką siłą zdolną łamać dęby, a nie pulpeciastym amorkiem o złośliwych oczkach. Napisany przez poetkę esej o greckiej teorii pożądania, której zarysy przechowały się w starożytnej literaturze i na malowanych wazach, łączył przeciwne bieguny. Był namiętny i powściągliwy, o erotyzmie opowiadał językiem geometrii, kochanie żenił z pisaniem i myśleniem, seks z lekturą. Był wehikułem rozkoszy poruszanym energią metafor, paradoksów i kalamburów.

Z niezrównanym wdziękiem prezentował oprzyrządowanie greckiego gabinetu erotycznych tortur. „Przyjęta przez greckich poetów fizjologia doświadczenia erotycznego zakłada, że eros jest wrogi w intencji i szkodliwy w skutkach" – pisała Carson. W poezji greckiej w odniesieniu do erosa pojawiają się „metafory przekłuwania, miażdżenia, kiełznania, przypiekania, żądlenia, kąsania, ścierania, ścinania, trucia, przypalania i mielenia na proch", dając „skumulowane wrażenie głębokiej obawy o własną integralność i kontrolę nad ciałem". Grecy bali się miłości i zalecali unikać jej jak choroby. Z wyjątkiem dwóch osób – poetki Safony i myśliciela Sokratesa.

> Anne Carson karmi swoją wyobraźnią mityczne figury, które mówią jej głosem świeżo i naturalnie. Żyją na naszej ulicy.

W najważniejszym fragmencie „Słodko-gorzkiego erosa" Carson pisała: „Twoja historia, mówi Sokrates, rozpoczyna się w chwili, kiedy wchodzi w ciebie Eros. To wtargnięcie jest największym ryzykiem twojego życia. To, jak sobie z tą sytuacją radzisz, świadczy o jakości, mądrości i decorum twojego wnętrza. Kiedy to robisz, wchodzisz w kontakt z własną istotą – w sposób nagły i zadziwiający. Nad twoim życiem unosi się aura wtajemniczenia. Coś prowadzi cię ku poznaniu tak całkowitemu i jasnemu, że aż przepełnia cię radość. W przekonaniu Sokratesa ten nastrój nie jest złudzeniem. To wgląd w starsze warstwy czasu, w te rzeczywistości, które kiedyś znałeś lub znałaś, piękne tak oszałamiająco, jak spojrzenie ukochanej osoby".

Powiedzieć, że Anne Carson jest filolożką klasyczną, poetką i tłumaczką, to nic nie powiedzieć. Noblistka wymyka się z tej definicji jak puma z klatki. Przez większość życia określała się jako mieszkająca w Kanadzie wędrowna nauczycielka greki, czyli – tak to rozumiem – miłości i mądrości. Starożytna literatura grecka jest dla niej odrębną dziedziną sztuki, materiałem najwdzięczniejszym z wdzięcznych. Carson wyraża się poprzez antyk jako artystka, przetwarzając go w swojej poezji, esejach i przekładach. Nie jest popularyzatorką ani poszukiwaczką naukowych ustaleń. Jest zaklinaczką martwych języków. Kiedy przekłada na angielski ocalałe fragmenty Safony, zyskujemy podwójnie – dostajemy nową Safonę nieodłączną od nowej Carson, przy czym żadna z poetek nie dominuje nad drugą. Carson karmi swoją wyobraźnią mityczne figury, które mówią do nas jej głosem świeżo i naturalnie. Zaczynają żyć na naszej ulicy. Można je spotkać na stacji benzynowej w Peru i pogadać o „zwyczajnej, po ludzku zwyczajnej, źle wybranej miłości".

Dzisiejsza noblistka spotkała swoje przeznaczenie jako dziewczynka w mieście Hamilton w prowincji Ontario. Szperając w księgarni centrum handlowego, odkryła dwujęzyczne wydanie Safony. Uderzyło ją wizualnie: tajemnicze greckie znaki po jednej stronie, kawałki słów angielskich po drugiej i pełno luk jak w rozsypanej łamigłówce. Poczuła, że musi to rozszyfrować. Pierwsze lekcje greki dała jej ekscentryczna nauczycielka łaciny, która pachniała selerem i po roku przepadła, podobno gdzieś w Afryce. Później objawił jej się Oscar Wilde ze swoim środowiskiem i z klasycznym wykształceniem. Był crushem młodej Carson. Uważała się za jego reinkarnację i ubierała jak on. W stroju à la Wilde zjawiała się na wieczorach autorskich i nadal chętnie nosi androgyniczne trzyczęściowe kostiumy oraz czerwony krawat ze skrzydlatym potworem Gerionem.

Decyzję Akademii Szwedzkiej przyjęła po stoicku. „Żyjemy na wietrze" – powiedziała dziennikarce, przytrzymując na siwej głowie czapkę bejsbolówkę, by nie porwał jej wiatr. Od kilkunastu lat mieszka z mężem na Islandii. Po polsku oprócz „Słodko-gorzkiego erosa" w moim tłumaczeniu można przeczytać „Autobiografię czerwonego. Powieść wierszem" i „Dekreację. Wiersze, eseje, operę" w przekładach Macieja Topolskiego, „Piękno męża. Esej poetycki w 29 tangach" w przekładzie Olgi Kubińskiej oraz „Boję" w przekładzie Gwido Zlatkesa. Ten ostatni utwór, dostępny w sieci, nie znalazł w Polsce wydawcy ze względu na swoją formę – w oryginale ma kształt luźnych kartek zamkniętych w przezroczystym pudełku.

RENATA LIS

eprasa.pl 50b67a7159

FELIETON

Witkowski



Tonący grzywki się chwyta

Krótkie ujęcie: policjant odprowadza podirytowanego obywatela spod drzwi Sali Kongresowej. Słychać jakieś mgliste tłumaczenia, kwitowane oschłym „Ma pan bilet?". Oczywiście, że nie ma. Naród ruszył bowiem ławą, by zobaczyć Anatolija Kaszpirowskiego. Zobaczyć i dać się uzdrowić. Materiał „Polskiej Kroniki Filmowej", z którego pochodzi wspomniany fragment, nosi tytuł „Głód nadziei". Trudno nie pochwalić twórców za umiejętność mapowania nastrojów. Był rok 1990, dopiero wprawialiśmy się we wczesnotransformacyjnej desperacji, a już potrafiliśmy ją nazwać. Kaszpirowski, dyplomowany psychiatra, w tamtym momencie raczej bioenergoterapeuta, nie musiał bowiem wcale czarować i hipnotyzować. Wystarczyła nam obietnica ulgi. A że w ślad za nią szła jeszcze pewna szorstka charyzma...

Dziś, gdy oglądamy rozrzucone po sieci zapisy jego seansów, Kaszpirowski nie wydaje się już Wielkim Hipnotyzerem z sowieckich rejonów kosmosu. Ot, poczciwina, zwykły ojciec, który ma problem z wyrażaniem pozytywnych emocji. Może i karierowicz, najwyraźniej nieusatysfakcjonowany tym, ile zarabiają prawdziwi lekarze, dodatkowo znudzony tradycyjną medycyną. Całość ma niespieszne tempo, występom towarzyszy puszczana z taśmy muzyka klasyczna. To jakiś koncert życzeń, występ z serii „Kraina Łagodności", a nie żadne międzyplanetarne gusła.

Tak, Kaszpirowski był modelowym szarlatanem. Przy tym jednak zostawiał gdzieś na marginesach miejsce na uczciwość.

Nie znaczy to jednak, że Kaszpirowski nie był szarlatanem. Przeciwnie. Był to szarlatan modelowy, dyskretnie polujący na ofiary i czekający na odpowiedni moment. Niestrudzony w poszukiwaniu podatnych gruntów, na których mógłby zasiać zatrute ziarenko. We wspomnianym materiale filmowym lektor Tomasz Knapik rzuca z offu: „To zastanawiające, jak bardzo szukamy źródeł nadziei". Poza drogimi seansami uzdrawiającymi (lektor narzeka zresztą na wysokie ceny biletów – aż 50 starych tysięcy) Polacy czasów przełomu mieli przecież jeszcze w odwodzie proroctwa rozmaitych wieszczek w formie cienkich kioskowych książeczek, personalizowane horoskopy reklamowane w prasie i całe tony newage'owego szpeju. Kaszpirowski musiał być tego świadomy.

Nieporozumieniem byłoby przy tym zrzucać nasze zainteresowanie astrologią czy leczeniem przez telewizor wyłącznie na karb mody („Jankesi mają teleewangelistów, ale my Kaszpirowskiego"). Popyt wynikał z „głodu nadziei", ale i potrzeby ulgi – i to w wersji instant. „Niewiele wiemy o tajemnicy życia i śmierci człowieka, za to coraz więcej o jego naturze" – stwierdza refleksyjnie lektor w dalszej części materiału. Bo w momentach dynamicznych zmian, przełomów i nieuchronnie związanych z nimi kryzysów chwytamy się wszystkiego, co będzie pod ręką. Choćby i brzytwy czy, jak w tym przypadku, grzywki.

Nauka głosi, że nasz organizm regularnie wymienia stare komórki na nowe, nie znaczy to jednak, że od 1989 r. wyewoluowaliśmy w nowy gatunek człowieka. Co prawda dziś nie grozi nam radykalna zmiana na rynku pracy ani szokowa transformacja gospodarcza, *modus operandi* pozostaje jednak niezmącony. Widać to tym bardziej, że znów dotarliśmy do momentu przełomu lub przesilenia, które może skutkować całym łańcuszkiem okropieństw (albo umarliśmy wszyscy w 2020 r. na covid i jesteśmy w piekle, jak głosi jedna z internetowych hipotez).

Znów skłaniamy się w stronę niesamowitego, tym razem próżno tu jednak szukać kwartetów smyczkowych i sennych wyliczanek. Niesamowitości dostarczają nam znawcy „medycyny alternatywnej", coraz częściej zapraszani do dużych mediów. Albo „niezależni" twórcy internetowi chodzący na smyczce Rosji (bo na smycz są jednak za mali) oraz teoretycy spiskowi odciągający uwagę od realnych niesprawiedliwości.

Dzisiejsze „niesamowite" to płaska ziemia, bajania o ludziach-jaszczurach i smażących mózg antenach 5G. Słowem: wszystko, co w szybki i atrakcyjny sposób objaśni nam ten wybitnie nieczytelny świat, wskaże źródła problemów, wyleczy od ręki duszę i ciało. Pal sześć, gdy mowa wyłącznie o kosmitach budujących piramidy, mała „dänikenizacja" życia jeszcze nikogo nie zabiła (chyba, nie znam takich badań). Gorzej, gdy chodzi o rzekomo zabójcze szczepionki i zdrowie naszych bliskich.

Tak, Kaszpirowski był modelowym szarlatanem. Hochsztaplerem, który przepracowawszy kilkadziesiąt lat jako psychiatra i psychoterapeuta, nie mógł w pełni wierzyć w to, co robi. Przy tym jednak, paradoksalnie, był szarlatanem tonującym nastroje. „Handlującym nadzieją", jak określi to PKF, ale nie – pewnością. W trakcie seansu w Sali Kongresowej zaznaczał: „Moje leczenie nie może zastąpić medycyny". Było więc drogim dodatkiem, zadaniem dla chętnych, a nie rozwiązaniem od ręki. Blagą, ale zostawiającą gdzieś na marginesach miejsce na uczciwość. Czy muszę kończyć smutną puentą, że co prawda kiedyś nie było wcale lepiej, ale szarlatanów mieliśmy znacznie uczciwszych? Może po prostu powiem powoli: raz, dwa, trzy...? A nuż obudzimy się w nieco milszym świecie?

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 50b67a7159



Drzwi i cała reszta

Fakt, że próbuje się zrobić prezydenta Nawrockiego w konia, a nawet w trzy konie (Edzia, Ramzesa i Aramisa), budzi niesmak nie tylko dlatego, że co komu szkodzi, że Karol Nawrocki pojeździ konno z rodziną na świeżym powietrzu, zamiast przypakowywać w dusznej siłowni albo nieustannie odurzać się nikotyną. Prezydentowi należy się wypoczynek po fantastycznej robocie, którą – jak przyznaje – wykonał dla Polski, otwierając drzwi do stałej amerykańskiej bazy, o której rząd Tuska mógł sobie tylko pomarzyć.

Sytuacja amerykańskiej bazy w Polsce wygląda tak, że samej bazy jeszcze nie mamy, jak również oficjalnej zgody Amerykanów na bazę. Mamy za to doskonałe lokalizacje na bazę (a nawet dwie bazy) i – co według mnie kluczowe – drzwi do bazy, do których można bez trudu dobudować resztę. Z tym że zdaniem europosła Bielana rząd Tuska od miesięcy powstanie bazy celowo opóźnia, ryzykując, że prezydent straci cierpliwość i drzwi do bazy z powrotem zamknie.

Donald Trump miał rozważać wymianę nieudolnego rządu Tuska na rząd PiS i PSL, co przyspieszyłoby powstanie bazy, a przy okazji pozwoliło zakończyć nieszczęsną wojnę polsko-polską. W zestawieniu z ośmioma wojnami już przez Trumpa zakończonymi oraz wojnami w Iranie i Ukrainie, których zakańczanie właśnie trwa, przybliżyłoby to Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla, której zimna i pozbawiona empatii Norwegia mu odmawia i czego – jak ostrzegł – nigdy Norwegii nie zapomni. Mówi się, że Trump jest do tego stopnia Norwegią rozczarowany, że gdyby była Danią, to odebrałby jej Grenlandię. Na szczęście wenezuelska opozycjonistka Maria C. Machado zachowała się bardziej przyzwoicie niż Norwegia i oddała mu swojego Nobla, co, miejmy nadzieję, dla kolejnych laureatów stanie się niepisanym prawem, które sprawi, że na świecie będzie coraz więcej pokoju.

W sprawie wymiany rządu w Polsce Donald Trump zaprosił do Białego Domu prezesa Kosiniaka-Kamysza, ale wygląda na to, że Kosiniak misji utworzenia nowego rządu nie przyjął. Nie chce także zdradzić, o czym z Trumpem rozmawiał; może dlatego, jak twierdzą niektórzy, że nie jest tego do końca pewien, bo Trump mówił po angielsku.

Nie wykluczam, że także Trump nie jest pewien, z kim i o czym rozmawiał. Zwłaszcza że – jak ujawnił ambasador USA w Polsce – nazwisko Kosiniaka-Kamysza jest dla niego i innych Amerykanów nie do wymówienia, o zapamiętaniu nie mówiąc. W tej sytuacji fakt, że w zorganizowaniu spotkania Trump–Kosiniak-Kamysz pomagał Bielan, który nazwisko prezesa PSL potrafi wymówić bez trudu, jest według mnie absolutnie zrozumiały i nie należy doszukiwać się tu żadnego drugiego dna.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY
polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print

eprasa.pl 50b67a7159

Dobry zwierzak szuka swojego człowieka

Goliat

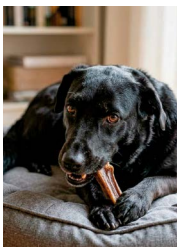

Częstochowa, pies, ok. 9 lat, 15 kg, średnio aktywny

Większość życia przeżył w schronisku. To ten typ psa, który jest rzadziej wybierany – czarny, niecharakterystyczny, trzymający się na uboczu. W ciągu kilku tygodni w domu tymczasowym Goliat dużo się nauczył. Bardzo się stara znaleźć kontakt z człowiekiem, zrozumieć, czego się od niego oczekuje i być prawdziwym domownikiem.

Zylajek

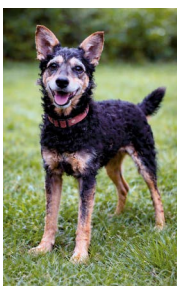

Częstochowa, pies, ok. 9 lat, 15 kg, średnio aktywny

Ostrożny pies o nietypowej urodzie – zawsze i wszędzie go widać. Szuka rodziny, która podejdzie do niego z cierpliwością i wyrozumiałością. Nie jest agresywny; bardzo stara się odnaleźć w nowym miejscu. Wobec ludzi, którym ufa, jest bardzo czuły.

Winston

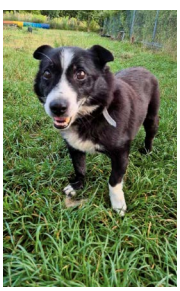

Warszawa, pies, 6 lat, 8 kg, kanapowiec

Lubi dzieci, akceptuje inne zwierzęta, jest łagodny i bardzo sympatyczny. Nie potrzebuje wiele. Nie szuka konfliktów. Jest raczej typem spokojnego kompana, który położy się na kanapie i pójdzie spać. Do tej pory mało zaznał bezpieczeństwa i spokoju.

Matylda

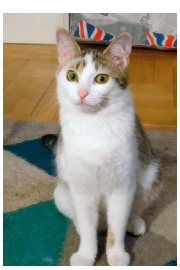

Warszawa, kotka, 4 lata, 3 kg, średnio aktywna

Spokojna kotka z lekką rezerwą podchodząca do otoczenia i ludzi. Dziecko ulicy. Odratowana wraz z rodzeństwem i mamą. Jest już gotowa, żeby zacząć kolejny rozdział w swoim życiu. Rodzeństwu już się udało, jej – wciąż nie.

Vincent

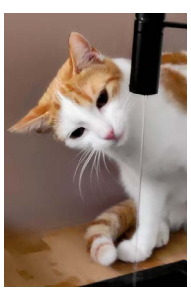

Warszawa, kot, 3 lata, 2 kg, średnio aktywny

Lubi dzieci i akceptuje inne zwierzęta. Elegancki i bardzo bystry. Lubi obserwować świat, ale też chętnie spędza czas z człowiekiem. Jego bracia znaleźli już dom, Vincent nie miał tyle szczęścia. Źle znosi samotność, pilnie potrzebuje swojej rodziny.

Zefirka

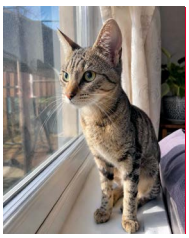

Warszawa, kotka, 1 rok, 3 kg, średnio aktywna

Smukła, urocza i delikatna. Uwielbia spokojny kontakt z człowiekiem, lubi czule patrzeć w oczy. Dobrze dogaduje się z dziećmi. Pamiątką po trudnej przeszłości jest krótki, częściowo amputowany ogon. Mimo to Zefirka biega, wspina się na meble i cieszy życiem.

W tworzeniu rubryki korzystamy z pomocy organizacji wspierających zwierzęta. W większości przypadków możliwa jest adopcja w całej Polsce.
Kontakt w sprawie adopcji (za pośrednictwem Adopciaków): tel. ***665 892 773*** *lub* ***574 186 683****.*
Adres mailowy: ***tpz.opoczno@gmail.com***



Pulsar zaprasza do Lublina

Czy da się projektować miasta odporne na kryzysy? Jak wykorzystać potencjał energii ukrytej w budynkach i infrastrukturze? Co robić, by transformacja do OZE nie budziła obaw? Zapraszamy na dyskusję „Alfabet przestrzeni. Miasta i regiony w trakcie transformacji", kolejną w cyklu „Podróż po wiedzę". Spotkamy się **w Lublinie 20 października o godz. 18** w Akademickim Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka (ul. Radziszewskiego 16).

Sponsorem cyklu „Podróż po wiedzę" jest Enea.

Wyjaśnienie

Autorem zdjęcia zamieszczonego na s. 64 w POLITYCE nr 32 jest p. Jan Woźnica/CC BY-SA 3.0.

Dron

W ostatnim numerze na s. 10 omyłkowo opublikowaliśmy zdjęcie ze zmanipulowanymi oznaczeniami przynależności państwowej drona, który wleciał na terytorium Polski. Wyrażamy ubolewanie z zaistniałej sytuacji.

REDAKCJA

© TPZ OPOCZNO (6)

eprasa.pl 50b67a7159



WINO

Zepsute wino

Winobranie już w zasadzie za nami. Z jednym ważnym wyjątkiem.

Przez całe lato winogrona w winnicy powoli, cierpliwie rosną. Owoce zawiązują się w czerwcu, z początku są małe, zielone i kwaśne. Dopiero w sierpniu przebarwiają się, nabierają soku i słodyczy. Czas winobrania to w większości europejskich regionów pierwsza połowa września, choć z powodu globalnego ocieplenia coraz częściej zaczyna się ono już w sierpniu. Gdy czytają państwo ten tekst, winogrona są już dawno wytłoczone w niemal wszystkich regionach poza tymi najbardziej północnymi. Fermentacje – trwające zwykle dwa tygodnie – już się zakończyły, wino z nowego rocznika leżakuje. Na razie się go jednak nie napijemy (chyba że z południowej półkuli, gdzie zbiory odbywają się w marcu). Pierwsze trunki, które trafią do sprzedaży, to Beaujolais Nouveau i włoskie Novello – w połowie listopada. Zamiast ganiać za winnymi noworodkami, lepiej się jednak skupić na dobrych winach z poprzednich sezonów.

Wyjątkiem są winogrona przeznaczone na wina słodkie. One w większości wciąż są na krzakach. Ich słodka, lekko przejrzała woń przyciąga zwierzęta – dziki, sarny czy szpaki. Winiarze bronią swojego plonu na różne sposoby: grodzą winnice wysokimi siatkami, ustawiają armatki hukowe, owijają winorośle specjalnymi siatkami. I czekają, modląc się o dobrą pogodę. Najbardziej wytrwali będą czekać do grudnia, a nawet stycznia, na silniejsze przymrozki, dzięki którym o trzeciej nad ranem z latarkami na czapkach zbiorą zmrożone na kość kiście i wytłoczą z nich tzw. wino lodowe – Eiswein lub Ice Wine. Dzięki temu, że woda w prasie pozostanie w postaci kryształów lodu, wino będzie niezwykle skoncentrowane i intensywne. Ale wina lodowe to wymierający gatunek, bo o odpowiednią pogodę w Niemczech czy nawet w słynącej z Ice Wine Kanadzie coraz trudniej – zdarza się raz na trzy–cztery lata. Winiarze, którzy z produkcji takiego wina żyją, coraz częściej wkładają po prostu winogrona do... zamrażarki.

Nie wszyscy natomiast zdają sobie sprawę, jak obrzydliwą metodą produkowane są najbardziej znane wina słodkie. Otóż winogron nie zbiera się w normalnym terminie, tylko pozostawia na krzaku, aby pokryły się pleśnią. Sęk w tym, że jest to tzw. pleśń szlachetna, która wygląda co prawda równie okropnie jak zwykła, ale wysysa z winogron wodę, zamieniając je w skoncentrowaną, rodzynkową ambrozję. Podobno metoda ta powstała, gdy pewien bordoski diuk zbyt długo nie wracał z krucjaty i chłopi próżno czekali na pański sygnał, by rozpocząć winobranie. Jesienią się rozpadało, a chłopi, ujrzawszy na gronach pleśń, spisali na straty cały zbiór. Ale rezolutny mnich kazał im spleśniałe grona zebrać i wytłoczyć – tak powstał Sauternes o boskim, miodowym smaku. Potem metodę tę zaczęto stosować również w Niemczech, Austrii i przede wszystkim w węgierskim Tokaju, u zbiegu rzek Bodrog i Cisy, gdzie obfite poranne mgły najbardziej sprzyjają rozwojowi szlachetnej pleśni.

No właśnie, tokaj – wino najmocniej zrośnięte z polską tradycją. To dzięki naszym kupcom i szlachcie węgierskie winnice w XVII i XVIII w. wybiły się na wybitność. Załadowane beczkami wozy sunęły karpackim szlakiem przez Krosno do Krakowa. Tokaj stał się sławny, a do polszczyzny zawitały madziarskie słowa, jak choćby antałek. Ale także w węgierskim pojawiły się polskie nawiązania, jak „Szamorodni", czyli tokaj robiony „jak idzie" – z krzaka zbierano jesienią kiście winogron trochę spleśniałe, trochę zdrowe i tłoczono z nich pyszne wino. To był rodzaj wina codziennego. Na szczycie piramidy zaś znajdowało się – i do dziś znajduje – **„aszú"** (czyt. osu), robione z samych spleśniałych rodzynek, które przez wiele tygodni zbiera się pojedynczo do specjalnych koszy, puttonów, których liczba (4, 5 albo 6) znajduje się na etykietach win.

Smak „spleśniałych" win słodkich zawsze kojarzy mi się z jesienią. Morela, brzoskwinia, pigwa, gruszka z pierwszych jesiennych przetworów, do tego grzyby, las... Pewien winiarz powiedział mi kiedyś, że jego tokaj ma smak mgły, w której jest zbierany. Nic dziwnego, że najlepiej smakuje o tej porze roku. ■

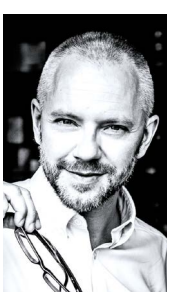

Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Winnica Turnau Szlachetny Zbiór 2025, 79 zł (winnicaturnau.pl)
Feiler-Artinger Ruster Ausbruch Pinot Cuvée 2016, 149 zł (winoikieliszki.pl)
Tokaj Nobilis Tokaji Aszú 5 Puttonyos 2019, 230 zł (rafa-wino.pl)
Château Guiraud Sauternes 2017, 407 zł (mielzynski.pl)

eprasa.pl 50b67a7159

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Hitem minionego tygodnia była autorska mrożona pizza Książula, dostępna w Żabce. Gratulacje. Już John Lennon powiedział: „Gdyby rządzili nasi fani, do końca życia gralibyśmy »Love Me Do«”.

TVN pokonał Polsat na starcie nowych ramówek zarówno w grupie komercyjnej, jak i ogólnej. Pierwsza grupa to ludzie z pieniędzmi, druga – ludzie oglądający tych pierwszych.

Ewa Farna rozstała się z mężem. Po 20 latach przyjaźni i 13 latach małżeństwa. Trudno ustalić, co robili przez pozostałe siedem lat.

„Bracie, zajmij się swoimi dealami lobbingowymi, wpychaniem wódki i tytoniu Polakom” – to Jacek Karnowski do Michała Karnowskiego. Oni muszą tam mocno kurzyć, bo potem było coś o przepaleniu 30 mln.

Markety Dino nawiązały współpracę z Krzysztofem Stanowskim i Kanałem Zero. Te marki sporo łączy. Niskie zarobki i duża rotacja pracowników.

Przed sądem w Warszawie Anna Mucha zeznawała w sprawie wytoczonej Paulinie Smaszcz przez Katarzynę Cichopek. Są takie kariery, w których walka o widownię przyjmuje rozpaczliwe formy.

Jakub Szewczyk z serwisu Kozaczek dołączył do zespołu Pomponika. Zastąpił Damiana Glinkę. Cenię ich dziennikarstwo, choćby takie jak materiał, że Tadeusz Sznuk nie żyje.

WP donosi: „Narzeczona Leona weszła na wagę. Waży bardzo mało”. Zapytałem AI. Waga to przyrząd pomiarowy do pomiaru masy.

620 tys. sprzedanych biletów na film „Lalka” to najlepsze otwarcie polskiego filmu w kinach od czasów pandemii. „Lalka” jest jak film „Kto się boi Virginii Woolf?”. Tam Virginii też nie ma.

Arkadiusz Tańcula z Prime MMA potwierdził rozmowy z Danielem Martyniukiem na temat walki w oktagonie. Co czwarta kontuzja w MMA to wstrząśnienie mózgu. Danielowi to nie grozi.

Krzysztof Ziemiec poprowadzi na kanale Antena HD program „Polska przyszłości – nasze dylematy”. Wyczuwam hit. Trudno dotrwać nawet do końca tytułu.

Andrzej Sołtysik ujawnił, że wiele lat temu zadzwonił do niego Edward Miszczak i wypalił: „Ta twoja Shadia kogoś ma”. Co ciekawe, dla żony Andrzej przeszedł na islam. Szok. Nastroje antymigranckie były tu znacznie wcześniej.

Marek Sierocki, TVP, został konsultantem muzycznym teleturnieju „Hitster” w Polsacie. Pierwsza edycja „Hitstera” była niemiecka. A oni wiedzą najlepiej, że na dwa fronty to nikt nigdy nie wygrał.

Krzysztof „Diablo” Włodarczyk zmierzy się w Radomiu z Marcinem Sianosem w ramach Babilon MMA. Formuła pojedynku nie jest do końca znana. To zrozumiałe. Radom.

Na profilu Tigerenergypl pojawiła się reklama napoju Tiger z udziałem Wojciecha Manna. Działa jak energetyk. Wywołuje bezsenność oraz stany lękowe.

„Wierzę, że ta drużyna może dać wiele radości kibicom” – to Piotr Zieliński po meczu z Bośnią i Hercegowiną. Nieprawda. Komedia jest wtedy, kiedy nieszczęście przytrafia się komuś innemu.

Tomasz Karolak 7 listopada wystąpi w MGCKSiT w Siewierzu. Szczegółów nie podaję, bo MGCKSiT w Siewierzu jest tylko jeden.

„Korta obcesowo skomentowała zapach fryzjerki. »Moja reakcja była spontaniczna«. Ekspertka komentuje” – to Plotek. Vonnegut mawiał: „Jakiekolwiek byłoby źródło mojej głupoty, jeszcze się nie wyczerpało”.

Ruszyła kampania Radia Zet z udziałem Maćka Musiała pod kreatywnym hasłem: „Musiałem Wam to powiedzieć”. Jak widać, są burze mózgów, podczas których nie dochodzi do wyładowań.



© SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW, TVN, MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 50b67a7159

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Homo Putinus

Jak Rosjanin myśli o przyszłości, a raczej dlaczego nie myśli o niej wcale? Skąd u niego tak głęboko zakorzeniony „chromosom strachu”? I czy Rosję da się jeszcze zmienić? **O rosyjskiej fikcji wyborczej, państwowym terrorze i uległości Zachodu, który przez lata przymykał oko na rosnącego w siłę dyktatora, opowiada nam w „Świecie na zakręcie” Krystyna Kurczab-Redlich**, znakomita reporterka i wieloletnia korespondentka z Moskwy.



Paraliż rozumu

W zakopiańskim szpitalu martwy pacjent od kilkunastu dni leży pod respiratorem. Choć doszło do śmierci mózgu, aparatura wciąż tłoczy powietrze, a lekarzy przesłuchuje policja pod zarzutem próby morderstwa. **To kolejna taka historia, w której oficjalna diagnoza zostaje odrzucona przez rodzinę pacjenta, a wokół szpitalnego łóżka narasta absurd podsycany spiskowymi teoriami i hejtem wobec medyków. Relacjonuje Zbigniew Borek.**



Nihilizm w plecaku

Nie tylko noże w dłoniach nastolatków zagrażają im samym i ich najbliższemu otoczeniu. **Nowe zjawisko, z jakim przychodzi nam się mierzyć, opisuje na polityka.pl Joanna Cieśla. Przemoc nihilistyczna nie niesie żadnego przesłania poza czystą destrukcją** i poczuciem rozpadu świata. Kiedy my szukamy winnych na szkolnych korytarzach, wojna o psychikę najmłodszych po cichu toczy się na ekranach ich smartfonów.



Strach przed dżumą

Wąglik, ospa, ebola... Rosja ma długą historię eksperymentów z patogenami, które wydostały się z laboratoriów. Władze nie przyznają się do incydentów i tuszują je latami. W tę tradycję wpisuje się **niedawna śmierć laborantki w Irkucku: jest paniczna cenzura, odkażanie „na karaluchy” i wersja o „zapaleniu płuc”. Ale reakcja służb zdradza głęboki lęk. Przed dżumą, a może jeszcze czymś gorszym? Pisze Agnieszka Bryc.**



W cyfrowym śmietniku

Głównowacenie to niezbyt elegancki termin, ale tym lepiej oddaje internetowe realia, gdzie jakość przegrywa z monetyzacją i algorytmami, które najpierw usiłują nas do siebie przyciągnąć, a potem stopniowo psują usługi, by wycisnąć z nas ostatni grosz i ostatnią sekundę uwagi. **O procesie psucia internetu i walce z big techami opowiada w „Polskim demo” Katarzyna Szymielewicz.**

© LESZEK ZYCH (2), JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, AP/EAST NEWS

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 50b67a7159

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Październikowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 50b67a7159

Lenovo



Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl 50b67a7159